

ALEKSANDER JANTA

WRACAM Z POLSKI



PARYŻ

1949

WRACAM Z POLSKI

A L E K S A N D E R J A N T A

TEGOŻ AUTORA:

O świecie — 1928.
Śmierć Białego Stonia — 1929.
Krzyk w cyrku — 1930.
Biały pociąg — 1932.
W głąb Z.S.S.R. — 1933.
Patrzę na Moskwę — 1933.
Leśny pies — 1933.
Wielki wóz — 1933.
Stolica srebrnej magii — 1936.
Ziemia jest okrągła — 1936.
Odkrycie Ameryki — 1936.
Made in Japan — 1936.
Serce na Wschód — 1938.
Na kresach Azji — 1938.
Psalm z domu niewoli — 1943 (trzy wydania).
Ściana milczenia — 1943 (dwa wydania).
Kłamałem aby żyć — 1944 (dwa wydania).
Widzenie wiary — 1946.
Skazani na życie — 1949.

Tłumaczenia:

Ibara Saikaku: *Dwa opowiadania noworoczne* — 1939.

P o a n g i e l s k u :

13 Polish Psalms — 1943.
I Lied to Live — 1945 (dwa wydania).
Bound with Two Chains — 1946.
Psalms of Captivity — 1947.

WRACAM z POLSKI 1948

(WARSZAWA — WROCŁAW — KRAKÓW — POZNAŃ —
SZCZECIN — ŻYCIE — POLITYKA — GOSPODARKA —
SZTUKA — LUDZIE I ZAGADNIENIA)



POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

Wydawca: Société Nouvelle d'Imprimerie et d'Édition,
32, rue de Ménilmontant. — PARIS-20°

PARYŻ

1 9 4 9

C/58
J35 w

Zamiast wstępu

Przeszło miesiąc pobytu w Warszawie, zwiedzenie wystawy wrocławskiej, Katowice, Kraków, Oświęcim, Poznań, Szczecin, Gdańsk, Sopot i Gdynia, Tuchola, Chojnice, Starogard i Toruń, Olsztyn, Frombork i pobyt nad zalewem wiślanym, tuż przy granicy, wreszcie Częstochowa i Łódź oraz odwiedzenie kilku wsi — tak oto przedstawia się trasa mojego podróżowania po Polsce. Wspomnę jeszcze wizytę we Wrocławiu w czasie zjazdu intelektualistów, chociaż na obrady tego zjazdu odmówiono mi wstępu. Któryś z żartobliwych przedstawicieli reżimowych twierdził wprawdzie, że powinienem być starać się o wstęp jako korespondent prasy emigracyjnej, było już jednak za późno sprawdzić czy odniosłoby to lepszy skutek. Na pytania «kogo pan reprezentuje?» odpowiadałem bowiem zwykle, że tylko samego siebie. I jako taki byłem traktowany.

Przez cały czas pobytu w Polsce nie miałem wypadku aby ktokolwiek sprawdzał moje papiery, albo legitymował mnie, mimo, że jak to wynika z opisaney wyżej drogi moich podróży, odbytych w ciągu dwóch i pół miesiąca, poruszałem się po Polsce wcale ruchliwie i pilnie *).

* Nie przesądzam tym twierdzeniem niczego; cytuję wyłącznie własne moje doświadczenie. Wiem o ludziach, którzy mieli inne. Przeważnie jednak nie w wyniku przypadkowego sprawdzenia papierów, bo tego się w Polsce nie stosuje; nie słyszałem też, aby przeprowadzane były łapanki. UB poluje na upatrzonego; różnica między systemem niemieckim np., polegającym na ślepym zarzucaniu sieci i traktowaniu ryczałtem wszystkich złapanych nią ludzi, wyraża się w stwierdzeniu, że UB łowi na wędkę, dobrze wiedząc już naprzód kogo i po co łapie. Do tego stopnia dohrze, że na śledztwie nie pytają — mówią.

Jedną z metod policyjnych, stosowanych w Polsce są tzw. „kotły”. Zakłada się je w mieszkaniu osoby podejrzaney o zakazane kontakty, w oczekiwaniu właśnie na zjawienie się takiego „kontaktu”. Aby jednak nie płoszyć zwierzyny każdy kto ma nieostrożność zadzwonienia do mieszkania, obstawionego w ten sposób, zostaje przytrzymany, aby wyjściem swoim i rozgadaniem nie zdradzić założonej pułapki. Zniknięcie Jasienicy np. nie było niczym innym, jak właśnie wpadnięciem w kocioł. Zbiera się w takim mieszkaniu często znaczną ilość osób, zawierających nieoczekiwane znajomości; pozwala się jednej pod eskortą chodzić po zakupy i żywność, ludzi

W dodatku, robiąc reportaż, rozmawiałem na lewo i na prawo z ludźmi. Na prawo nawet częściej, niż na lewo. Żadnych utrudnień. Spotykałem kogo chciałem i gdzie chciałem. Rozmawiałem z przedstawicielami rządu i z jego przeciwnikami, z prymasem Hlondem, z politykami wszystkich legalnych odcieni i nielegalnych zainteresowań, z ludźmi TIP'u (Tępiona Inicjatywa Prywatna), z ludźmi PZN-tów (Państwowe Nieruchomości Ziemskie; mówią o nich «Panowie Niemający Ziemi»), z chłopami, z robotnikami, z ludźmi, którzy dopiero co wyszli z więzienia i z takimi, którzy poszukiwani byli przez UB. Widziałem ludzi, którzy niedawno dopiero przybyli z Rosji, po latach obozów i ciężkich doświadczeń, spotykałem kolegów z Anglii i z zachodniego frontu, którzy wrócili przed dwoma laty albo przed dwoma tygodniami — każdy z inną oceną tego co w Polsce znalazł i tego czego się spodziewał. Spotkałem nawet Polaków z Sachalinu, których odwiedzałem w 1934 roku na owym północnym skraju japońskiego wówczas imperium, dziś skróconego przez Rosję, — wrócili przed kilku miesiącami wszyscy.

Wydawało mi się chwilami, że jestem jak wielki spowiednik — przychodzili do mnie znajomi i nieznajomi opowiadać o swoich kłopotach, troskach, lękach i nadziejach.

Z wysłuchiwania tych, jakże różnych kolei życia myślę, że mogłem sobie urobić jaki taki pogląd na sytuację w Polsce.

Nie przypuszczam jednak, że te znaczne i nieskrępowane możliwości poznawania dzisiejszej Polski, jakie były moim udziałem, wynikały z jakiegoś szczególnego uprzywilejowania mojej osoby. Posiada je każdy akredytowany korespondent. Nikt mnie wprawdzie nie akredytował, ale nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że ze strony czynników odpowiedzialnych za wjazd dla takiego człowieka jak ja, istniała w dodatku postawa podobna do tej, jakiej doświadczyłem w 1933 roku w Mandżurii. Ówczesny reportaż mój o stosunkach na kolei wschodnio-chińskiej, drukowany w „Gazecie Polskiej” pod tytułem „Pod panowaniem Chunchuzów”, doczekał się przedruku w moskiewskiej „Prawdzie”, opatrzonego komentarzem redakcji na temat wyjątkowo obiektywnej oceny stosunków w Mandżurii ze strony polskiego korespondenta. Ocena ta wypadła na wyraźną niekorzyść Japończyków.

uprzyjemniają sobie przymusowy wspólny pobyt jak mogą. Trwa to czasem aż do dwóch tygodni. Znam wypadek, kiedy personel całego biura znalazł się w ten sposób pod kluczem; woźny, posłany z listem długo nie wracał, sekretarka poszła zobaczyć co się z nim stało, nie wróciła, wysłano urzędnika, nie wrócił — wreszcie szef biura (opowiadano, że to była instytucja państwowa), domyślając się o co chodzi, zadzwonił z „pyskiem” na UB, czy przypadkiem nie przenieść urzędowania pod wiadomy adres, bo już mu tam całe biuro ugrzęzło i co on ma wobec tego robić? Najlepszą jednak historią o rozbiciu „kotła” był figiel, spletny władzom bezpieczeństwa przez kogoś, kto wiedząc o założeniu kotła w takim to a takim mieszkaniu, dał ogłoszenie do gazety o pokoju do wynajęcia pod owym adresem. Przy dzisiejszych trudnościach mieszkaniowych propozycja chwyciła bez pudła i jak nie zaczęli walić kandydaci; zaraz zrobiło się tam takie przepełnienie, że kociół trzeba było zlikwidować.

W rezultacie konsul japoński w Charbinie dał mi do zrozumienia, że powinienem w ciągu 24 godzin opuścić Mandżurię, grożąc, że namiętne poszukiwanie przygód, jakiemu się oddaję w tym kraju, może skończyć się dla mnie nieoczekiwaną i bardzo nieprzyjemną przygodą o charakterze wcale zasadniczym. Szef sztabu armii kwantuńskiej, do którego odwołałem się wówczas, a którym był generał Koiso, późniejszy premier Japonii w czasie wojny, zaczął z innej beczki. Powiniszował mi, ni mniej ni więcej, doskonałego i prawdziwego reportażu. Ale dodał natychmiast, że moje rewelacje w niczym nie zmienią polityki japońskiej w Mandżurii, bo dla Japonii jest już obecnie rzeczą zupełnie obojętną co o niej myśli się albo pisze zagranicą. Ma swoje rzeczy do zrobienia, wierzy w ich słuszość i robi je bez względu na tę czy inną opinię.

W Polsce natomiast gra rolę poza tym jeszcze inny wzgląd i inna racja, która nie może być pominięta w tym sprawozdaniu. Nikt nie ukrywa tu faktu, że dziejące się dziś w Polsce wypadki, więc przebudowa ustroju i związane z nią próby przebudowy psychiki społeczeństwa, są rezultatem zjawiska, które tylko bardzo wstrzemięźliwi obserwatorzy mogą zakwalifikować terminem innym, niż rewolucja. *)

Dokonywa się ona na pewno w formach łagodniejszych o wiele i w tempie powolniejszym nieco niż to miało miejsce w Rosji, ale istoty procesu okoliczność tych różnic nie zmienia. Zaprzagnięto do przeprowadzenia owych zamierzeń siły wydają się zupełnie wystarczające, aby dokonać tej przemiany, o jaką walczy reżim, w imię własnego rozumienia najlepszego interesu sprawy, której dzisiaj na imię demokracja ludowa w Polsce, jutro socjalizm, a potem dyktatura proletariatu. Jest w takim rozumieniu ze strony polskich techników tego procesu także miejsce na interes samej Polski, pod warunkiem zastosowania jej polityki i jej gospodarki do ogólnych interesów Rosji.

Wszystkie zjawiska życia polskiego muszą więc być rozpatrywane na tle faktu, że niepodległość i suwerenność Polski, poniosła, jak dotąd, klęskę, zwyciężyła natomiast orientacja inna, mająca pewne korzenie w ruchach podziemnych jeszcze przed wojną i wcale aktywną reprezentację w podziemiu wojennym i okupacyjnym.

Wobec osiągnięć, uzyskanych w ciągu czterech lat rządów dzisiejszego reżimu, czuje się on tak pewnie, że stać jego ludzi na pokazanie nawet postronnemu obserwatorowi, jak dokonywana dziś odbudowa i przebudowa naprawdę wygląda. Stać na puszczenie go samopas po Polsce — niech sam zobaczy co się tam robi, jak się robi i co z tego wynika. Jest rzeczą osobi-

* Często wspomina się o niej w Polsce mówiąc, że była bezkrwawa. Nie jest to jednak ścisły stan sprawy. Od czasu wprowadzenia nowego reżimu było po obu stronach немало ofiar. Wypadałoby zacząć je liczyć od Powstania.

stał puszczonemu w teren dziennikarza, jak potrafi wykorzystać daną mu szansę przyjrzenia się Polsce na codzień i z bliska.

Uważam jednak, że zaufanie, jakim darzyli mnie w Polsce ludzie wszystkich odcieni, obowiązuje. Byłoby mi dziś na pewno łatwo, inspirując się z postępowania polityków, zrobić z tego reportażu jeszcze jeden akt oskarżenia i potępić wszystko co widziałem w Polsce dlatego, że istnieje w jej sprawie ingerencja wpływów rosyjskich, albo dlatego, że wielu moich przyjaciół siedzi obecnie w więzieniu. Byłoby to jednak nikomu nie przynoszące pożytku uproszczenie zadania, jakie sobie postawiłem. Byłoby to pójście drogą najmniejszego oporu bez zrobienia koniecznego wysiłku dla zrozumienia przemian, jakie zachodzą w mojej ojczyźnie, i których nie sposób załatwić samą tylko bezwzględna negacją, bowiem istnieniu faktów nie dołają zaprzeczyć nawet najmocniejsze słowa.

Zadanie moje określam przeto jako danie możliwie bezstronnego świadectwa widzianej i przeżytej przeze mnie rzeczywistości, nie zamykając oczu na strony ciemne tego obrazu, ale nie pomijając także pozytywnych osiągnięć, bez względu na osobisty stosunek sympatii czy sceptycyzmu, jakim mogły mnie napawać stosunki lub ludzie, interpretujący dla mnie ten obraz.

Zostawiam sąd nad uczciwością mojego zamiaru i próby bycia obiektywnym zarówno czytelnikowi na emigracji, jak i w kraju.

I.

Cmentarze powstańców

Byłem w Warszawie w dniu 1 sierpnia, w czwartą rocznicę wybuchu powstania. W odnawianym jeszcze i zastawionym rusztowaniami górnym kościele św. Krzyża — msza. Tłum ludzi, który aż się wylewa na zewnątrz. Kazanie okolicznościowe grzmi przez głośniki. We wszystkich kościołach warszawskich ambony wyposażone są w mikrofony i głośnikami rozprowadzają słowa kazań aż czasem poza kościół.

Na zakończenie: Boże coś Polskę. Przysłuchuję się słowom; śpiewają: „Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić Panie”. Przyglądam się twarzom. Są dzisiaj w tym kościele niedobitki powstańczej armii, ludzie w większości młodzi, są ci, którzy w powstaniu stracili wszystko: mienie, dom i najbliższych. Jest przejmująca powaga w ich skupieniu. Jest czucie wspólnego losu i wspólnego nieszczęścia i wielka godność w postawie i wielki spokój w oczach. Widziałem tylko niewielu, którzy płakali.

Po mszy, przed kościołem, ten sam tłum. Przyjaciele moi po-

kazują mi sylwetkę Radosława, dowódcy Starówki. Służyli pod nim do ostatniego dnia.

Potem jedziemy na cmentarz powstańczy. Cała Warszawa ciągnie na ten cmentarz w dniu tragicznej rocznicy. Sporo samochodów, tramwaje oblepione ludźmi, ale większość tłumu na piechotę. Mija nas ciężarówka z wieńcami i rozwianym na wietrze transparentem „Związek Walki Zbrojnej”. Na cmentarzu wojskowym, za Powązkami, odgrodzona jest część, na której leżą powstańcy. Pośrodku granitowy blok z napisem: Gloria Victis — Chwała Zwyciężonym. Postawiony sumptem i staraniem towarzyszy broni i kłęski.

Idziemy ku temu pomnikowi wzdłuż drogi, grodzonej wojskiem z pepesami przez ramię. W lewo ciągną się groby poległych z roku 1920. Przechodzę wzdłuż nich aby odczytać napisy: czytam przede wszystkim daty urodzin i śmierci. Wszystko przeważnie młodość, od lat 17 do 22. Jest ich wiele, ciągną się te mogiły równymi rzędami, szare, już jakby dotknięte patyną zapomnienia. Pokolenie poprzednie — i walczące tak samo o Warszawę. Przeciskamy się przez tłum. Tuż przy drodze ksiądz odprawia połową mszę.

Potem już groby powstańców. Rozciągnięte równo, wszystkie do siebie podobne, w przeciwieństwie do tamtych z 20-go roku, świeże, ustrojone kwiatami, chciałyby się powiedzieć — groby młode. Jest nastroj odświętny, uroczysty, z jakimś odcieniem napięcia w powietrzu, które być może wynika z obecności tego wojska u wejścia na cmentarz. Czyżby spodziewali się incydentów? Mówiono mi, że w czasie obchodów poprzednich rocznic było ich znacznie więcej. Ludzie z naręczami kwiatów szukają bliskich mogił. Na drzewach przyklepione kartki poszukujących jeszcze wiadomości o zaginionych w czasie powstania, na Śródmieściu, na Woli, na Starówce. Wiele jest mogił symbolicznych — ciała syna, brata lub kolegi nie znaleziono. Wiadomo tylko, że padł. Zatrzymuję się nad jednym z nich, czytam: „Żołnierze polegli 28. VIII. na Starówce, baon „Zośka” kompania „Rudy”. Liczę: jest ich piętnastu. Najstarszy lat 25, najmłodszy 16. Mogiły młodych dziewcząt. Mogiła dwóch braci Romockich, synów ministra Komunikacji. Znał ich mój towarzysz z powstania. Gdybyś ich widział — mówi — jak dwaj archaniołowie. Obok, gdzie w przeciwieństwie do głównego cmentarza, urządzonego przez towarzyszy broni, chowały swoich poległych rodziny, zatrzymuję się nad płytą kamienną, zdobioną grób trzech braci Cudnych: lat 21, 19, 17. Padli w powstaniu.

Tyle młodości i życia, tyle piękna, talentów i entuzjasmów. Widok tego ogrodu udręczeń, tego straszego cmentarza nadziei, na którym spotkała się pod ziemią elita polskiej młodzieży, długo mnie będzie prześladował wspomnieniem okropności polskiego losu i polskiego umierania. Zaciąży jak zhora na całym widzeniu rzeczywistości. Zasłoni nawet ruiny Warszawy, bo te ruiny już znowu żyją i odradzają się, podczas gdy nikt nie wróci do życia owych pogrzebanych szeregów świetnej mło-

dzieży. najlepszej chyba jaką posiadaliśmy. Zgodni są co do tego ci, którzy lata okupacji poświęcali tajnemu nauczaniu. Taki profesor Tatarkiewicz na przykład, który twierdzi, że nigdy w swojej długoletniej praktyce profesorskiej nie posiadał tak świetnego i obiecującego zespołu, jak ten z lat okupacji. Wszyscy oni dziś zdali egzamin i uzyskali dyplom w postaci krzyża nad grobem.

I kiedy patrzę teraz po schylonych nad tymi grobami ludziach, wieńczących je kwiatem, który jutro zwiędnie, po współtowarzyszach ich doli, cudem jakimś ocalonych z zagłady, a dźwigających dziś za nich i za siebie ciężar losu i odpowiedzialności za przyszłość, wiem, że dławi ich, tak jak mnie w tej chwili, nieznosny ucisk w piersi, rodzący się z pytania: — komu to było potrzebne? I wraca stale powtarzającą się kwestią, czy naprawdę z pojęciem Polski wiązać się musi ta konieczność umierania dla niej młodo, zamiast znajdować sposoby, aby tę młodość chronić jak najdroższy jej i najpełniejszy skarb?

Rocznica powstania jest dla mnie dniem cmentarzy. Jadę jeszcze na cmentarz powstańczy na Woli. Grabarz, który mnie oprowadza, kuleje i pilnie kuśtykając pokazuje mi pole, zastlane wymownymi kopcami. „My tu tylko operujemy kwaterami masowymi. W każdej leżą zwłoki w kilku warstwach, po kilkadziesiąt osób w każdej”. Próbuje odnaleźć miejsce, gdzie pochowani być mają moi znajomi. Grabarz nie posiada nawet nazwisk — wszystkie zwłoki mają w jego rejestrze jedynie numer. Wiele i tak nieznanych. Ale są takie, które nie mają nawet numeru.

Wielka płyta, leżąca osobno, kryje zbiorową mogiłę. „Tu mamy tylko prochy, zwiezione z miejsc, gdzie Niemcy palili zastrzelonych. O, tu dziesięć i pół tony prochów, a tam pod brzegiem cmentarza, gdzie widać rząd mniejszych płyt pod każdą — jedna tona i sto kilo”.

Taka więc jest cena naszych zrywów. Prochy ludzi Warszawy liczy się tu na tony. Gospodarka życiem w Polsce wydaje się, zaiste, niepojęta.

I już nie umiem tego dnia, wracając do Warszawy, gdzie wieczorem na miejscach publicznych straceń piętrzą się stosy kwiatów i migotają jak w dniu Zaduszek płomyki świec, myśleć o nieczym innym.

Wiem, powiedzą mi zaraz niejedni, że nie było wyboru. Zgadza się, istniały sytuacje, w których nie było wyboru. Ale cmentarze hekatomby Polaków nie wszystkie są z tych sytuacji. Najboleśniejże straty są bowiem wynikiem nadgorliwości i takich czynów, albo takiej brawury, która z kalkulacją jakąkolwiek, a tym samym z rozsądną polityką nie ma już nic wspólnego.

Uczono nas od małego, że są racje, dla których warto dać życie. Wszystko jest jednak sprawą proporcji. Są ceny, które może zapłacić człowiek, ale których naród, jeśli chce żyć, nie

wytrzyma. Duch bez ciała jest tylko fikcją. A my duchom oddając pierwszeństwo, szafujemy naczyniem, w którym się mieści, bez żadnego umiaru, bez żadnego wyrachowania. Bieda duchom wygnanym z ciała i nie mającym już miejsca, w które by mogły wstąpić.

I zbiera mnie nagle strach na myśl, jaki jest wymiar klęski, wyrażającej się dzisiaj owymi „młodymi” grobami, od których wracam i jak odbija się na naszej przyszłości brak tej wybitnej i wybitej młodzieży, leżącej dziś wkoło pomnika, na którym napisano: *Gloria Victis*.

II.

Obraz Warszawy

Chcę teraz pisać o Warszawie. Obawiałem się, że dystans dziewięciu bolesnych lat, jakie mnie od niej dzieliły, stanowić będzie nieprzekraczalną przeszkodę, by się w niej znowu odnaleźć, by ją odnaleźć, taką jaką znam i kochałem. Nic podobnego. Od pierwszego dnia, od pierwszej chwili, kiedy mnie przyjęła znowu w okaleczanie ramioną swoich ulic, swoich poszarpanych ścian, zdruzgotanych domów i doświadczonych wszystkimi dopustami nieszczęścia ludzi, odnalazłem jej nieomylną tożsamość. Odnalazłem przeore do fundamentów piękno jej krajobrazu, ten sam, choć nastawiony na wysiłek dźwignia się z klęski rozmach jej życia, ten sam lekki, beztroski humor jej mieszkańców, choćby nawet podminowany był ciężkiem i troską i trudem codzienności.

Zaiste, niepokonane miasto.

Okrutne kalectwa zniszczeń sterczą jeszcze i w coraz to nowych ramach otwierają się oczom nieoczekiwanie nieczym fragmenty jakiegoś nowego forum, jak dekoracja dla nieznajdującej słów tragedii. Ten sztafaż daje Warszawie nieznana przedtem groź i w tej groźie niezwykłą, przejmującą, chociaż ponurą urodę. Warszawa w księżycu, w nocy, kiedy wśród ciemnych zwalisk, gdzieś wysoko, na trzecim piętrze czarnego bezkształtu ruiny błyska w jakimś jednym jedynym oknie ognik czyjejs obecności, która się tam od nowa załęgła i zdradza ciemnym blaskiem lampy powrót życia w wypalonych murach, przykuwa wzrok i dotyka serca niezaznanym od dawna wzruszeniem.

Kiedy idę jej ruchliwymi ulicami i rondo kapelusza odcina oczom wierzchy domów, kiedy patrzę na jej bruki i od nowa wygładzony asfalt, na szyny trawajowe, na kamienne płyty chodników i kostkę jezdni, nawet ton i lśnienie ulicznych bieżni wygląda tak samo jak dawniej. Dobroczytny brzeg kapelusza odcina mury i dachy. Aż po pierwsze piętro wszystko się

zdaje w porządku. Wyrwy, leje, dziury od pocisków już nie istnieją. Tu i tam znać najwyżej rysy odłamków w płytach chodników. Ale zatarcie śladów wojny nastąpiło od dołu, od poziomu ulicy. Niesie się więc na kapeluszu całą przeszłość wspomnień, pod warunkiem nie wyglądania ponad jego brzeg. Bo dopiero podniesienie głowy jest jak podniesienie kurtyny na obraz prawdy. Ta prawda szczerzy nadal swoje bezlitosne kikuty ruin i oczodoły wypaleń, a ściany domów całej Warszawy jakby cierpiały na skórną chorobę, pokrywa je bowiem liszaj i wysypka ostrzelanych gęsto cegieł, porwane są od pocisków, świecą śladami bitwy, każda będąca jej polem i każda dzisiaj jak świadectwo wojny. Rąbano je wszystkimi kalibrami aż do dwutonowych pocisków z dział kolejowych, kierowanych na przykład na studnię u zbiegu Koszykowej i Marszałkowskiej. Stoi dziś okaz tego pocisku w Muzeum Wojska, niczym okropne memento piekła, jakie wytrzymać musiała Warszawa. Młyn wojny porąbał ją na 24 miliony metrów sześciennych gruzu, a materialna wartość zniszczenia, nie licząc ludzi, reprezentuje sześć rocznych budżetów całego państwa sprzed wojny. Spalono całą historię, wspomina mój towarzysz. No bo jeśli nawet dawne pergaminowe, królewskie dokumenty służyły do budowania barakad...

Wspomnieć też trzeba, że krajobraz ruin już po krótkim czasie porastać zaczyna zielskiem, pokrywa się roślinnością, która bujnie ciepła się gruzu lub przegłąda ze zwalisk i zza zburzonych murów niespodzianą świeżością dzikiej zieleni. W Szczecinie, z okna na trzecim piętrze naprzeciwko mojego hotelu wychylała się kilkunastoletnia brzołka, wesoło kiwając liśćmi w przesiadkach ruiny i pustki. Przez wyrwę w ścianie Nowego Świata, patrząc ku szczerbatej sylwetce drapacza przy Placu Napoleona, widziałem falującą pod tchnieniem wiatru roślinność łąki czy pola na usypiskach. Przejmujące pustkowiem ghetta także już zamienia się w step. Przyroda bierze w posiadanie zostawione jej przez ludzi cmentarzysko.

Wszystko jednak co widzę dzisiaj jako ruinę, jako usypiska i zwaliska cegieł, jako górskie nieledwie spiętrzenia zwalonych murów, całymi blokami przewracanych na siebie, dla mnie po latach nieobecności, jest jeszcze dokumentem zniszczeń — dla mieszkańca Warszawy natomiast już etapem odbudowy.

Miedzy ruiną toruje sobie drogę coraz to inna ulica, której domy już się dźwigają, rusztowania oblepiły wiele ścian, całe miasto huczy i drga skondensowanym ogromem pracy. Jest jak warsztat i jak mrowisko rozbite wprawdzie jakimś kosmicznym kopnięciem, ale już organizujące się, już skupione wysiłkiem tego na pozór tylko beładnego ruchu ludzkich mrówek, śpieszących ku odnowieniu zburzonego kopca, który stanowił dom, dobytek i dumę każdej z osobna.

Spotkałem jednego z przedwojennych przyjaciół, nauczyciela, który opowiadał mi, przechodzącemu przez Plac Trzech Krzyży, że dwa lata temu pracował tu nad usuwaniem gruzów.

Jest w jego słowach i w geście pokazywania mi dzisiejszych osiągnięć pasja warszawskiego patriotyzmu, nie mającego nic wspólnego z tym albo innym reżimem, istniejąca bez względu na ten czy inny rząd. Tutejszy umiejętnie uczynił z tej pasji materiał napędowy dla swojej polityki, kierując energię społeczeństwa ku warsztatom i odbudowie — niech się w niej przede wszystkim wyżywa polski temperament.

Mój znajomy zwraca mi uwagę na jeszcze jedną osobliwość dzisiejszej Warszawy — światło. Tak jak Warszawę pamiętam było wiślane, siwe. Dziś na skutek brutalnie odsłoniętych wnętrzności miasta, w popołudniowych godzinach zwłaszcza, światło Warszawy jest różowe, ceglaste, palące dotąd rumieńcem rozoranego miasta, który się zdaje znajdować odbłask nawet w niebie. W dzień wietrzny pył ceglany przepaja powietrze. Dało to asumpt autorom kabaretu, jaki widziałem w Krakowie, i o jakim wypadnie mi jeszcze wspomnieć, do satyrycznych komentarzy na temat cytowanego przez prasę faktu, że każdy mieszkaniec stolicy wchłania nieustannie pewną określoną ilość pyłu ceglanego.

„Przeciętnie na dorosłego mężczyznę przypada od 1,5 do 2-ch cegieł rocznie, na nieletnich i wyrostków od 0,75 do 1,33. Uwzględniwszy pewną poprawkę dla tych, którzy w związku z poprzednio wykonywanym zajęciem, stale przebywają w lokalach zamkniętych, można przyjąć przy półmilionowej obecnie ludności Warszawy, że roczna globalna konsumpcja wynosi około miliona cegieł! No i jak w takich warunkach może odbudowywać się stolica, kiedy milion cegieł zostaje skonsumowany przez wolny rynek?

Jednak miara dokonanego wysiłku w ciągu ostatnich lat może być doceniona jedynie przez wyznaczenie dna klęski, jaka spotkała Warszawę. Trzeba było to widzieć po wyjściu Niemców — mówi mi każdy. Przez wawóz Marszałkowskiej, zawalonej obu stronami ulicy na jezdnię, czołgi musiały torować drogę jeep'om. Śródmieście było w dodatku puste, zupełnie bezludne. Jednak nie było w nim ciszy, jakby to można przypuszczać. Zerwane druty, blachy, płyty dachów, futryny wreszcie przy najbliższym powiewie wiatru zgrzytały złowieszczo i podnosiły klekot, na który niedobitki warszawskiej ludności znalazły natychmiast własne określenie, mówiąc, że brzmi to jak obłapka szkieletów na blaszanym dachu.

Opowiadania ludzi, którzy przeżyli ten okres, pełne są dotąd szczegółów o posmaku tak egzotycznym, że trudno z perspektywy dzisiejszego uporządkowania ich śladów myśleć o nich inaczej, jak chyba o scenach z filmu surrealistów. I właśnie filmowa, więc niemal fikcyjna osobliwość tych fragmentów warszawskiego życia, skłania mnie do robienia notatek, aby tym lepiej podmalować to jej wracającej już w ramy jakiegoś porządku i sensu rzeczywistości życia. Z powstania taki np. widok: dekoracje

z magazynów Teatru Wielkiego, jako parawany do ukrycia ruchu ludności na zagrożonych ogniem ulicach. Na tyłach tych rozpiętych i cudacznie pomalowanych płócien napisy: Halka — scena V, albo Tosca — akt II. Do pierwszych przepraw przez Wisłę, po lodzie, te same dekoracje służyły zamiast tratw czy sanek może, bo mostu nie było. Kotarami z Opery zasłaniano wyłotowe ulice: Bednarską i Karową. A potem, zaraz po „wyzwoleniu”, szafy, stawiane na ulicy i stanowiące pierwsze kioski, względnie sklepy Warszawy — sprzedawca siedział w szafie, żeby mieć dach nad głową i jako taką osłonę od wiatru.

I pierwszy «amerykański» bar — w tramwaju, do niedawna służącym za barykadę. I sport, polegający na staraniach, aby dostać w jednej z kilku zaledwie stołówek, zupeł nie fasolową. Właśnie w barze «amerykańskim» była bodaj grochówka — ale droższa, bo nawet z muzyką.

Decyzja przeniesienia się komitetu lubelskiego od razu do zburzonej Warszawy, była decyzją dla sprawujących rządy wcale odważną. Nietknięta Łódź, ze swoją przewagą ludności robotniczej mogła się wprawdzie zdawać tym o wiele wdzieczniejszym dla władz ówczesnych, samowolnych i popieranym jedynie przez Rosję. Jednak wybrano Warszawę. Decyzję tę przypisuje się Bierutowi. Psychologicznie okazała się słuszną. Przywiązanie Polaków do Warszawy jako do stolicy, zostało sprawnie zdyskontowane przez nowych organizatorów państwa. Powiększyło to niewątpliwie trudności objęcia administracji i sprawowania władzy, ale pęd do życia i do odbudowy zatriumfował nad beznadziejnością owego czasu. Widziałem wtedy wszystko zupełnie czarno — mówili mi niejedni, wspominając ten okres i porównując go z obecnym, jak noc z dniem, mimo wszystko. Przeniesienie się władz centralnych na Pragę, tłumne urzędowanie w nieopalanym pokojach z wybitymi po części oknami, ciasnota używalnych pomieszczeń, komplikacje komunikacyjne dla tych, którzy mieszkali po drugiej stronie Wisły, to wszystko trzeba usłyszeć, skoro nie można tego zobaczyć już dzisiaj, aby zrozumieć, jak fanatyczna była wola tej garstki ludzi, którzy podjęli się zaczynać z niczego i z absolutną pewnością swojej racji jeli realizować nowy i nie mający poparcia u społeczeństwa program w powalonym klęską i rozprzężonym całkowicie kraju.

Wspominam o tym, bo wydaje mi się ważne to świadectwo uporu i przekonania ze strony ludzi, będących dzisiaj u władzy, jako ilustracja, że są z gatunku tych, których żadne przeszkody nie potrafią odstraszyć, żadne zadania zniechęcić, żadne ryzyko przerazić. Nie wydaje mi się pożyteczną ani mądrą metoda załatwiania się z problemem, jaki obecność tych ludzi i ich udział w rządzeniu Polski nasuwa, pustym i złożonym z inwektyw frazesem. Jest bowiem raczej dowodem bezsilności wobec ich miejsca w życiu Polski. Samo stwierdzenie, że potrafią być bezwzględni, albo że są agentami Rosji, nic nie załatwia ani nie rozwiązuje. Ta jest jednak metoda mówienia o nich na Zachodzie

dzie i na emigracji. Nie nie zrozumie ten, kto nie pamięta, że mamy tu do czynienia przeważnie z ideowcami, którzy za swoje przekonania byli prześladowani, z ludźmi żelaznej dyscypliny partyjnej, zaprawionymi w sztuce słuchania i umiejącymi wyznaczać nie tylko od innych, ale także od siebie. Że metody stosowane do przeprowadzenia swoich zamierzeń są na pewno odmienne od tych, do jakich Polacy przywykli, to już jest inna rzecz i w prostej linii wynik szkoły, przez jaką przeszli. Wszystko jednak podporządkowane zostało wyznaczonym celom i każdy środek jest dobry, aby do nich dotrzeć.

Jednym z wielu postawionych na początek celów była szybka odbudowa Warszawy i przywrócenie jej co prędzej cech stołeczności. Na to aby określić rozmiar dokonanego wysiłku poszedłem zebrać dane w Naczelnej Radzie Odbudowy. Inż. Jerzy Grabowski pokazał mi cyfry, dotyczące zniszczeń i pomógł w zobaczeniu ich porównaniem, które jest tak wymowne, że chyba warto zacytować, mimo, że na ten temat pisało się już niemało:

«W dniu 1 września 1939 roku Warszawa posiadała 25.500 nieruchomości o łącznej kubaturze zabudowy około 103 miliony m³, co daje średnio na jedną nieruchomość około 4.000 m³. Gdyby dzisiaj 25.500 takich domów o średniej długości 23,5 m., szerokości 12 m. i wysokości 14 m. (4-ry piętra) ustawić obok siebie, można by nimi obudować ściśle po dwu stronach odcinek 300 km., a więc mniej więcej całą szosę, łączącą Warszawę z Katowicami. Z owych 103 milionów m³ łącznej kubatury zostały zniszczone 74 miliony m³, czyli przeszło 70%. Oznacza to, że na przestrzeni 210 km. szosy Warszawa—Katowice zniszczono kompletnie wszystkie domy po obu jej stronach. Straty te na terenie miasta wyraziły się w starciu z powierzchnią całej dzielnicy handlowej Muranowa, w zamienieniu w stertę zgłiszczy i gruzów całego Starego i Nowego Miasta, w niemal zupełnym zburzeniu i wypaleniu całego Śródmieścia, oraz w zniszczeniu pozostałych dzielnic Warszawy i części Pragi w około 50%. Trzeba również pamiętać, że domy na pozostałych 90 km. naszej szosy, a więc te, które ocalały na Pradze i w Warszawie, nie były w dniu wyzwolenia gotowe do zamieszkania».

Rozmawiałem kiedyś z John Hersey'em, autorem reportażu o Hiroszynie, który znalazł się w Warszawie jako jeden z pierwszych dziennikarzy amerykańskich, zaraz po „wyzwoleniu” i zapytałem go, co zrobiło na nim większe wrażenie: Hiroszima czy Warszawa? Nie było w nim cienia wątpliwości, że Warszawa. Choćby dlatego—powiedział—że zniszczenie Hiroszimy odbyło się w ciągu jednego ułamka sekundy, w Warszawie natomiast trwało przez całe miesiące. To tak jakby chciał podkreślić, że reakcja na te dwie najokropniejsze ruiny ostatniej wojny mie-

rzona być musi nie tyle obrazem zdruzgotanych domów i poszarpanych kamieni, ale czuciem przeżywających to walenie się swojego świata ludzi. W porównaniu tych dwóch okropności brany być musi pod uwagę czas ich trwania. Śmierć nie jest straszna, straszne jest umieranie. Hiroszima padła rażona piorunem, Warszawa konała aż po ostatni pocisk walący w jej mury i targający sercem żywych aż do ostatka resztek jej ludzi. I ta jest jedynie słuszną miarą jej losu.

Jako miara wysiłku natomiast, włożonego przez społeczeństwo, kierowane pod kątem szybkiej odbudowy stolicy, niech znowu świadczą cyfry i porównania inż. Grabowskiego, który podkreśla, że ogólny wysiłek organizacji, materiału i pracy włożonej w pierwszym trzechleciu w odbudowę Warszawy, równa się wysiłkowi potrzebnemu na wybudowanie na nowo, w szczerym polu, kompletnie urządzonego i wyposażonego miasta dla 150.000 mieszkańców.

Mówiąc inaczej, każdy dzień pierwszych trzech lat odbudowy przyniósł Warszawie około 137 przywróconych do stanu używalności, odbudowanych lub na nowo wybudowanych izb mieszkalnych, a więc co godzinę oddawano do użytku prawie 6 izb. Codziennie w ciągu 1095 dni odbudowy nawadniano po remoncie około 5,08 km. sieci wodociągowej i włączano około 3,26 km. sieci kanalizacyjnej. Codziennie wywożono około 100 wagonów gruzu, z którego można by zestawić rząd 100.000 wagonów o długości około 1.000 km. lub usypać piramidę o podstawie 100 na 100 metrów, a wysokości około 200 metrów.

Można sobie łatwo wyobrazić dumę odpowiedzialnych za te dokonania ludzi, do których należy całe społeczeństwo Polski. Przy straszliwym wyniszczeniu całego kraju, i używając prymitywnych właściwie środków (wywożąca gruzy furka w jednego konia stanowi wciąż jeszcze typowy dla warszawskiej ulicy element «ruchu»), zdobyło się ono w ciągu trzech lat na oddanie do użytku w Warszawie domów, których łączna ilość reprezentuje miasto o wielkości Częstochowy, Lublina albo Bydgoszczy.

Z rumowiska i z gruzu zniszczeń wylania się dziś już wizja nowej Warszawy, tworzonej pod kierunkiem wytrawnych architektów, którzy szanując cały wartościowy dorobek urbanistyczny i architektoniczny dawnej stolicy, zmierzają do uczynienia z niej miasta nowoczesnego w najlepszym znaczeniu tego słowa i mającego objąć aż 180.000 ha.

Z odbudową bowiem łączy się także plan przebudowy.

Przykładem jej rozmachu i jej realizacji jest, będąca w stadium poważnie zaawansowanej konstrukcji trasa W—Z (Wschód—Zachód). Okolice ruin Zamku rozkopane są szeroko i przypominają głęboki wąwóz, przecięty z kierunku zniszczonego mostu Kierbedzia w stronę Woli. To ogromne przedsięwzięcie techniczne, łączyć będzie szosę poznańską i łódzką z szosą białostocką przez nowoczesny most Śląsko-Dąbrowski i tunel pod Placem Zamkowym. Nawet data oddania do użytku

trasy W—Z jest już oznaczona. Nastąpić ma 22 lipca 1949 roku, razem z odsłonięciem kolumny Zygmunta, na odtworzenie której odstrzelono już blok granitu w śląskich kamieniołomach.

Spółzwa postać zwalonego z kolumny króla stoi dziś w Muzeum Narodowym, po raz pierwszy bezpośrednio dostępną oczom we wszystkich szczegółach i w całym pięknie, boć widzieliśmy ją przedtem tylko jako królującą w niebie Warszawy, a tym samym podchmurną jedynie sylwetkę. Zyskuje wielce przy bliższym poznaniu. Zdjęcie królowi korony — tak jak ją zdjęto Orłowi — nie jest przewidywane.

Drugim wielkim założeniem, będącym już w trakcie realizacji, jest przebiecie dalej na północ w kierunku na Żoliborz i rozszerzenie ul. Marszałkowskiej. W samym sercu śródmieścia pomiędzy ul. Królewską i Al. Sikorskiego (Al. Jerozolimskie) Marszałkowska zostanie poszerzona aż do ul. Zielnej na szerokość około 120 m. W ten sposób tuż przy dworcu centralnym w oparciu o biegnącą z zachodu na wschód szeroką arterię Al. Sikorskiego, stworzy się olbrzymi, nowoczesny rynek stołeczny, koncentrujący w tym miejscu życie śródmieścia. Budując więc, burzy się także niejedne stojące jeszcze domy, których obecność już nie mieści się w ramach planu Warszawy przyszłej.

Postępuje równocześnie odbudowa poszerzonej dwukrotnie tzw. średnicowej linii kolejowej, łączącej wschód kraju z zachodem, a Pragę z Warszawą przez most na Wiśle i tunel, biegnący Al. Sikorskiego (tak nazywa się odcinek Al. Jerozolimskich od mostu Poniatowskiego do Marszałkowskiej).

Na Woli, Ochocie, Kole, Żoliborzu i Mokotowie rosną w dodatku całe osiedla mieszkaniowe robotnicze i urzędnicze. Nowa kolonia mieszkaniowa powstaje również na Rynku Mariensztadzkim przy Trasie W—Z. Na Krakowskim Przedmieściu nie ma dziś prawie budynku, który by nie był w odbudowie, a Nowy świat już odtworzony został w stylu z początku XIX wieku. Architekt Pniewski opracował urbanistyczne rozwiązanie projektu «Osi Saskiej» z Placem Zwycięstwa (Marszałka) i Ogrodem Saskim. Przygotowuje się dziś na całym obszarze do olbrzymiej batalii budowlanej. W założeniu tym mieści się również odbudowa kolumnady Grobu Nieznanego Żołnierza i Teatru Wielkiego. Natomiast przy Placu Trzech Krzyży wyrósł już gmach Ministerstwa Przemysłu i Handlu, który Warszawiaczy nazywają dziś po swojemu Minberg, albo Hilarium. Na Placu Napoleona kończą się prace przygotowawcze do odbudowy olbrzymiego Narodowego Banku Polskiego. Na «Osi Stanisławowskiej», łączącej Plac na Rozdrożu z Placem Zbawiciela oczyszczony jest teren pod budowę budynków Centralnego Domu Młodzieży i «Służby Polsce». Na Placu Kazimierza natomiast dobijają się już na powierzchnię mury zakładów drukarskich «Czytelnika» — Dom Słowa Polskiego.

To wszystko jest dziś w Warszawie widzialną i dotykalską rzeczywistością, wkoło której nie można przejść obojętnie i której nie podobna zbyć machnięciem ręki, nawet gdyby się było

przeciw reżimowi, który tę budowę planuje i przeprowadza.

Zatrzymałem się nad opisem tej prawdy, bo myślę, że jest potrzebna, aby oddać tło i zakresić ramy, w które wpisywać będą w późniejszych rozdziałach treść codziennego życia Polaków. Od razu wspomnę, że «cud odrastających pędów z pnia wielkiego drzewa, strzaskanego przez burzę» nie jest bynajmniej monopolem Warszawy.

Podobny rozpęd odbudowy widziałem np. w Poznaniu, i we Wrocławiu. Podobny rozpęd znać na obszarach Ziemi Odzyskanych. Ale przoduje Warszawa. Przypominają mi jej budowniczowie, że «potężne korzenie, tkwiące głęboko w glebie warszawskiej, nie zostały naruszone. Wróg zniszczył jedynie koronę». I kończą, mówiąc o Warszawie przyszłości, tego miasta najdumniejszego z dumnych, którego dźwiganie się z ruin jest dzisiaj dziełem bohaterstwa pracy pokojowej.

A ja nie umiem odpędzić w tej chwili przypomnienia sobie rozmowy, jaką miałem w New Yorku przy świadkach, w roku 1945. Rozmówcą moim był znowu dziennikarz, jeden z filarów *New York Herald Tribune*, też po powrocie z Warszawy. Mówiliśmy o jej okropnym wyglądzie, ja, słuchający jego relacji z przejściem człowieka, który dowiaduje się o śmiertelnej chorobie ukochanej istoty, on rzeczowy i beznamiętny.

Siedzieliśmy w centrum nieruszonego wojną New Yorku, wśród niebotyków, wyglądających jak baszty olbrzymiej fortecy, w świecie bogatym, pewnym siebie i trochę z wysoka patrzącym na przejścia innych. Dziennikarz zamyślił się. «O czym myślisz, Joe?» — «Myślę sobie, że w czasach, w jakich żyjemy, potworne zniszczenia, jakim poddane bywają całe miasta, stwarzają niebezpieczny precedens. I zastanawiam się właśnie czy taki sam los spotkać może kiedykolwiek New York? Wtedy na przykład, kiedy Warszawa będzie już odbudowana jako piękne, bo nowe miasto...»

Zrobiło się cicho i towarzysz mój, Polak, zamówił dla nas trzech jeszcze jedną kolejkę «double whiskies».

III.

Warszawska codzienność

Warszawska codzienność jest dziś udziałem 600.000 mieszkańców stolicy i około 100.000 ludzi, dojeżdżających z osiedli podmiejskich. Ulice aż huczą życiem, ruch samochodowy jest spory, taksówek przeszło 1000, przed Głównym Dworcem czekają całym stadem, żadnych ograniczeń benzyny (jest węgierska, rumuńska albo sowiecka), upłynnia się tą drogą nasz węgiel — mówią. Jeżdżą zaś bardzo «żywiotowo», jak zauważył szofer mojej taksówki, wymijając pędzącego kolegę. Poza tym konne dorożki, tramwaje i autobusy, a także ciężarówki pasa-

żerskie, zwożące co rano urzędników poszczególnych instytucji z oddalonych punktów przedmieścia. Odbudowano lub zbudowano na nowo 25 linii tramwajowych, 17 linii autobusowych i 3 trolleybusowe, które dysponują 314 wozami tramwajowymi, 67 autobusami i 21 trolleybusami. Obsługują one w samej Warszawie łącznie trasę o długości 222,9 km.

Restauracje są liczne, kawiarnie ludne, sklepów z zapełnionymi wystawami co niemiara, bardzo wiele księgarni, w brzmach domów antykwiariaty, kioski z papierosami sprzedają nie tylko wyroby Monopoli Tytoniowego, ale także papierosy amerykańskie w każdej ilości, po 300 złotych za paczkę, po 15 zł. za sztukę. Najtańsze polskie «Triumfy» lub «Nysa» kosztują po 60 zł. za paczkę. Wielu ludzi kupuje papierosy na sztuki.

Ruchem kierują milicjanci, w białych, lnianych mundurach (jest lato) i białych «krągłych czapkach z daszkiem. Są na ogół grzeczni, ale stanowczy w przestrzeganiu przepisów ruchu ulicznego. Zaraz pierwszego dnia przedstawił mi któryś z nich *doraźny nakaz karny Nr 48448 (I)* na 50 złotych za przejście przez ulicę Marszałkowską w nieodpowiedniej chwili. «To dla pańskiego dobra» — mówi, inkasując pieniądze i mrugając do mnie porozumiewawczo. Że niby trudna rada, ale taki jest jego obowiązek.

W związku ze zmianami nazw ulic, przywracanych teraz częściowo do dawnego, historycznego brzmienia (Foksal — przez jakiś czas ulica Młodzieży Jugostowiańskiej, którą po incydencie z Titem przezywali Warszawiacy «Nie Tędy Droga», albo «Quo Vadis Tito?» — nazywa się już znowu jak dawniej), oraz zmianą nazwy policjantów na milicjantów, krąży po Warszawie następująca historyjka z pierwszego okresu po «wyzwoleniu»:

— Przepraszam, panie posterunkowy...

— Nie mówi się panie posterunkowy, mówi się obywatelu milicjancie.

— Chciałem trafić na Al. Ujazdowskie...

— Mówi się Al. Stalina.

— No to może mi pan jeszcze powie czy most przez Wołę już stoi, bo ja chciałbym potem na Pragę...

Warszawskie kpiarstwo nadal kipi i kwitnie.

W restauracjach jadłospisy podają wybór potraw co najmniej tak liczny, jak przed wojną. Jedzenie znakomite, obfitość porcji także tradycyjna. Siedzę z pewnym brzuchatym jegomościem przy chłodniku z szyjkami rakowymi i pałardzie z kapłona, zakrapianej gęsto śliwownicą. Jest z tych, którzy bywają zagranicą.

— Ile razy jestem z powrotem w Polsce, oddycham znowu pełną piersią — mówi. Ale gest, którym okraślił to powiedzenie jest gestem zaczynającym się na wysokości brzucha i obrysowującym jego mocno wydłużony kształt z góry na dół.

Mimo cen, wydających się na przeciebną skalę zarobków w

Polsce bardzo znacznymi, wszędzie pełno. Ale podają w każdej restauracji od 3-ciej do 5-tej obowiązkowo także obiad tzw. klubowy, za 150 złotych i popularny — za 65 zł. Taki obiad składa się z dwóch dań, nie tylko jadalnych, ale na ogół także najeadalnych. Sam sprawdziłem*).

Powiedziałem, że lokale są pełne. Skąd ludzie mają jeszcze pieniądze w Polsce? Rzecz prosta, że zwykły robotnik nie może sobie pozwolić na bywanie w takich restauracjach, chyba, że należy do przodowników pracy, to znaczy, że wyrabia jakieś nadnormy, premiowane często bardzo wysoko. Skąd więc, powtarzam, biorą się te pieniądze, których wydawanie w lokalach warszawskich odbywa się tak szeroko?

Trzeba tu stwierdzić przede wszystkim, że zarobkowe możliwości dla człowieka ze zdolnościami, z głową i z nosem, są w Warszawie większe niż gdzie indziej, a wynikają w ogóle z tendencji kumulowania kilku posad, co oczywiście reprezentuje ogromne przeciążenie pracą dla tych, którzy nie trudnią się interesami. Przeciętą urzędniczą pensją także przecież waha się od jakich 8.000 do 15.000 złotych. Inicjatywa prywatna, chociaż tępiąca i coraz bardziej naciskana podatkami, jeszcze się jednak broni. Bronienie to daje często smutne skutki, zwłaszcza odkąd wzięto się do badania księgowości przedsiębiorstw za rok 1946. Wykryte nadużycia prowadzą bez pardonu za kratki i zmniejszają wydatnie ilość przedsiębiorczych albo wykazujących się nadmierną inicjatywą ludzi. Są wprawdzie tacy, którzy w czasie okupacji porobili majątki; przepuszczają je teraz, ponieważ istnieje obawa, że utrzymać je będzie zbyt trudno. Paradoks, że się w Polsce najlepiej powodzi kapitalistom ma nogi coraz krótsze. Żyje się więc przeważnie z ręki do ust.

Naukowa i literacka praca daje dochody stosunkowo najmniej krępowane przepisami i naciskiem podatków. Nie zapominaj, mówił mi jeden z kolegów po piórze, że Polska to dzisiaj przede wszystkim księstwo pisarzy. Ale o tym potem, osobno.

Lokale znajdują się na ogół pod obserwacją kontrolerów skarbowych, interesujących się wcale żywo każdym klientem, który rzuca pieniędzmi. Niech no który zwróci ich uwagę, a może mu się zdarzyć rewizja, nalot albo desant (jest zdaje się rozróżnienie intensywności w tych trzech pojęciach) Skarbowej Komisji Specjalnej, która wtrąca się człowiekowi do najbar-

*) Dla ilustracji przytaczam menu typowego obiadu klubowego w restauracji warszawskiej: Zupa lub rosół, sztuka mięsa z ćwiką lub potrawka cielęca (150 zł.). Popularny: Zupa kalafiorowa lub barszcz zabielały, bitki sarnie po myśliwsku lub sznycel siekany [złożliwi nazwają go «przeгляд tygodniowy» (65 zł.)]. Niektóre restauracje dają także obiady tzw. firmowe z trzech dań, z większym wyborem za 250 zł. Praktykowane są dni bezmięsne i bezciastkowe. W dniu bezmięsnym dozwolony jest drobi i dziczyzna. Można w te dni spotkać w menu restauracyjnym np.: pieczeń wieprzową z dzika, albo sznycel z drobiu. — Jaki jest ten sznycel? — zapytałem. — Oczywiście cielęcy. — odpowiedziano. W dzień bezciastkowy zamawia się w niektórych kawiarniach «partyzanta». I dostaje sporą porcję bitej śmietany. Ciastko ukryte jest pod nią.

dziej prywatnych rachunków i wymaga od niego przekonywujących dowodów na każdy wydatek i każdą sumę jaką przepłynęła przez jego ręce. Potrafi ten obyczaj niejednemu na długie zakłócić poczucie spokoju, zwłaszcza jeżeli przy tej okazji Komisja trafi na najmniejszą nieścisłość, która podpada pod rubrykę karalnych nadużyć. Sankcja podatkowego domiaru, wyznaczanego w zależności od oceny pobocznego zarobku, który nie został zapisany w deklaracji dochodów, kładzie niejedną prywatny interes na obie łopatki. Mania robienia interesów na lewo jest pozostałością wojenną, która wykształciła się u wielu ludzi w nieprzeczuwany przedtem talent i stanowi w dzisiejszej sytuacji niebezpieczny już i tępiący nawyk.

W związku z owymi niedyskretnymi pytaniami, jakie grozić mogą klientowi, który płaci podejrzanie wysoki rachunek w restauracji, opowiadają popularną anegdotę, że pociągnięty w tej sprawie za język gość na pytanie, jaki jest jego zawód, odpowiada: zawód? Nauczyciel. — A ile też pan zarabia jako nauczyciel? — Około 8.000 złotych miesięcznie. — Jak może pan wyłumaczyć w takim razie wydatek kilku tysięcy złotych na dzisiejszą kolację? Czyżby miał pan dochody poboczne? — A oczywiście że mam. Daję prywatne lekcje. — I przynoszą panu aż tyle? — A tak. Bo przecież mam między swoimi uczniami jednego ministra, którego przygotowuję do matury i jednego generała, którego uczę po polsku...

Jeszcze przed rokiem uważano, że na przykład kawiarnia w Warszawie jest jednym z najlepszych interesów, jakie sobie można wyobrazić. Znamiennym objawem zmiany tego mniemania jest okoliczność że istnieją obecnie oferty na kupno prosperującego lokalu tego typu, na który jeszcze niedawno było sporo amatorów z pieniędzmi, dziś natomiast trudno ich już znaleźć. Jest to wynik przewidywań, że interesy «lokalowe» będą się raczej kurczyć, niż rozwijać.

Zaszła też w Polsce spora i powszechna zmiana stylu w ubiorze, wynikająca z podrobniania robotnika, a zwłaszcza chłopca, pod jakiś lepszy, zamożniejszy standard i jakby zmniejszenie ilości dobrze po europejsku ubranych ludzi. Wrażliwość na sprawy ubrania jest bardzo różna, zależna nie tylko od oczu ale także od zwaństwa obserwatora. Mogę powiedzieć, że mimo pewnych oznak niedostatku, jeżeli idzie o przyodziewek, zilustrowany choćby faktem wielkiej różnorodności stroju, bo o wybór w warunkach ich życia trudno i każdy ubiera się «w com ta miał», ogólnie przecież na ulicy warszawskiej przechodnie ubrani są lepiej, niż by się tego można po nich spodziewać. Najgorzej wyglądają od strony butów. Wielu chodzi w pantoflach tenisowych. Ostatnio dopiero Bata w wyniku wymiennych umów między Polską a Czechosłowacją, rzuciła na rynek trochę teniego, ale też niezbyt solidnego obuwia. Mężczyźni często w bryczesach i butach kawalerskich (krój oficerski). Tak pono chodzili w czasie okupacji. Są w pumpach, z wykładanym à la Stowacki kołnierzykiem i w «bandytówce»,

No to dlaczego aresztują? — pytam. E, proszę pana, aresztują tylko takich, którzy pracują *ponad normę*.

Rozmowa schodzi przypadkiem na fatalny stan, tzw. ubikacji w całej Polsce. Wróciłem właśnie z podróży «Beniowskim» z Szczecina do Sopotu i także tam, na okęcie stwierdziłem karygodne zaniedbania w tej dziedzinie. Wschód, smród i ubóstwo. Sytuacja wołająca o pomstę do... Sławoja. Na Wystawie Ziem Odzyskanych napis na drzwiach ustępu: «Za użycie — opłata 10 zł. Pracownicy WZO za okazaniem legitymacji płacą 2 zł. Dla kontroli należy żądać pokwitowania opłat». Podłyszałem czyjąś uwagę, już po opuszczeniu tego przybytku: kwity to dają, psiakrew, ale papieru w środku za żadne skarby nie znajdziesz... A na to wszystko filozoficzne spostrzeżenie kolegi pisarza, który objechał cały świat: zauważyłem, że w ustrojach radykalnych kłozety *nie lubią* funkcjonować...

Chciałbym tutaj podkreślić jeszcze jeden polski egotyzm, uderzający zwłaszcza kiedy się przyjeżdża do Polski z takich krajów jak Stany Zjednoczone, Francja albo Anglia. Polska jest bowiem krajem bez obyczaju napiwków. W restauracjach dolicza się do rachunków procent za usługę i płaci dokładnie sumę na nim wyznaczoną. Szofer taksówki bierze akurat tyle ile wybił licznik i nawet mówi «dziękuję». Nie spodziewa się żadnego dodatku, nie liczy na więcej. Obyczaj ten dobrze wpływa na stosunki między ludźmi. Zawsze się trochę dziwiłem, że w krajach, w których skąpstwo klientów i chciwość służby jest rzeczą powszechnie znaną, pozór dobrowolności napiwku utrwalił się w zwyczajach i przybrał formę przyjętej przez wszystkich instytucji. Wynikają z tego niepotrzebne zadrażnienia, niezadowolone pretensje i przykrości. Każdy z nas ma w oczach wściekłe miny zawiedzionego szofera francuskiego, rzucającego klientowi w twarz jakieś drobne, które wydają mu się niedostatecznym wynagrodzeniem jego już zapłaconej usługi, albo przekleństwa, rzucane przez szofera amerykańskiego, który nie jest zadowolony nawet z tradycyjnych 10%, przyjmując na oko, że pasażer może, względnie powinien zapłacić więcej.

Od tego zauważenia krok tylko do stwierdzenia innej jeszcze cechy Polaków. Jest nią, mimo przebytej wojny, niesprzyjającej rozwojowi dobrych manier, znaczna i ujmująca uprzejmość, obejmująca także pokolenie najmłodsze. Wiem, że nie jest to na ogół przyjęte zdanie, jeżeli idzie o zachowanie się ludzi w Polsce, ale stwierdzam, że w ciągu podróży i możliwości zetknięcia się ze wszystkimi szczeblami tzw. drabiny społecznej, nie doświadczyłem nigdy objawów przysłówiowego chamstwa, z wyjątkiem chyba sytuacji, w których tłok tłumu nie pozwala na żadne delikatności w postępowaniu. To samo powiedzieć można o przeciążonych na ogół i podenerwowanych naciskiem klienteli urzędnikach. Bowiem w życiu spotyka się człowiek z objawami ułatwiania go sobie i tendencją złagodzenia raczej, niż zaostrożania jego i tak już trudnych warunków. Obyczaje zresztą nie uległy wielkiej zmianie. Coraz to trafić można na

typową dla Polaków nadwrażliwość, wietrzącą czyjąś chęć ubliżenia człowiekowi, zwłaszcza gdy lekko podchmielony stan zacierza w mim czucie proporcji, przyjaciele nadal całują się z dubeltówki i całują w rękę kobiety przy każdej okazji, panuje powszechnie nieumknioma konieczność podawania każdemu ręki i ceremonie przy wchodzeniu i wyc łodzeniu, które Francuzów skłoniły do zauważenia już dawno, że dla Polaków drzwi otwarte są przeszkodą nie do pokonania.

Istnieją także próby wychowywania w społeczeństwie obyczaju uczciwości, którym służą np. zainstalowane w tramwajach skrzynki z gazetami. Klije sam bierze, sam płaci, a nawet zmienia pieniądze z otwartego pudełka. W pierwszej fazie rozmieszczenia tych skrzynek konstатовano zwykły nadwyżki przy obliczaniu dziennego wpływu. Potem nagły deficyt. Zabrano się do badania jego przyczyn z dokładnością na jaką stać dzisiejszy system i stwierdzono, że szuka nie publiczność, ale właśnie funkcjonariusze, powołani do opróżniania publicznych «skrzynek uczciwości».

W redakcji jednego z pism warszawskich byłem świadkiem. W ciągu godziny szoferzy taksówek, względnie szarzy obywateli, znieśli coraz to czyjeś zgubione przedmioty. Rubryki znalezionych rzeczy w gazetach są same przez się wymowną ilustracją tego zjawiska.

Jest także inna strona zauważonej tu prawdy.

Wydaje się, że jej przyczyną szukać trzeba w rozpanoszonej jak nigdy biurokracji obecnego systemu, która stanowi jedną z plag życia w Polsce, poddanej tyranii cyfr i papieru. Pokazywano mi w którymś urzędzie «dziennik czynności» z rubrykami w jakie urzędnik wstawia dokładny opis sposobu wyzyskania obecności swojej w biurze: od 8.33 do 8.45 sortowanie korespondencji, o 9.10 telefon, o 9.48 wywołany przez szefa, o 10.40 wrócił itd., to znaczy *ad absurdum* i właściwie całkiem do wolnie. Pracownicy wysilają głowy, aby te rubryki wypełnić z możliwie dużym urozmaicheniem. Podobno potrzebne to jest do badań nad intensyfikacją pracy, czy dla ustalenia warunków współzawodnictwa, czy jeszcze czegoś. W sklepach zastaje się personel nad kolumnami cyfr. Na każdą sumę kwitek z osobnego bloku (przez kalkę) wydawany kupującemu, oprócz konieczności zapisania każdej pozycji co najmniej trzy razy. I niech no coś spróbuje się mnie zgadzać.

Biurokracja tylko wtedy zdaje się w ogóle znośna, jeżeli ze strony sprawujących jej funkcje istnieje wobec petenta, klienta i publiczności życzliwość, największa niewątpliwie z społecznych cnót. Przy przeciążeniu jej aparatu pracą nie ma po prostu czasu ani okazji na jej praktykowanie. Nie mówiąc o tym, że wewnątrz tego aparatu żywią się najgorsze instynkty zawłasci, lizusostwa, donosicielstwa, wszystkie polskie i ludzkie wady ambicji, pięcia się w górę, chociażby kosztem innych — instynkty właściwie przecież typowo «burżuazyjne».

Wygląd ludzi, zwłaszcza latem, kiedy dużo jest opalanej skóry i po powrocie z letnisk wypoczętych i odświeżonych twarz, nie wskazywałby przy pobieżnym spojrzeniu w tłum tych klasowych objawów, zdartych nerwów i nadszarpniętego zdrowia w społeczeństwie, jakie są wynikiem wojny. Wiadomo jednak, że zdrowotny stan ludności pozostawia wiele do życzenia, bo też start, z którym zaczynało się dzisiejsze, już pokojowe życie, był co się zowie groźny. Charakteryzowało go, oprócz powszechnego alkoholizmu, pogorszonego złym gatunkiem alkoholu, robionego prywatnie, tj. bimbrem, panoszenie się chorob wenerycznych, głównie w wojsku i na Ziemiach Odzyskanych i trudne warunki leczenia, wynikające z małego uświetlenia chorych. Dalej gruźlica, zarówno u młodzieży jak i starszych; przy obecnym stanie ludności zarejestrowano 1.200.000 dotkniętych jej objawami, co grozi 200.000 zgonów na rok. Dalej mała odporność na zakażenia, wiele owrzodzeń, złośliwych angin, powtórnych zachorzeń na odrę. Dane te, dostarczone mi przez jednego z warszawskich lekarzy, opatrzone były stwierdzeniem, że gdyby nie sulfamidy lekarzy, opatrzone były Naczelnej Komisji Walki z Epidemiami, groziłoby Polsce szerzenie się chorób zakaźnych, przypominające średniowiecze.

Jeżeli dodać do tego obrazu brak personelu lekarskiego i niedostatek lekarstw, oprócz faktu że 800.000 kalek potrzebuje prócz 2.000.000 sierot i półsierot i 5 milionów dzieci okazało się niedożywionych, a śmiertelność noworodków sięgała 20% — będziemy mieli obraz sytuacji, zdefiniowanej w najgorszym, wojennym okresie startu i prowadzącej do rezultatu, że Polska, posiadająca przed wojną przyrost naturalny powyżej 11 na 1000 mieszkańców (Niemcy 7) w stosunku rocznym, dawała plus minus 150.000 ubytku, zamiast przyrostu (dane z r. 1946).

Do danych tych należy dorzucić jednak poprawkę, która wynika z okoliczności, że po wprowadzeniu ślubów cywilnych i odebraniu kościołowi urzędowego tytułu do rejestracji urodzin i zgonów, ludność zgłaszała je początkowo bardzo nieregularnie u Urzędach Stanu Cywilnego. Sondaże, przeprowadzone przez prof. Czekanowskiego w parafiach, dały rezultaty bardziej optymistyczne. Referował je na Radzie Naukowej dla Ziemi Odzyskanych wiosną 1948 w Krakowie. Wykazywał nawet, że w najgorszych latach prześladowań 1942-43, przyrost ludności zawsze przewyższał ilość zgonów.*)

*) Spis z 14 lutego 1946 ustala ludność Polski na 23.930.000, w tym 12.976 tys. kobiet i 10.954 tys. mężczyzn, 36% poniżej lat 18, 55% między 18-59 rokiem życia, 9% ponad lat 60.

Z wyjątkiem Warszawy, której ludność zwiększa się nie tylko drogą naturalnego przyrostu, ale głównie z napływu (na ogólny przyrost w 1946 r. wynoszący 67.923 nowych mieszkańców, było 7.557 osób płci męskiej nadwyżki), sytuację ludnościową Polski charakteryzuje w wyniku wojny przewaga kobiet.

Gdyby przewidywania przyrostu ludności oprzeć na doświadczeniach przed-

Oficjalnie zarejestrowanych Żydów jest dziś w Polsce około 100.000, z tego ok. 7.000 na Ziemiach Odzyskanych, w tym 1.000 górników żydowskich w Wałbrzychu. To wszystko, co zostało z przeszło 3 milionów przed wojną. Około 80.000 repatriowano z Rosji, około 250.000 uciekło wkrótce po wojnie. Część została «po stronie aryjskiej», asymilując się w wyniku wojny, — zmieniając nazwiska i wtapiając się już bez reszty w społeczeństwo polskie. Mówi się o nich «narciarze». Przyjęli nazwiska na ski.

Wielu Żydów zajmuje ważne w życiu państwowym stanowiska. To skłoniło znanego z dowcipu pisarza do odpowiedzenia na pytanie, jak się czuje za Żelazną Kurtyną? — Tak jak za Żelazną Bramą.

W Warszawie natomiast powiada się, że szczytem odwagi byłoby przebrać się za Araba i spróbować wejść do gmachu Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Dowcipy tego rodzaju są jednak bardzo źle widziane.

iv.

Podróż kolejną

Mówiono mi nieraz: niech się pan przejedzie pociągiem, niech pan posłucha, co mówią ludzie.

Jeździłem pociągami. Ale zanim powiem o ludziach, muszę najpierw parę słów poświęcić samym kolejom. Nie mam pod ręką cyfr, aby wyrazić rozmiar ich zniszczeń i dezorganizacji, ale mam w oczach strzaskane dworce i ślady zwałonych mostów, cementarze lokomotyw i wagonów, widoczne dotąd na każdej niemal stacji.

Ściś to jedno przy drugim, postrzelane, pobite bombami, nieużyteczne. Pod Braniewem, na samej północy Warmii, blisko granicy, wzdłuż linii kolejowej leży do dziś dnia pociąg, złożony z kilkudziesięciu wagonów, wywróconych kołami do nieba. Jest takich obrazków na pewno więcej. Znaczą wymownie stan kolejnictwa w Polsce, ale także drogi, dzielącej nas już od tego stanu dzisiaj, jeżeli zważyć, że koleje funkcjonują w Polsce normalnie, punktualnie i gdyby nie mocno jeszcze podniszczony tabor, można by prawie powiedzieć, że tak jak przed wojną.

wojennych (Polska w r. 1931 liczyła 27 mil. mieszkańców, czyli 70 ludzi na km², a w 1939 na tym obszarze 35.000.000, czyli 90 ludzi na km², co daje przyrost 27% w ciągu lat 17-tu), można by liczyć, że w roku 1960 ludność Polski wzrosła do liczby 27 milionów, czyli 84-86 osób na km² obszaru, przy dzisiejszych granicach. Odpowiada to zaludnieniu Danii i przewyższa Francję (76 na km²). Ale w porównaniu z czasami przedwojennymi, trzeba przypomnieć, że obliczenia dotyczące ludności rdzennie polskiej, wyzutej bowiem niemal całkowicie z mniejszości, podczas gdy w przedwojennych 35 milionach mieszkało się około 8 milionów niepolishich mieszkańców, zamieszkujących wspólny obszar, choć nie wszyscy byli skłonni uważać Polskę za swoją ojczyznę.

Nadal jeszcze nocą podróżuje się bez światła w wagonach, druga klasa natomiast jest podobnie jak trzecia — twarda, a to z powodu tych ciemności właśnie i smutnych doświadczeń z pluszem czy innym materiałem, jakim próbowano wyściełać odnowa siedzenia. Oplacało się jeżdżenie drugą klasą szabrownikom, drącym z siedzeń w ciemności całe pasy materiału i to do tego stopnia nagminnie, że trzeba było zrezygnować tymczasem z uczynienia jej, jak dawniej, miękką. Do sumy wysiłku, włożonego w odbudowę arterii kolejowych, trzeba wliczyć jeszcze zamiar torów na kilku większych liniach z szeroko normalnotorowe.

Wszędzie dziś na kolejach pełno. Polacy jeżdżą masami. Dużo ludności wiejskiej. Do intensywności tego ruchu przyczyniały się tego lata tłumne wyjazdy robotników i pracowników wszelkich instytucji na *wczasy*. To takie nowe słowo w Polsce, znające urlop (z nowych polskich słów do zanotowania *wdzianko* — nazwa lnianej, popularnej kurtki z krótkimi rękawami).

Każdy z pracowników państwowych albo spółdzielczych ma prawo do wczasów, z bezpłatnym albo bardzo zniżonym przejazdem i bardzo niedrogim pobytem w setkach uzdrowisk i letnisk, nad morzem zwłaszcza i na Ziemiach Odzyskanych. Jest nawet wolność wyboru miejsca, w którym chciałoby się „wczasować”, pod warunkiem oczywiście, że jest w nim jeszcze miejsce. Jeżeli do tego ruchu dodać zbiorowe wycieczki, jeżdżące wzdłuż i wszerz po całym kraju, chociaż celem wielu zwiedzających mnóstwa kongresów był w tym roku Wrocław, ze względu na wystawę — łatwo już będzie zrozumieć popołite na dworcach, przed kasami, ogonki ludzi. Sprzedawanie biletów trwa długo, bo każdy prawie pasażer ma jakiś dokument, zezwalający na zniżkę, kasjer natomiast nie ma gotowych biletów i większość z nich wypisuje. Jest jakimś niewytłumaczonym sekretem biurokracji w kraju, w którym większość instytucji jest upaństwowiona, ta zniżkowa rachunkowość, wymagająca niezliczonych pisań, przelewów, obliczeń i rozrachunków, które wszystkie zbiegają się przecież w jednej i tej samej kasie. Łatwiej w Polsce o przelew krwi, niż o przelew czeku — powiada pewien dowcipnis.

Tłumaczy mi inny, już bardziej serio, że z psychologicznych względów lepszym chwytem jest danie człowiekowi prawa do zniżek na kolej, tramwaj, kino, teatr i inne przyjemności, względnie konieczności życia, niż na przykład podwyżkę pensji. Bo zniżka sławni swego rodzaju przywileju, stwarza poczucie wyróżnienia i korzyści, wynikającej z pracowania w tym czy innym urzędzie, co przy podwyżce pensji albo obniżeniu cen, przesłaboby właściwie niezauważone.

A teraz już jedziemy. Kontakt z ludźmi nawiązuje się łatwo. Bo też Polacy gadają co myślą i wygadują ile mogą. Pamiętam robotnika, starego człowieka, który młodemu kapitanowi, owiemtemu w pelerynę, wykladał swój pogląd na świat i na to, że właściwie nie ma różnicy między tym co było, a tym co

jest. Jak były więzienia — tak są więzienia. Jak dawniej trzeba było pracować — tak i dziś trzeba pracować. Jak byli panowie — tak są panowie. I rozgadawszy się, dalej wszystko w ten desień porównywał. A co do wojny, to choć jedna się dopiero skończyła, druga znowu nam grozi i nigdy temu nie będzie końca. Znowu mamy na przykład wojsko. Po co nam jeszcze wojsko? Było to pite wyraźnie do owej mundurowej obecności w przedziale. Kapitan z odznakami I-szej Armii, a więc formacji z tradycją i przeszkoleniem politycznym, czując, że trzeba na to odpowiedzieć, zaczął tłumaczyć, że wojny skończą się dopiero, jak będzie jeden świat demokratyczny, a znowu niesprawiedliwość społeczna może zniknąć dopiero, kiedy wszędzie zlikwiduje się kapitalizm. Nie wydaje się, że przekonał robotnika. Mówili więc nadal: ten sobie, a tamten sobie, choć inni pasażerowie przezornie nie wtrącali się wcale do rozmowy, półsłówkami tylko zaznaczając swoje niezbyt określone w niej stanowisko, byle podtrzymywać dyskusję.

W innym przedziale pasażer, widzący przez okno zającą w lesie, mówi: «Pewno taka będzie nasza przyszłość». Zainteresował się jego sąsiad, co też ma na myśli. Wyjaśnienie brzmiało, że przecież zając «bezpartyjny i w lesie». Cały przedział huknął śmiechem, co znowu stanowiło prolog do opowiadania ciętych i śmiałych kawałów na temat nowej rzeczywistości. Prości ludzie nie liczą się bowiem ze słowami i gadają, co im przejdzie przez głowę. «Takie rzeczy mówili, że bałem się słuchać» — opowiada się potem. «Nie są ostrożni, proszę pana. I co im można zrobić?». Nie sposób zlustrować tego twierdzenia lepszą historią, niż tą, jaką, zaśmiewając się w gronie swoich przyjaciół, opowiada ambasador Lebediew. Rzecz działa się w Szczecinie, w roku 1946. Z okazji pobytu Bieruta i rządu, odbył się tam bankiet, na którym obok prezydenta, zarezerwowane było miejsce dla wicepremiera Mikołajczyka. Nie zjawił się on jednak na ten bankiet, wobec tego Bierut poprosił Lebediewa o zajęcie przy nim wolnego miejsca. W chwili kiedy służba zaczęła podawać, jeden z kelnerów, który przeczytał przez ramię Lebediewa kartkę z nazwiskiem Mikołajczyka, leżącą przed nim na stole, pochylił się ambasadorowi sowieckiemu do ucha i powiedział: «Panie prezesie, my wszyscy z panem».

Siedzę sobie, wcisnięty między pasażerów w przedziale i wysłuchuję historyjki o PPR; że jest jak cmentarz — wszyscy się tam w końcu znajdują. I zaraz potem, że Polska jest jak noworodek: małe to, czerwone, krzykliwe — i podobne do sąsiada.

Jakaś skromnie ubrana kobieta o szlachetnej, zmęczonej twarzy opowiada wileńskim, rozciągniętym akcentem, jak wyglądało jej życie kiedy gdzieś na obszarach nowogródzczyzny; mieszkała w 43-cim roku na łasce Niemców i partyzantów, jak między młotem a kowadłem. Partyzanci zabijali za stwierdzoną bytność Niemców w domu, Niemcy za partyzantów. A każdy domagał się gościnności z rewolwerem w ręku. Sama nie wie, jak przeżyła ten koszmarny.

Rozplątały się języki. Każdy jakieś wspomnienie przytacza, licytują się w opowiadaniu okropności, aby stwierdzić, że jeśli żyją, to tylko cudem. Dzięki działaniu całej serii cudów. Przy oknie stare i mocno zaniedbane, bo brudne chłopisko wyciąga z kieszeni szczyptę machorki, udziera kawałek gazety i skręca sobie papierosa.

Potem znowu jak w Grand Guignol'u przeskakują na lżejsze tematy. Ktoś pyta: czy znacie nową wersję «Kto ty jesteś? Polak mały...». Nikt nie zna, więc mówi taki wierszyk:

*«Kto ty jesteś? Polski kmiotek.
Jaki znak twój? Sierp i młotek.
Gdzie ty mieszkasz? W jakim kraju?
Proszę pana, ja nie znam...».*

A drugi, żeby się nie dać zakasować wytrząsa, jak z rękawa, dwie od razu anegdotki. Rozmowa w areszcie UB. Za co pana zamknęli? — pyta towarzysz niedoli. Za to, że się spóźniłem na pociąg. No, no, za to chyba jeszcze nie zamykają. Ale kiedy mówię panu. Bo gdybym się nie spóźnił, to by mnie tu już dawno nie było.

A słyszeliście, jak postępuje budowa nowego domu Zjednoczonej Partii? — ?... — Prawe skrzydło już wykończone.

Wyciągnąłem z teki kupiony przed podróżą egzemplarz *Wstępu do teorii Marksa* i zacząłem czytać. W przedziale zrobiła się cisza i poczułem wyraźnie chłód, jaki się zrobił koło mojej osoby. Już nikt więcej nie powiedział dowcipu i nikt nie próbował mnie zagadać.

Jeżeli ten drobny incydent może posłużyć jako ilustracja nastrojów, to oczywiście przyznać trzeba, że jest on zarazem stwierdzeniem nie tylko wrogości ogółu wobec zagadnień, jakich rozwiązywanie ma miejsce w dzisiejszej Polsce, ale także typowego w nim konserwatyzmu.

Te elementy składają się także na ocenę postępowania ludzi, którzy z przekonania, albo w wyniku ewolucji pojęć, jakiej dopomogła wojna, ustosunkowują się do rzeczywistości pozytywnie. Nie mówię tu o przejrzystych karierowiczach, gotowych do zrobienia każdej woity, w zależności od tego jak wiatr wieje. Mówię o ludziach z czystą pobudką i logiczną w wyniku posiadania takiej, a nie innej, koncepcji, linią angażowania się czynnego w dzisiejszej rzeczywistości. W rodzinie jednego z nich, którego przekonania od dawna były znane i prowadzące do tego właśnie udziału, nie mówi się o nim inaczej jak «biedny człowiek», albo wręcz, że trochę pomyłony. I są w tonie tych słów jakieś bezmiary politowania, jak gdyby mówiono o kimś bliskim, który poszedł na złą drogę.

Mimo krążącego dowcipu, że U.B. ogłosiło konkurs na najlepszy kawał polityczny (pierwsza nagroda — 5 lat obozu pracy, druga — 3 lata, oraz kilka nagród pocieszenia) pocągania Polaków do odpowiedzialności za danie upustu

*świerzbicemu ich językowi mają miejsce stosunkowo rzadko. Wiele popularnych dziś w Polsce historyjek urodziło się wśród ludzi reżimu, a w każdym razie powtarzane było przez nich nie bez przyjemności. Sam słyszałem niejedną z tzw. oficjalnych ust. Nie puszcza ich cenzura, więc nie znajdują odbicia w prasie; żyją też wobec tego i rozwijają się na wolności. Jedną z ostatnich brzmi tak: «Znana na ogół definicja partii w Polsce: PPR — Polska Partia Rządząca, PPS — Polska Partia Słuchająca, PSL — Polskie Stronnictwo Leżące, SL — stronnictwo Liżące i SD — Stronnictwo Drżące — nie spotkała się z uznaniem słuchającego tej interpretacji Rosjanina. — Nie bawi to pana? zapytano. — Czy panowie słyszeli o kanale Białomorskim? — odpowiedział. — Oczywiście, ktośby nie słyszał. — Otóż właśnie, budowali go właśnie takie jak wy anegdotczyki. I dlatego mnie to nie bawi.

I jeszcze jedna, skoro już mówimy o partiach. Córka prezesa Stronnictwa Demokratycznego jest pielęgniarzką w szpitalu. Zawód jej, opowiada ojcu, przypomina rolę jaką dziś w Polsce odgrywa jego stronnictwo. Polega bowiem głównie na trzymaniu pacjenta przed operacją za rękę i zapewnianiu go, że to nie będzie boleć.

V.

Analiza podejść politycznych

Podmalowanie ogólnego obrazu życia Polski musi wyjść od stwierdzenia, że państwo, bez względu na kolor czy na tendencję, jakie charakteryzują jego rozwój, funkcjonuje. Ze nastąpiła w kraju normalizacja stosunków (której nie trzeba mylić ze stabilizacją, bowiem trwałe i kierowane rozwijanie się rewolucyjnej przebudowy ustroju wyklucza to pojęcie z polskiego życia). Ale idzie mi o takie zjawiska jak normalne działanie komunikacji, poczty i administracji, co razem związwszy, daje krajowi oblicze zorganizowanego porządku. Panuje w nim spokój, który nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek cementarnością tego pojęcia, wręcz przeciwnie; objawia cechy wielkiego dynamizmu życia i pracy. Spokój ten konstatuje jedynie w zewnętrznej powłoce rzeczywistości, nie byłoby bowiem ściśle określonego stanu dusz, objętych nią, jako spokojny. Ale objawy ich od czuć i ich niepokoju są na tyle opanowane, że mogłyby łatwo ujść uwadze powierzchownych obserwatorów lub cudzoziemców.

Wielu liczy na nową wojnę. Żyje też w związku z tą spekulacją, podsycaną szeptami oraz własną interpretacją wysłyszanych przez radio wieści, jak gdyby w zawieszeniu między ziemską rzeczywistością obecną i niebem jakichś spodziewań, które działające dziś wpływy i siły od jednego zamachu usuną i po-

zwolą Polsce wypłynąć na wody niczym już nie zakłóconej niepodległości.

Pod kątem przewidywań, związanych z tymi wyrachowaniami, dzielą się ludzie na realistów i marzycieli. Marzyciele mówią, że tylko czekać — będzie (mówią tak już od 1945 r.) że się skrupi w Europie na Niemczech, które odbudowują przeciw Rosji Amerykanie, a znowu z Rosją rozstrzygnięcie nastąpi atomowe, albo gdzieś na Dalekim Wschodzie. Może w Chinach? No bo od czego Japończycy. Realisci przytaczają nastroje przed powstaniem w Warszawie. Wspominają entuzjazm, z jakim je wwoływano. I przypominają skutki.

Czynniki rządowe dbają o to, aby obywatelowi nie pozwolić przespać faktu, że przeżywa on rewolucję. Ale stwierdzają to często ci właśnie obywatele, zwłaszcza kiedy przechodzi do robienia porównań: mogło być gorzej. Będzie też może gorzej, ale czy wolno dlatego zakładać ręce i nie chcieć żyć?

Mowa była o cztęnych wolnościach, deklarowanych na zachodzie, jako cele do uzyskania w wyniku wygranej wojny. Jedną z uniwersyteckich osobistości wyliczyła mi na poczekaniu te cztery, które jeszcze funkcjonują w Polsce:

- 1) wolność wyboru pracy,
- 2) wolność słuchania radia,
- 3) wolność poruszania się,
- 4) wolność prywatnej krytyki.

Dla ścisłości dodać trzeba także wolność kultu religijnego. Wprawdzie dużo się robi, aby wpływ kościoła nie sięgał poza mury świątyni, ale z ambon mówi się ostro i mówi właściwie co chce.

Uprzywilejowanie innych. wyznań, nie posiadających dotąd korzeni w Polsce, jest nie tylko wynikiem rozdziału kościoła od państwa, ale wyrazem tendencji reżimu, aby kościół dziś panujący miał w terenie konkurencję innych także pasterzy, starających się o zdobycie i nawracanie dusz. Apostołują więc metodyści, mormoni, kościół narodowy, adwentyści, badacze Pisma św., albo synowie Jehowy. Cytuje się w tej materii zdanie ministra świątkowskiego, który powiedział, że przecież w Ameryce także są przy każdej ulicy kościoły różnych wyznań.

Muszę przyznać, że nikt oficjalny nie próbował mi dowodzić, iżby wolność w pojęciu zachodnim, istniała w Polsce. Nie próbował przekonywać, że reżim dzisiejszy jest reżimem tolerancyjnym, albo że w prowadzonej na wewnętrznym froncie walce o wyłączenie od wpływów czy znaczenia wszystkich elementów, zdefiniowanych, jako klasowo wrogie — nie istnieje tendencja rozprawiania się z nimi ostro i bez skrupułów.

Wynika to z założeń zasadniczych, opartych o polityczne i gospodarcze cele. Toteż dopiero na przyjęciu do wiadomości owych zamierzeń można określać formy, jakie istniejąca walka przybiera i to pod kątem mniej lub więcej powolnego jej postępu, mniej albo bardziej surowego stosowania tej techniki. A nawet porównywać z sposobem jaki zastosowany został w podobnych celach w Rosji Sowieckiej.

Zaznaczyć tu pora istnienie różnic w ocenie owych celów i w ocenie dzisiejszej rzeczywistości ze strony poszczególnych grup i środowisk, na jakie dziś podzielić można społeczeństwo w Polsce.

Pierwszą z nich, bo decydującą, będzie ta bardzo nieznaczna, wyraźnie mniejszościowa grupa ludzi, przekonanych i podporządkowanych dyrektywom partii, która stanowi instrument politycznego działania i politycznego kierownictwa dla reszty kraju. Wiemy z ostatnich wydarzeń, że i w jej łonie ideolodzy posiadali różne interpretacje roli i miejsca Polski w dokonywującym się dzisiaj pod wpływem Rosji procesie ustrojowych przekształceń, jaki ogarnął i przeorywuje kraje jej satelitów. Trzon tej grupy stanowią ludzie partyjnie już przeszkoleni — mówię oczywiście o rdzennych Polakach — którzy przyjmując ideologię materialistyczną bez zastrzeżeń, grają dziś rolę inżynierów społecznej rewolucji, jako aktywni nowego porządku. Cechuje ich religijna żarliwość propagatorów nowej wiary i wyzbycie z wszelkich wątpliwości, że może istnieć inna forma, względnie inna droga rozwoju, już nie tylko Polski, ale świata. Do podstaw, na których budują swoją wiarę, należy nie tylko literatura marksistowska jako swego rodzaju pismo święte, ale także nowe interpretacje tego pisma, wynikające z nauk Lenina i Stalina, wcielanych praktycznie w życie przez będący na usługach ich idei aparat Kominformu.

Spotykają się oni wszyscy w łonie partii rządzącej, która na 1-go czerwca 1948 liczyła 981.000 członków, w tym 56,7% robotników, 23% chłopów, 15,3% pracowników umysłowych, 4,3% rzemieślników i 0,7% kupców. 20% tej partii stanowią kobiety. Przy przewidzianym w grudniu połączeniu PPR-u z PPS-em, a tym samym rozszerzeniu instrumentu działania i wpływu dyrektyw partii rządzącej, przewiduje się w szeregach partii udział około 30% klasy robotniczej. Będące już w toku czystki zmierzają do wyłączenia wszystkich elementów, które do tej czerwonej elity dostały się ze względów czysto koniunkturalnych, albo które wykazują napiętnowane już publicznie odchylenia. Chodzi o uczynienie z ludzi Zjednoczonej Partii Robotniczej pewnego i posłusznego instrumentu wpływu i działania, na którym oprócz można dalszy rozwój przebudowy ustroju.

Interpretację dzisiejszości Polski, podawaną przez tych ludzi, będzie cechował nie tylko optymizm, ale wykazywanie niezwyklej koniunktury historycznej, jaka z współpracy i dostosowania się do rosyjskich interesów dla Polski wynika. Bez względu na to czy inne możliwości potoczenia się dziejów, budują oni swoje stanowisko na głębokim przekonaniu, że przyszłość leży na linii rozwojowej, której poddana została Polska i że taka właśnie jest droga postępu także dla reszty świata. Cechuje ich niemała pewność swego i żarliwy upór dowodzenia racji tego poglądu; spotykałem wśród nich typ ludzi, wykształconych być może jednostronnie, ale odznaczających się sprawnością

argumentacją i gotowych do wyciągnięcia wszystkich konsekwencji ze swojej postawy, nie uznając możliwości kompromisu z ludźmi o innych koncepcjach.

W orbicie tego wpływu i tego działania żyje dziś także pewna ilość ludzi, z inteligencji zwłaszcza, którzy z wyrachowania osobistego, względnie pod wpływem zbankrutowania ideologii, na których dotąd opierali swoje nadzieje, grawitują w kierunku przyjęcia nowych założeń społecznych i gospodarczych, uznając rozumowo ich słusność, choć ostrożni jeszcze w godzeniu się z wszystkimi konsekwencjami jakie za sobą pociągnie nowy ustrój od strony politycznej. Są często bezpartyjni, niejedni z doświadczeniami zdobytymi na zachodzie, które wbrew przypuszczeniu, stanowią dla wielu Polaków którzy stamtąd wrócili, szczepionkę ochronną przeciw poddawaniu się jego hasłom lub jego urokom. I choćby nawet nie godzili się na metody, jakie stosuje dzisiejszy reżim dla wychowywania i podporządkowywania sobie Polaków, współpracują z nim bez zastrzeżeń w nadziei, że ta współpraca stanowi pozytywniejszy wkład w przyszłość kraju, niż bezpłodna i bezwarunkowa negacja obecnej rzeczywistości. Bo też cena, płacona dziś za polskie prawo do życia jest jeszcze stosunkowo niska — rozumowali.

Ci będą więc ukazywać dzisiejszość Polski pod kątem nieuniknionej logiki wydarzeń, jakie wynikły z faktu, że przegrała ona wojnę, że mapa jej położenia w Europie — jeśli na nią spojrzeć oczami realisty — sama dyktuje konieczność obecnej sytuacji, i że nie należy wyczerpywać nadszarpniętej energii kraju płynięciem pod prąd, a raczej dać się temu prądowi ponieść, pamiętając, że umiejętnym kierowaniem wiosła można zajechać tą drogą dalej i znacznie bezpieczniej, niżby się mogło zdawać. Jest w tej ocenie miejsce także na nieśmiarte nadzieje takiego rozwoju sytuacji świata, która by Rosji pozwoliła na humanizację swoich metod, nie stanowiących dla nikogo zachęty ani przedmiotu admiracji. Co do tego, z wyjątkiem chyba góry, tendencyjnie zamykającej oczy na nieludzkosc i bezwzględność systemu sąsiadów, nikt z trzeźwych Polaków nie robi sobie złudzeń. To natomiast co przez emigrację określone bywa jako karygodna naiwność w liczeniu na gesty albo inteligencję Rosji, jest w podejściu owej grupy Polaków, współpracującej z reżimem, wyrazem cichej nadziei także w siłę samego społeczeństwa, które — choć pod przymusem — potrafi znaleźć własne formy przystosowania się do nowych założeń i wykształcić system, którego wyższość, lepszość i skuteczność znajdzie przychylny oddźwięk nawet w Moskwie, stanowiąc przykład udanej realizacji jej dyrektyw, a tym samym okno wystawowe dla reszty zagrożonej podobnym eksperymentem Europy.

Ostatnie wydarzenia w ramach partii, spowodowane interwencją czynników sowieckich oraz przyciąganie śruby wobec «odchyleń nacjonalistycznych» przekreśliło wiele wyrachowań tej grupy i zachwiało niejednymi podstawami wiary, że poli-

tyczna symbioza polsko-rosyjska da w wyniku Polakom szanse wykazywania się własną drogą rozwoju.

Osobno trzeba wymienić ludzi, których cechą zasadniczą jest cyniczny oportunizm, polegający na popieraniu wszystkiego, co może im dać korzyści, stanowiska a nawet władzę. Reżim rekrutuje wśród nich na pewno wielu koniunkturalnych zwolenników.

Reszta społeczeństwa traktowana jest przez czynniki decydujące jako oporny surowiec (jako ta lawa, być może, z wierzchu twarda, szorstka i pługawa, — choć wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi), której przetopieniu na materiał podatny pod sztancę marksizmu-leninizmu poświęcone ma być działanie partyjnego instrumentu oraz rewolucyjnej idei, szczepionej dziś coraz gęściej na żywym ciele narodu.

Mamy tu do czynienia z elementami opozycji, najczęściej biernej, których akcja nie posiada już dzisiaj żadnej organizacyjnej spójni, chyba tylko wspólny mianownik moralnych wytycznych, cementowanych głównie wpływem kościoła, choć mającej też źródło w namiętnym przywiązaniu do wolnościowej tradycji Polski. W ramach takich nastawień każdy na własną rękę szuka dróg uniknięcia fizycznych konsekwencji nie pogodzenia się z losem, jaki przypadł w udziale Polsce.

Naświetlenia sytuacji w Polsce, pochodzące ze strony tej to większości Polaków, wahać się od skrajnych potępień do stwierdzania zupełnej bezsilności wobec przymusu, choć rzadko dziś prowadzą do straceńszych odruchów.

Ale jeżeli nawet stwierdzimy, że życie tego odłamu społeczeństwa podminowane jest niepokojem i nieufnością do dziejących się na jego skórze przemian, wypadnie nam stwierdzić od razu, że silniejszy nad wszystkie obawy, niepokoje i nieufności jest pęd społeczeństwa polskiego do życia — do życia *tout court*.

Jednym zdaje się, że stoją na progu przepaści, inni mają poczucie pięcia się na jakieś trudne szczyty osiągnięć, albo szukania drogi przez manowce i grzęzawiska zagrożeń, nie czując w sobie przygotowania do tego karkołomnego trudu ani wiary w wynik swoich zmagani, ale wszyscy, cokolwiek by czuli, jakkolwiek myśleli o drodze, po której wypada im iść — starają się znaleźć pod nogami grunt, dach nad głową, jakieś minimum szczęścia czy spokoju, tak trudnego do zdobycia w dzisiejszym świecie, pozbawionym na ich rozum, sensu. I właśnie ten oto pęd, da namiętność życia *dzisiaj*, skoro jutro i tak jest ukryte i źle wróżące — stanowi cechę Polaków, pozwalającą na zobaczenie ich codzienności jako obrazu znowu normalnej, zwykłej, zapamiętanej walki o prosty byt. Znamienną ilustracją tej woli życia jest uderzająco niska ilość samobójstw w Polsce. Ani porównać np. z okresem przed wojną.

Pytanie jak się to skończy, albo ku czemu idzie, jest dla ludzi nie mających poczucia wpływu na bieg wypadków, ani siły na ich odwrócenie — czysto teoretyczne. Gdyby sądzić pod tym samym kątem codzienność lat przedwojennych, tych ostatnich

lat, które wielu ludzi w Polsce przeżywało z poczuciem, że wszystko idzie ku lepszemu i spojrzeć na nie z perspektywy dzisiejszej, gdy już wiemy co się stało *potem* — widzi się je, jako prowadzące w przepaść. W porównaniu z tamtą świadomością i przy wzbogaceniu się o straszne doświadczenia klęski, każde życie na kontynencie, bo nie tylko w Polsce, może stanowić ilustrację strofy Berwińskiego, którą powtarzał mi we Francji pod okupacją Jerzy Paczkowski:

*„Tańczcie, bawcie się, szalejcie,
Ale tańcząc moje panie,
Pamiętajcie, pamiętajcie,
Że tańczycie na wulkanie”.*

Wulkan w tym wypadku to przecież nie Polska jedna, ale dwa światy o przeciwnych sobie i wykluczających się koncepcjach, na granicy których żyją ludzie w Polsce. Dziś wydaje się, że to czucie wulkanu jest w Polsce żywsze na pewno i bardziej świadome niż w innych krajach Europy, podminowanych podobnie. Nieraz to jednak stwierdzałem tam na miejscu: wśród błyskawicznych z dali grzmotów burzy, których echa dochodzą do świadomości owych ludzi przez radio, słuchane łączywie i szerzące w ich sercach niepokój albo nadzieje, wśród wstrząsów jakie nadal przechodzi powojenna Europa, bezpośrednia codzienność polskiego życia wydaje się niczym oko tajfunu, którego centrum, jak wiadomo, przedstawia obraz zupełnej ciszy od wiatru i spokojnego morza, podczas gdy naokoło szaleje żywioł, równający wodę i niebo.

Odbudowa, kłopoty codzienności bytu, podsycane tysiącem plotek, pogłosek i przypuszczeń, pęd przywracania życiu mniej więcej normalnego sensu w najbliższym kręgu rodziny czy przyjaciół, szukanie najbezpieczniejszej drogi wśród raf i niespodzianek, jakie ta codzienność w okresie rewolucyjnych przemian kryje oraz irracjonalne często, ale już tradycyjne wyczekiwanie na przyszłe cuda — oto tymczasem treść życia większości Polaków, wytrąconych przez wojnę i przez jej skutki ze swojego spokoju i oderwanych już od fundamentu jakiejkolwiek normalności życia w dawnym, tradycyjnym, chciałoby się powiedzieć mieszczańskim, sensie.

VI.

Wrocław i Ossolineum

Kiedy dolatuje się do Wrocławia i patrzy z góry na wypalone ruiny ongiś wielkiego miasta, ogarnia człowieka zdziwienie, jak tam w ogóle mogą żyć ludzie. Polacy już są tacy — nie tylko żyją w Wrocławiu, ale już potrafili nadać mu swoje piętno.

Umieść ich na biegunie północnym, złączą od założenia kawiarni, nazwą ją «Czarodziejka» lub «Bajka», wybudują kościoł, założą dwa dzienniki zwalczające się wzajem, zorganizują trzy partie polityczne, a potem dopiero złączą się martwić i zastanawiać z czego i jak tu żyć. Niespożyty naród. Są więc także w Wrocławiu od czterech ledwo lat, przeplancowani Bóg wie skąd i już się czują jak u siebie, już odbudowują, organizują, mieszkają, pracują, już się chwalą wynikami swego uporu i przywiązania.

Szczerze mówiąc, wśród niespodzianek, jakich mi pobyt w Polsce dostarczył, ważną pozycję reprezentuje Wrocław. Był taki okres w czasie mojej podróży w Polsce, że raz wszedłszy w atmosferę jej życia, przestałem się czemukolwiek dziwić. To niebezpieczne stwierdzenie, ale to świadczy jak szybko można wrosnąć z powrotem między tamtych ludzi, jak od razu czuć się znów u siebie. Bo nie ma chwili wątpliwości, że będąc w Polsce — czułem się u siebie. Dziwi się (w słowie tym zawiera się składnik pojęcia *podziw*) tylko turyści. Nie uprawiałem nigdy turystyki. Technika podróżowania to dla mnie jak najprędze wewnętrzne przystosowanie się do otoczenia z uczuciem mieszkania w nim, a nie tylko goszczenia. Nie było o to trudno w Polsce. Wprawdzie Marian Kister, próbujący wystąpić dla mnie honorarium za książkę, sprzedał mi w Ameryce, tłumaczył jednemu z dyrektorów wydawnictw, z którym rojowski kontaktami jest związany i który robił trudności: «Pan rozumie co to jest dla niego znaleźć się *w obcym kraju* bez pieniędzy» (powiedzenie to lotem strzały obiegło od razu całą Warszawę), ale uczucia obcości nie miałem ani na chwilę, nawet na tzw. Ziemiach Obiecanych. Sprawa czucia się u siebie wynika oczywiście nie z geografii i nawet nie z ustroju, ale z obecności swoich czy nie swoich ludzi w tym czy innym miejscu na ziemi. Otóż ludzie w Polsce są swoi. Są swoi także w Wrocławiu.

Więc już nie Pana nie dziwi? — mówili. Nawet to, że nie siedzimy? Bo bywa... Jak się żyje w Polsce? — opowiadają. — Jak w tramwaju. Jedni siedzą, a drudzy się trzęsą. Reżimowcy natomiast twierdzą, że się jeszcze niestety nie utrząśli. Gdyby nie ta trzęsionka, można śmiało powiedzieć, że Polska byłaby dzisiaj jednym z najmilszych krajów na świecie. Ze względu na ludzi właśnie.

Wrocław natomiast, nie tylko ze względu na wystawę, jest dziś stolicą innego zagadnienia. Wystawa jest oczywiście udaną i propagandowo trafną próbą podsumowania jego miary, to znaczy przenosin polskich i zagospodarowania się na Ziemiach Odzyskanych. Ale łączą się z pobytem w tym mieście zieleni i Odry, w tym mieście pięknej i dawnej architektury, w tym mieście okropnego zniszczenia (wałka o Wrocław trwała bez mała trzy miesiące. Niemcy chcieli z niego zrobić swój Stalingrad, który kapitulował dopiero 24 godziny po Berlinie), wszystkie elementy tego zjawiska, któremu na imię obecność polska

na tych nowych ziemiach. I epopea polskiej pionierki, związanej z posiadaniem owych ziem. I wysiłku. I dramatu. I przyszłości. I całej przyszłości.

Nieraz tak sobie myślałem, słuchając opowiadań o początku życia na owych terenach, które w 1945 roku i jeszcze przez 1946, uważane były za Dzikie Zachód. A dzisiaj już zamieszkane, już produkujące i tym samym objęte w stan posiadania przez ludzi, przybyłych tułaj ze wschodu, przywiezionych ze Lwowa i z Małopolski, odciętej linią Sanu, albo nabiegłych z innych stron Polski ochotniczo, w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by znowu zapuścić wyrwane boleśnie korzenie i zacząć wszystko raz jeszcze, od początku.

I tutaj jednak miejsce na pierwsze zdziwienie: najpierw niespodzianego piękna Wrocławia, o którym dotąd myślałem zawsze kategoriami bogatej, ciężkiej metropolii, wyrosłej na śląskim węglu i śląskiej pszenicy, nigdy natomiast (i nie ja jeden na pewno), kształtem gotyków kościelnych, strzelających w niebo zieloną patyną wież, ślicznego ratusza z tamtoczesnej epoki, patrycjuszowskich domków, albo renesansowych kolegiat. Z historii dopiero wiemy ile związku ma ta architektura z polską przeszłością Wrocławia, a choć dziś wszędzie znać na niej szczyrby i wypalenia wojenne, już się znowu odbudowuje, już wysiłkiem zbiorowym podnosi ze zniszczeń, traktowana jak narodowe zabytki, i leczona z ran zadanych wojną, jak własny skarb. Wiąże się Wrocław tym samym z dziejami polskiej kultury.

Skoro już mowa o polskiej kulturze pierwsze kroki na wrocławskim bruku kierujemy od razu do jej wielkiej dziś na tych ziemiach placówki — Ossolineum.

Bo nie przypuszczam, aby losy tej instytucji, będącej najmniejszym jej skarbcem i jednym ze znaczniejszych w Europie, były znane Polakom za granicami. A wiem, że stanowią troskę wszystkich, gdziekolwiek by byli.

Biblioteka Zakładu Narodowego Ossolińskich przetrwała wojnę stosunkowo bezpiecznie i bez strat, aż po bombardowanie Lwowa w kwietniu roku 1945, w czasie którego zawalił się główny magazyn.

Ale skutki zarządzonej przez Niemców ewakuacji części zbiorów okazały się jeszcze gorsze: kilkadziesiąt pak z rękopisami, inkunabułami i starodrukami wyładowało w Adelinie na Dolnym Śląsku, gdzie większość uległa zniszczeniu.

18 lipca 1946 roku dopiero przybyły pierwsze wagony z książkami do Przemyśla, wydane Polakom przez akademię U.R.S.R., która objęła we Lwowie Ossolineum. Wraz z tym pierwszym transportem przybyła do Wrocławia panorama racławicka oraz obrazy, oceniane dziś w Wrocławiu na 43 % przedwojennego stanu zbiorów we Lwowie.

Ukraińska Akademia Nauk dokonywała wyboru książek, przestrzegając reguły, aby to były książki tylko polskie i wyłącza-

jąc z nich dzieła, dotyczące ziem na wschód od Bugu i Sanu, a nawet te, które wydane były na tych terenach.

Dopiero kiedy się okazało, że Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, Korzeniowski, Syrokomla itd. wydawani byli w pierwszej połowie ub. stulecia, przeważnie właśnie we Lwowie, Wilnie, Berdyczowie i Żytomierzu, zlągódzono nieco tę dość osobliwą regułę.

Oglądam dzisiaj owoce owych starań i rezultaty, osiągnięć. Przekazane dotąd transporty biblioteki Ossolineum obejmują razem 583 skrzynie, 210.343 tomy, 42.606 starodruków, 160.737 druków z XIX i XX wieku, oraz 7.038 rękopisów. Brak nadal bezcennego zbioru czasopism, biblioteki Pawlikowskich, ale co najważniejsze — katalogów. Praca bibliotekarzy w Wrocławiu przypomina trud organizowania całej biblioteki od początku. Najwięcej kłopotu w tym zadaniu sprawia inwentaryzacja starodruków, których katalog, 16-cie grubych foliów, będących zarazem historią biblioteki, dzieło przeszło stuletniej pracy, pisanej ręką wielu wybitnych uczonych polskich — został we Lwowie. Stanowi on jedyny naukowy podkład do identyfikacji wielu druków, oraz drogowskaz dla badań nad nimi.

Fakt, że miejscem Ossolineum, po stracie Lwowa, jest Wrocław, stolica Śląska, posiada swoje uzasadnienie w głębokiej przeszłości, dziś od nowa uświadamianej społeczeństwu i światu.

Tu, w Wrocławiu przecież ujrzał światło pierwszy druk polski, w r. 1475. W Henrykowie pod Wrocławiem, zapisano pierwsze zdanie polskie, w niedalekim Kłodzku powstał Psalterz Floriański.

Dzieje języka polskiego i jego dawność na tych obszarach uświadamia nam zresztą oryginalna i ciekawa wystawa, rozmieszczona na piętrach wrocławskiego gmachu Ossolineum, który za pierwszym moim pobycem we Wrocławiu obstawiony był jeszcze rusztowaniami i w pełnej robocie renowacji, a za drugim — w jakichś sześć tygodni — już stał otwarty, jasny i gościnnie pachnący świeżością skończonej odbudowy.

Świadectwo najcenniejszych zabytków kultury ze zbiorów tej instytucji dawała natomiast wystawa druga — rękopisów i starodruków. Pochylałem się nad gablotkami, w których poukładano pamiątki wielkiej przeszłości: od czternastowiecznego żywota św. Błażeja, od Karty Medycznej (Psalm 50-ty, przechowywany dawniej w Medyce) poprzez autografy Wacława Potockiego i całej plejady stanisławowskich poetów, aż po monumentalny rękopiśmienny czytelny na pozostałych albo niebieskich kartkach pisma wieszczów. *Król Duch* sąsiaduje tu z *Panem Tadeuszem*, pismo Norwida z kartkami zapisanymi ręką Krasińskiego.

Statuty Wiślickie i Nieszawskie, socyniańska biblia radziwiłowska (której egzemplarz — rzadkość bezcenna — kupił jeden z moich znajomych w Hamburgu, w 1946 roku, za śmieszna cenę kilkuset marek), pierwsze wydania poetów złotego wieku — jest się czemu dziwować i można duszę nasycać bielą tych

kruków polskiego dobytku sprzed wieków ciesząc się, że zostały uratowane.

Jestem bowiem z tych, którzy nie zamykając oczu na poniesione straty i na niezwykłość warunków, w jakich odradza się tutaj owa placówka wielkich wzlotów, prac i dumy polskiej — cieszą się tym co zostało, zamiast łamać ręce nad tym, czego już nie ma.

I być może dlatego, że znam cenę jaką za osiągnięcie tutejsze trzeba było zapłacić, nie mogę oszczędzić sobie ani czytelnikom przypomnienia słów zmarłego w bieżącym roku prorektora Uniwersytetu Wrocławskiego, Jerzego Kowalskiego, który na powitanie przybywających zbiorów Ossolineum napisał:

«Polska książka jest we Wrocławiu rzadkością, poszukiwaną z uczuciem człowieka, dorabiającego się tutaj ojczyzny. To nie sama wiedza o Polsce i jej rzeczach, to spora część życia polskiego przejawianego tutaj. Nasza przestrzeń życiowa zawiera się w wymiarach naszej mowy i naszej myśli. Glob ziemski toczy się otulony w swoją atmosferę. Polska toczy się unosząc ze sobą krąg swego życia. Polska nie jest tylko tym co podlega statystyce, co da się odebrać lub zwrócić. Jest coś w nas, co wyraża się w naszym słowie nie od dziś, i bez tego byłoby nam nieswojsko we Wrocławiu. Dlatego witamy cię, Ossolineum! Nie całe jeszcze jesteś między nami, lecz chciwie serce chwyta to pierwsze tchnienie. Paki skołatanę drogą stoją po sieniach i salach rozbitej budowl. Garść Ossolinia ków zgrabiałymi rękami ustawia tomy na świeżo skleconych półkach drewnianych, tak jeszcze nielicznych. Ci ludzie nie mają gdzie mieszkać, nie mają czasu na to, nie po to wystają po urzędach. Jedna jest w nich myśl; dać nam Ossolineum, dać naszej szkole teksty polskie. Schylamy przed wami głowy, ministranci tego obrzędu, bo tu się zaczyna budzić do życia coś wyższego nad urzędy i traktaty, coś co dziwi i gniewa szulerów politycznych: nasza nieodgadła i niedająca się nam wyperswadować Polska.»

Przypominam datę: 10 listopada 1946.

Wydaje mi się przytoczenie tego cytatu bardzo wymowne, aby określić gatunek uczuć, ożywiających ludzi, którzy tam, na Ziemiach Zachodnich, nieczym nie zrażeni i nieczym nie pokonani, rozpoczęli budować nowe życie.

VII.

Wystawa i zagadnienie Ziemi Odzyskanych

Celem wystawy wrocławskiej, którą z kolei przychodzi nam zwiedzić jest popisanie się osiągnięciami trzech lat na Ziemiach Odzyskanych. Symbolizuje je stalowa iglica i trzy łuki o drewnianej konstrukcji, jak mosty przecinające teren u wejścia, którego tło stanowi gigantyczna Hala Ludowa, ta sama, gdzie cesarz Wilhelm, otwierając inną wystawę wrocławską w r. 1913, sławił osiągnięcia niemieckie na Śląsku jako dowód przewyciężenia raz na zawsze polskich ambicji i polskiej przeszłości tych obszarów.

Interpretację dzisiejszych motywów dekoracyjnych, otwierających krajobraz Wystawy słyszałem z oficjalnych źródeł, które iglicę przedstawiły jako wskazówkę naszych ambicji (niebotycznych zapewne), łuki zaś jako pochylone sylwetki trzech elementów społecznych, współdziałających w Polsce, robotnika, chłopą i pracującego inteligenta względnie — w innej wersji — trzech lat pracy, dokonanej tutaj przez Polaków.

Miejsce tu od razu na stwierdzenie, że właśnie pod kątem artystycznego przetłumaczenia diagramów cyfr, problematyki i tendencji Wystawy ma ona oblicze świeże i przekonujące. Zasluga w tym niewątpliwie zostawienia wolnej ręki plastynom, którzy w tworzenie Wystawy włożyli wysiłek, równy co najmniej wysiłkowi techników i robotników, budujących zbiorowo te wielkie i pokazowe przedsięwzięcia w czasie trzech zaledwie miesięcy. Włożyli weni sporo wyobraźni, inwencji i talentu. Artystyczne więc rozwiązanie problemów postawionych przed nimi jest interesującą i udaną próbą znalezienia własnego wyrazu i stylu, opartego nieomylnie o sztukę polską. Nic tu, nawet w założeniach czysto propagandowych, z wyjątkiem chyba czerwieni transparentów, z gigantomanii, tak charakterystycznej dla podobnych imprez u sąsiada, ambicje bowiem jej realizatorów poszły raczej w kierunku dekoracji motywami, opartymi o tradycje sztuki ludowej, choć czerpały także obficie z wzorów sztuki współczesnej, wykorzystując bogate talenty naszych grafików, a w malarstwie dając prym rej dziś wodzącym kapistom i pokazne miejsce w dziale historycznym takim majstrom spod znaku Bractwa św. Łukasza, jak np. osiedlony dziś na Śląsku Antoni Michałak.

Polityczna argumentacja wystawy, jako podsumowania polskich osiągnięć na Ziemiach Odzyskanych, polega na wykazaniu że ziemie te dające zaledwie 11 % dochodu społecznego w gospodarce Niemiec, w użytkowaniu ich przez Polskę stanowią fundament jej rozwoju gospodarczego. Niemcy bogactwo tych

ziem przekuwali na broń — w rękach polskich ma służyć pokojowi. Wystawa stanowi poza tym demonstrację kwestionowanej przez Niemców zdolności zagospodarowania się na tych ziemiach przez Polaków. Czyni to zresztą przekonywująco nie ze względu na cyfry, diagramy lub eksponaty, ale na okoliczność, że wpisana jest w tętniący już odbudową Wrocław, południową stolicę obszarów, które rozwijaniem się nowego życia stanowią same przez się wymowny argument, wskazujący nie tylko na wagę, ale na coraz istotniejszą w czuciu polskim *nieodwracalność* posiadania tej ziemi.

Aby docenić wysiłek fizyczny i wkład uczuciowy Polaków, związany z pozyskaniem tych wyników, o których barwnie i bogato opowiadają tablice, wykresy i liczby, należy znowu cofnąć się wstecz. Nie, nie do czasu Piastów.

Argumenty historyczne, jakimi wobec zagranicy usiłowali szermować Polacy, nie działają właśnie zagranicą.

— Proszę pana, gdyby uznać ich ważność, Anglicy powinni na dobrą sprawę wyprowadzić się z Anglii... Przecież kwestionuje się Żydom nawet posiadanie Jerozolimy! Ten numer dla Polaków nie przejdzie...

Polacy mają zresztą opinię ludzi, którzy w słownej obronie swoich praw i granic szafują na zmianę to etnografią, to demografią, to ekonomią, albo strategią, to wreszcie historią, jako najwyższą racją, w miarę tego co im w danej chwili jest wygodniejsze.

Na rynku wewnętrznym jednak, typowe i żywiołowe «nawiazywanie wstecz» ma swoje uzasadnienie i swoją ważność ze względu na wrodzone polskiemu społeczeństwu poczucie sprawiedliwości, wstręt do uzurpacji i gwałtu, na konieczność moralnego uzasadnienia swej obecności na tych obszarach — choćby nawet poczucie wygranej z Niemcami wojny i wejście w posiadanie tych ziem jako zadośćuczynienie za lata 39-45, wyglądało na uzasadnienie wystarczające.

Bez świadomości prawa moralnego, nabytego nie tylko w wyniku wojny, ale także wysiłkami i pracą przodków Polacy czuliby się tu jeszcze mniej u siebie, niż się z początku czuli. Są wprawdzie nadal między ludźmi oznaki tego niepełnego i niepewnego zagospodarowania się tutaj, widoczne w sposobie ich mieszkania, które wygląda prowizorycznie nie tylko ze względu na ubóstwo, albo nagłość tego masowego prześcianowania w cudze ściany i między cudze rzeczy, które stało się ich udziałem. «Nie mnie z tymi meblami, z tymi rzeczami w które mnie «wprowadzono» nie łączy, miałem własny dom i tego nie miennie zastąpi...» Ale czas robj swoje.

A robotę wrastania w te ziemie ułatwia właśnie odkrywanie na całym obszarze dorzecza Odry, od Wrocławia po Szczecin, jego zamierzchłej i przez Niemców zacieraną polskości.

Ziemie te są więc dzisiaj terenem społecznego procesu, który nazwać można biologiczną walką o praktyczną suwerenność elementu polskiego na całej ich rozciągłości. Historycy natomiast,

przypominający dawne ich dzieje oddają mniejszą usługę potwierdzeniu ich polskiego posiadania, niż ekonomiści, planujący budowę kanału Odra-Dunaj, co zwiąże dorzecze Odry, mającej naturalne dopływy od wschodu, z interesami zaplecza czesko-bałkańskiego, a tym samym wzmocni jej własność w rękach polskich, pod warunkiem solidarnej współpracy z południowymi sąsiadami. Zarysowuje się tu już trzon przyszłej federacji, którego ostrze wymierzone jest w kierunku odebrania Niemcom gospodarczych uzasadnień dla pilnie i zaciekle prowadzonej na zachodzie polityki rewizjonistycznej, której motorem jest stara gwardia stronnictwa Centrum (pod przywództwem Brüninga i Wirtha), mająca w przeszłości bazę na katolickim Śląsku.

Historia bowiem, której wpływy mogą zaciążyć naprawdę na przyszłości owej ziemi, zaczęła się na niej w roku 1945-tym.

Warto poświęcić jej choć kilka słów; jest wymownym epizodem tego procesu dziejowego, który, z przewaleniem się przez Polskę wojsk sowieckich w drodze na Niemcy i sprawowaniem władzy przez komitet lubelski wziął swoje źródło.

W wyniku bowiem decyzji o przesunięciu się granicy polskiej od wschodu na Bug i San, nastąpiło to gwałtowne przemęblowanie ludności, które objęło w sumie około 8 milionów ludzi, licząc w to wysiedlonych Niemców. Nie ma w dziejach ludzkości precedensu operacji, przeprowadzonej na tak wielką skalę w tak krótkim czasie.

Rozmawiałem z ludźmi odpowiedzialnymi za jej wykonanie. Trudno uświadomić sobie przeszkody i prymitywne warunki, w jakich się dokonywała, zważywszy stan kraju zaraz po wojnie i stan jego komunikacji.

Pośpiechowi i gorliwość, jaką wykazali, przywodziła myśl i obawa, że koniunktura na dokonanie tego przesiedlenia będzie stosunkowo krótka i nietrwała. Ale nie było wyboru. Jako twardej realności wzięli się więc do przeprowadzenia tych zadań, zdających się nad siłę wytrzymałości ludzkiej i komunikacyjnej. Wiązała się z nim konieczność usunięcia Niemców, zamieszkających na Śląsku, na ziemi lubuskiej, na Pomorzu Zachodnim. Decyzją komisji miedzysojuszniczej 3 i pół miliona miało zostać wysiedlonych poza Odrę. Dokonało się tego wszystkimi dostępnymi środkami. Można dziś jeszcze wyczuć w rozmowach na ten temat burzenie Polaków w związku z pretensją, jakiej nie przestaje wysuwać Zachód, oskarżający wykonawców tego zabiegu o niehumanizm w postępowaniu z Niemcami. Zbyt wielu bowiem Polaków pamięta metody, jakimi w podobnych wypadkach posługiwali się Niemcy. I mając utrwalaony obraz tych metod, a porównując go z postępowaniem polskim, jednogłośnie stwierdzają, że Niemców traktowano o tyle lepiej. Faktem jest, że wielu niewinnych ludzi zapłaciło tam utratą dobytku i domu za szaleństwo swojego wodza. Bezwzględność bowiem polegała przede wszystkim na nieuznawaniu żadnych wyjątków. Każdy Polak miał w ostatniej chwili jakiegoś dobrego

Niemca, któremu chciał ułatwić pozostanie, gwarantując jego lojalność.

Zakłady przemysłowe upominały się o zostawienie fachowców. Interwencje te odrzucano ryczałtem. Gdyby poczęto je uwzględniać, mielibyśmy na tych terenach znowu mniejszość niemiecką i wygodny pretekst do upominania się o jej prawa w przyszłości, a więc jeden jeszcze argument w rękach rewizjonistów.

Mówiąc zaś o doświadczeniach wysiedlonej ludności niemieckiej należy przypomnieć przypadające na ten sam okres przeżycia Polaków, wiezionych ze wschodu na zaludnienie zostawionej przez nich pustki. Podróżowanie tych ludzi odbywało się w warunkach przypominających najgorsze czasy wojny, a wynikających z panującego w Polsce rozprzężenia, ze zniszczeń, z trudności komunikacyjnych, z improwizacyjnego charakteru owych przesiedleń. Nie było czasu na robienie tego w rękawiczkach. Szło o zebranie zostawionych na zachodzie zbiorów, o zabezpieczenie obiektów przemysłowych, stojących na łasce losu. Tu była otwarta i gotowa na zamieszkanie przestrzeń, a na wschodzie ziemia, na którą zasunąć się miała i zasunęła wreszcie stalowa kurtyna, szczelniejsza i zupełniejsza od żelaznej. Na zachód szły póki co szerokoosiowe wagony po węgiel, po maszyny, po łup. Korzystano z tego, że puste i wypełniano je ludźmi. Z Małopolski, z Białorusi, z Litwy. Kto żyw niech jedzie, póki jeszcze pora. Ze Śląska telefony: w Opolu na stacji osiem nierozładowanych pociągów. Nie możemy dać rady. Nie przysyłajcie więcej! Odpowiedź: przysyłamy jeszcze trzydzieści pięć pociągów. Musicie dać radę.

Władze rekrutowały niemal z ulicy kandydatów na objęcie stanowisk na Ziemach Odzyskanych i podobnie ekipy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Nie pytano o przeszłość, o przynależność. Chce pan jechać? Proszę, tu nominacja, dokumenty, instrukcje. Obsadzano urzędy zbiorowiskiem nieprawdopodobnych typów. Człowiek odpowiedzialny za to przesiedlenie miał do dyspozycji tylko ograniczoną liczbę samochodów — ekipy, klecone na poczekaniu, dowożone były do punktu wyznaczonego na mapie i wysadzone na miejscu, niech się dalej organizują własnym przemysłem — samochód wracał.

Własny przemysł kwitnął. Ruszyły w tym samym kierunku, wietrząc niebywałe okazje robienia szybkich i przez nikogo nie kontrolowanych interesów wszystkie elementy awantur-nicze i amatorzy szybkiego zebrania majątku. Rozpętała się orgia szabru. Przyznają mi to ludzie — warunki były straszne. Szerzyła się prywatna, egoizm świecił triumfy, porachunki osobiste, denuncjacje, bezprawie panoszyło się jak epidemia. Szedł wyścig — kto prędzej, kto więcej. Samosądy i samowola matych ludzi, niekompetencja, najgorsze instynkty, wyzwolone warunkami i szkołą wojny, tu się skupiły i tu dawały sobie upust. Można było wróżyć jak najgorzej temu eksperymentowi wędrowni ludu, nasyłanego tu i pchanego naprzód nabrzmiewa-

jącą powodzią bezdomnego tłumu. Toteż dzisiejsze wyniki stanowią w porównaniu z tym co tu było na początku, niemałe zaskoczenie. Przekroczyły najśmielsze spodziewanie. Normalizacja warunków życia jest istotna. Ludzie osiedli, zadowolili się jako tako, przemysł pracuje, odbudowa idzie, ziemia jest uprawiona i już puszy się bogatym plonem.

Dali radę. Jaki jest koszt tego wysiłku, jaką sumą cierpień ludzkich, strat, nędzy i poniewierki da się go podsumować, nie się się nawet powiedzieć. Stało się. Chodzi dziś tylko o to, żeby się nie odstało.

Patrzmy już na te czasy przenosin jak na przewycięzoną przeszłość. Ale do sumy wkładu społeczeństwa polskiego w ów obszar wliczyć trzeba ten także rozdział życia jej mowej ludności, która na domiar nieszczęść wojny i okupacji wyrzucić musiała tę forsowną i forsowaną przeprowadzkę, rzucając za sobą wszystko i podróżując na chybił trafił w nieznane, bo bez wyboru. Przypadek kierował jednych tu, a drugich tam. Tasowali się długo zanim znaleźli miejsce.

Wiem o pewnej pani, wyzwolonej z Oświęcimia, która zabrała się na pierwszy lepszy samochód idący na północ. Samochód prowadził żołnierz sowiecki. Prowadził długo i dobrze, aż zajechali do jakiegoś większego miasta, gdzie kierowca zażądał od pasażerki, która nie była już pierwszej młodości, zapłaty za to wzięcie — i to na miejscu, w naturze. Podróżna na tę propozycję wyskoczyła pośpiesznie z samochodu, a ponieważ, jak się okazało dowiózł ją aż do Szczecina, tam zamieszkała i mieszka.

Tak i inni. Dojechali, wysiedli, osiedli. I wczepili się pazurami w tę ziemię nową, pracują na niej, budują, żyją. Co będzie dalej? Nikt tego nie umie powiedzieć na pewno. Ale sprawa Ziem Odzyskanych jest tematem najistotniej dziś zaprzatającym polskie umysły i serca. Oś życia Polski przechodzi ich obszarem, choćby tkwiła ona jak zawsze, w Warszawie.

Troska o przyszłość natomiast wyraża się obawą utracenia Ziem Odzyskanych i nie odzyskania Utraconych.

Ale nas w tej chwili zajmuje jeszcze Wystawa i Wrocław i spotkanie na przecięciu tych dwóch rzeczywistości życie Ziem Odzyskanych. Gdy epopeję jego dokonam przeżywać dzisiaj na miejscu i przyglądam się jej postępowi, to tak jakbym trafił na żywą ilustrację słów Brzozowskiego, wywiedzionych co prawda z nauk Macchiavela, a przypominanych dopiero co przez *Wiadomości*, kiedy mówi: «Chcesz poznać moc własnego narodu, badaj nie to co ludzie mówią, nawet nie to co czują, ale to co z ich życia, nawet wbrew ich woli, wyrasta.»

Urządowanie władz polskich w Szczecinie zaczęło się od zebrania kilku ludzi przy świeczce od choinki, czarnym chlebie i kawie bez cukru. Widzę dziś w nim, mimo zniszczeń, polskie życie, gesto i coraz obficiej rozsiadłe i zagospodarowane — doświadczam świadomości obszaru jaki zajęło czytając na drogowskazie: Szczecin-Poznań 249 km., Szczecin-Gdańsk 344 km.

I nie mogę oprzeć się pokusie podziwu dla żywotności tego społeczeństwa i ogromu wysiłku, jaki włożono w zatwierdzenie swoich praw do tej ziemi. Opis tych początków i tej drogi aż prosi się o pióro Kadłubka naszej współczesności, jakim jest jednak Wańkowicz, który jeden rozmachem swojego talentu i epickim ogarnianiem tła potrafiłby tę rzeczywistość zamienić w dokument, jakiego warte jest owo bohaterstwo uporczywej pracy bez względu na nasze sympatie czy antypatie do warunków i kierownictwa, pod jakim działało, w równej na pewno mierze, jak śmiałość spotykania śmierci na stokach Monte Cassino.

W związku z wystawą Ziemi Odzyskanych natomiast, przytoczyć pragnę na zakończenie jeszcze tę historyjkę, puszczoną w czasie Zjazdu Intelektualistów: wystawa podobna — w Wilnie. Rosjanom. Postanowili urządzić podobną — w Wilnie.

VIII.

Pielgrzymka do Oświęcimia

Jadąc z Wrocławia do Krakowa odbyłem po drodze obowiązkową niejako dla każdego, kto do kraju przyjeżdża — pielgrzymkę do Oświęcimia. Wiem, że wielu obcokrajowców próbuje sobie na podstawie takiej wizyty wyrobić własny pogląd na to, czy aby w opowiadaniu o okropnościach owego obozu, nie było polskiej przesady? Czy to aby nie swoista megalomania narodowa każe nam dzisiaj szafować cyframi aż kilku milionów zagazowanych tam i spalonych ofiar? Zawsze to bowiem rekord, a świat czuły jest na rekordy. I gotów za każdy dać palmę — nawet gdyby była tylko męczęńska. Opowiadano mi o Amerykaninie, który na wiadomość o tym, że w Oświęcimiu wykończono ileś tam milionów ludzi, wyciągnawszy na miejscu notes, wykalkulował po dłuższym stosowaniu arytmetyki, że to nie możliwe. Nie żeby się w głowie nie mieściło, ale że nie mieści się w piecach. Jest rzeczą jasną, że nikt dzisiaj dokładnej cyfry nie poda, ani nie sprawdzi. W wymiarach, w jakich pracowały obozy eksterminacji, paręset tysięcy więcej, albo mniej ofiar nie może zmienić ani złagodzić okropności samego faktu. Konserwacja obozu i pozwalanie na oglądania go dzisiaj ma służyć jako świadectwo temu faktowi. Ma reprezentować pomnik zbrodni wobec ludzkości na miarę nigdy przed tym nie spotykaną w podobnym zgęszczeniu. Ludzkość zaś, wobec której zbrodni tej dokonywano była nie tylko polska. Niemcy pieczętowały bowiem w Oświęcimiu braterstwo losu w nieszczęśliwym wszystkim ludom Europy.

Otóż muszę przyznać, że dzisiejszy wygląd obozu oświęcimskiego, z bufetem i pocztą u wejścia i ze schludnie zagospodarowanymi blokami, z których większość nawet odnowiono,

uważam za niebezpieczne nieporozumienie, jeżeli rzeczywiście pomyślany był jako świadectwo i pomnik.

To tak, jakby nam w muzeum pokazywano dzisiaj puste ramy jakiegoś goyowskiego obrazu, pod którym podpisano wprawdzie, że przedstawiał jakąś niebywałą grozę, a której przecież żaden wysiłek wyobraźni nie potrafi odzworzyć na podstawie widoku miejsca, gdzie obraz był.

Coś z tego odwoływania się do wyobraźni widza, stojącego przed ramami obrazu, którego nie ma, błąka się w odczuciach człowieka, którego dzisiaj oprowadzają po Oświęcimiu. Jest nawet jeszcze gorzej: rekonstrukcja bowiem tych ram razi i kłuje w oczy próbami podciągnięcia wnętrza bloków pod jakąś banalną, koszarową schludność, pod jakieś nieliczące jakby z naszym wyobrażeniem uporządkowanie.

I nie natują niczego umieszczone tu i tam eksponaty «muzeum», ani nawet okolicznościowe napisy i powieszenie ciemno-owej korony na sztachtach, odgradzających podwórze straceń przy bloku 11-tym. Nie mogą bowiem zatrzeć wrażenia, które sformułowało jedno z dzieci, oprowadzanych z wycieczką, po świeżo otynkowanych korytarzach i wcale obszernych, bo pustych sztabach. Przygotowane na zobaczenie jakichś potworności dziwiło się najwyraźniej, że tak tu czysto, jasno i kulturalnie, aby podsumować to zaskoczenie powiedzeniem czegoś w rodzaju, że jednak tu raczej ładnie.

Rekonstrukcja «typowej» sztaby kacetowskiej z białą serwetką na stole, z kwiatami w blaszance i rozłożoną do gry szachownicą z warcabami, ma w sobie coś nieprzyzwoicie idyllicznego i na pewno deformuje w pojęciu przypadkowego widza obraz codzienności obozu, tak jak go znamy dzięki Żywulskiej, Szmaglewskiej, Morcinkowi, Kossak-Szczuckiej, Andrzejewskiemu lub Borowskiemu i jak go znamy z procesów i opowiadań świadków.

Najbardziej makabryczny eksponat, kupa włosów kobiecych w szklanym korycie względnie katafalku, nad którą unoszą się mole (przewodnik mówi, że to z 36 tysięcy kobiet, a co do moli, że dezynfekcja będzie za jakiś tydzień), jest mimo wszystko podobna do tego paszaka i tych butów, które nam pokazują — sama obecność ich nie uczy prawdy o Oświęcimiu, bo tę może nam odtworzyć jedynie tylko wizja artystyczna albo dokumenty nauki. Tych jednak dzisiejsze mury Oświęcimia nie zawierają.

Zakłopotalem się tym zjawiskiem całkiem na serio; zwiędzając ze mną Oświęcim Kazimierz Koźniewski napisał nawet esy i mocno krytyczny artykuł o owym «muzeum», reasumując wspólne wrażenia i wnioski — ale potem przyszło mi na myśl, że może nasze pretensje i rozczarowania wynikają z niekoniecznie słusznych spodziewań odnalezienia tutaj autentyzmu spraw, istniejących naprawdę tylko w nieuchwytnych odczuciach i wspomnieniach ludzi, a nie w samej topografii miejsca. Uprzymiśnienie go turystom nie jest w ogóle możliwe; ludzie chodzący tu dzisiaj nie są ci sami, co byli. Od tych natomiast,

których dzisiaj oprowadza się po Oświęcimiu (w Bedekerze kiedyś to miejsce opatrzone będzie trzema gwiazdkami, jako osobliwość nie do pominięcia) trudno spodziewać się wysiłku wyobraźni, jakiego Oświęcim wymaga, aby w nim ujrzyć pomnik tego czasu okrucieństw, tej «epoki pieców», której był on największą manifestacją. Nawet tym, którzy Oświęcim przeżyli trudno jest wczuć się z powrotem w całą straszność wspomnień, już leżących daleko poza nimi, już wapiących się w przeszłość, już zamglonych dystansem czasu. I już eksploatowanych dzisiaj dla innych celów, niż tylko dla samej przestrogi wobec pokoleń idących.

Pośrodku zburzonego ghetta w Warszawie usłudźni fotografowie proponują zwiedzającym zdjęcie na tle pomnika — na pamiątkę pobytu.

W swoim czasie okop-grób na pobojuwisku Verdun z wystającymi bagnami żołnierzy, gotowych do ataku, których zasypał wybuch ciężkiego pocisku, tak podzielał na wyobraźnię pewnego Amerykanina, że kazał on nad tym okopem wybudować monumentalny betonowy pomost, niczym baldachim. Pod nim dziś smercą te zardzewiałe ostrza, a zwiedzający pobojuwisko turyści wieszają na nich różańce albo stawiają obok doniczki z kwiatami. I też właściwie psują nastrój tej greckiej powagi i surowości, jaka pomyślana była aby miejsce tego dramatu odpowiednio uczcić.

W Oświęcimiu jednak, tak jak organizowany jest dzisiaj, uczczenie ofiar stoi jakby na drugim miejscu ważności. Idzie tu raczej o skupienie w jego ramach świadectw dokonanych przez hitlerowców potworności. Rzecz pomyślana jest jako zbiorowe, więc międzynarodowe muzeum-dowód, wypełniony eksponatami i materiałem, ilustrującym wymiar obozowych zbrodni, a dostarczony przez wszystkie te narody, których obywatele podpadli pod jej niehumanitarne prawo. Więc także przez Niemców, bo i Niemców likwidowano w obozach. Mimo niechęci, jaką myśl o utrwalaniu czegokolwiek z tych okropności musi budzić, mimo zastrzeżeń, że wychowawcze względy przeciwdziałają się pokazywaniu ich miejsca, aby patrzącej na nie młodzieży nie ułatwiać otrzaskania się z obyczajami naszych ludobójczych czasów, i nie zaspakając jej niezdrowej ciekawości, wydaje się że myśl, aby gdzieś jednak zostało dotykane skupisko świadectw owego obozu i wszystkich innych, posiada swoje uzasadnienie.*)

*) W związku z wagą tego problemu, obchodzącego nas wszystkich, przytaczam fragment listu kierownika Działu Plastycznego Muzeum w Oświęcimiu, który przekonywująco odpyra zarzuty wielu zwiedzających: «Blok obozowy Muzeum były malowane także za czasów trwania obozu, drzwi futryny były pociągnięte jeszcze lepszym pokostem (obecnie pokost sztuczny), ściany sal były częściej malowane w obozie niż ściany w prywatnym domu bogatego człowieka, a wreszcie obóz ten był obozem wzorowym (Musterlager), przystosowanym do udowodnienia Komisjom międzynarodowym, że przecież nic złego się nie dzieje w Oświęcimiu, że jest to tylko kolonia robotnicza, że więzień, szczególnie polski, który od urodzenia jest w brudzie

Leżąca w sąsiedztwie Brzezinka (Birkenau), choć znowu opatrzona u wejścia zachęcającym szyldem z napisem «bufet», jakby to była także tylko turystyczna osobliwość i cel odpoczynku dla szkolnych wycieczek, samym obszarem tego zadrukowanego pola i drągowiną hakowatych słupów i kadiubami baraków, gdzie dotąd na ścianach widać rozdarte płaskie, gdzie się panoszy jeszcze stajenny brud, gdzie sterczą ruiny krematoriów niczym tragiczne tło dla prostych, surowych, jakby pokutniczych krzyży, posiada jako całość wizję grozy. Spotykamy tam jeden tylko pomnik — postawiony przez Żydów i czczący pamięć tych nieszczęśliwych milionów, których zagłada buchała tutaj z kominów czarnymi smugami dymu, będącego przez całe lata nieodłącznym, na tle dalekiego Beskidu, motywem krajobrazu Brzezinki.

Planuje się i postanawia inne jeszcze pomniki.

Ale nieporządkowane, nieurządzone przez nikogo «eksponaty» tego obozu są wymowniejsze o wiele niż te, jakimi próbuje nam zilustrować treść swoich wspomnień Oświęcim.

Woda wypełniająca doły, gdzie palono ciała na stosach, jest zawieszista i pękająca bąblami, jest tłusta, mętna i mydlana. Jej powierzchnia nie chwyta odbłasku nieba. Doły są pełne żab. Ale nie róbmy sobie złudzeń — nie można będzie tego utrzymać długo w dzisiejszym stanie. Gruz już porasta zielenią, czas załrze ślady, złagodzi twardy ich kontur. W każdej ruinie lęgnie się z czasem bakcył romantyzmu

Nie w tej na pewno. W tej będzie być może straszyc. Lecz co-

chowany, tutaj uczy się czystości. A czystość w obozie była utrzymywana za cenę setek tysięcy trupów. Każda plamka na ścianie była pośrednio przyczyną śmierci więźnia. Czyż więc dzisiaj, gdy Muzeum ma być dokumentem, mamy odrapać ściany, podziurawić drzwi, wybić szyby? — Różni ludzie zwiedzają obóz i różne mają wymagania. Jedni przyjeżdżają na majówkę — auto strojne w zielen, już z daleka słychać śpiew tanga lub walczyka, krzyki i piski, wywala się taka żądna emocji wycieczka na trawnik, rozwija «bufet», leca papierki i skorupki z jajek, wszędzie, tylko nie do szarynek na ten cel umieszczonych dość gęsto — potem szturm do bramy. «Co, płacić? — za co? — oburzenie rośnie. Zwiedzają obóz. Po dwóch godzinach skwaszone towarzystwo, wracając, orzeka: «Nie warto było jechać — nie ma trupów, krwi, jakieś stare buty i okulary». Innym zaś razem przed bramą staje kobiecina i kołata dzwonkiem — jest jeszcze bardzo wczesna godzina. Podchodzi woźny, puszcza kobietę przez bramę. Wstęp bezpłatny — a raczej już przepłacony. Kobieta kieruje się pod ścianę śmierci, rzuca wiązanek storczyków i prosi, by wskazać jej ten właśnie stos okularów, wyjmując fotografię. «Znalście go?» Patrzymy — mężczyzna w okularach. «Nie, niestety». — Kobiecina chowa zdjęcie, jeszcze raz zerknie na stos przepalonych opraw okularów, jeszcze uрони parę łez i cicho wraca przez obóz ku wyjściu. Jej nie raziły malowane ściany. Ona by chciała, aby każdy kamyczek zamienił się w kwiat, aby właśnie klomby z rabatami pokryły krwią przesiąkniętą ziemię. Drażliwy problem — problem, który dzisiaj jeszcze nie może być rozwiązany. Wszystkie prawie akta są w rękach sądów. Z czasem, gdy procesy zbrodniarzy niemieckich dobiegną końca, Muzeum otrzyma materiał dowodowy, po opracowaniu którego pojawią się wykresy, opisy, daty, cyfry na salach, pisemne i obrazowe odtworzenie warunków bytowania więźnia, jego pracy, żywności itd., dzisiejszego przewodnika zastąpią przewodniki drukowane i opisy szlache. Ale dla wyjaśnienia podaje, że nigdy w Muzeum nie będzie trupów, krwi i Hitlera w klatce.»

kolwiek się stanie ta zostać winna, niedotykana żadnym porządkiem, żadną próbą utrwalenia czegokolwiek i zapadać się w siebie i trwać w tym stanie jako ziemia na zawsze przeklęta człowiekiem. Bo chodząc po tym obszarze wydaje mi się, że dotykam dna ludzkiego upadku w naszych czasach. I nie mogę odpędzić myśli, że tutaj właśnie wszecz i wzdłuż i na poprzek miliony istot pisały przede mną w błoto i w pył, w dym i popiół, w ziemię i w niebo nad nią obojętne, strasliwą prawdę człowieczych okrucieństw, piętnując każdego z współczesnych jej ludzi jakąś cząstką współodpowiedzialności za okropność zgotowanego im losu.

IX.

Ciała śpią, duchy czuwają

Obok Warszawy, Wrocławia, Poznania, Szczecina, Gdańska, miast stanowiących każde z osobna inny zespół gruzów i rumowisk, ale mających ten wspólny mianownik ruiny, jaki nam znaczą nie tylko ich wygląd, bo także życie mieszkańców, dwa były w czasie podróży po Polsce wyjątki, pozwalające na odnalezienie nietkniętego zębem wojny piękna zabytków, a wśród nich dawnej atmosfery miasta: Toruń i Kraków.

Wprawdzie można by do tego wyczerpania dodać jeszcze Katowice, Łódź, albo Gdynię (z wyjątkiem portu), ale żadne z tych miast nie posiada w sercu i zainteresowaniach podróżnika tego oddźwięku radości, jaki mu dało znalezienie się znowu w nietkniętych murach owych stolic polskiej przeszłości i piękna.

Można by, widząc Kraków po Warszawie albo Wrocławiu, wyrazić swoje zdziwienie słowami dziecka polskiego, które przybywszy po raz pierwszy do Brukseli z kraju i zapytane jak mu się miasto podoba, powiedziało: — miasto ładne, ale dlaczego tu nie ma ruin? Nie wiedziało dotąd, że można także żyć bez ich widoku.

Otóż Kraków trwa, niezniszczony.

Z obowiązku kronikarskiego notuję fakt, że błakały się w niektórych głowach podziemnego przywództwa zamiary urządzania powstania także w Krakowie. Dla Niemców jednak Kraków nie posiadał znaczenia strategicznego, ceniony był jako zabytkowe miasto i uważany za «urdeutsche Stadt». Otóż szybkie tempo posuwania się ofensywy rosyjskiej na tym odcinku i odpłynięcie Niemców bez walki, oszczędziło Krakowowi losu wielu innych polskich miast.

Od razu więc wchodzi się znowu w niezrównaną, trochę kwietną, trochę przepojoną kadzidłem atmosferę tego grodu, w pachnący otok plant, w zamyślenie i jakby senność jego ulic i jego wnętrza, przepelnionych ludźmi i pamiątkami minionych czasów.

Nie żeby wojna i okupacja nie zostawiły w nich śladów. Ale trzeba głęboko zanurzyć się najpierw między pamiątki i zażyć do wnętrza dusz, aby się o tym przekonać. Trzeba przeczytać książkę Tadeusza Pankowskiego, pt. «Apteka w ghetcie krakowskim», aby poznać np. dzieje zagłady tutejszych Żydów. Bo z wyjątkiem ich nieobecności, ślady wojny nie są wyzywające jak wszędzie indziej, nie spotyka się ich, jak w Warszawie, wśród rozkopów ulicznych i w pierwszym od razu zetknięciu z człowiekiem. Życie Krakowa płynie jak dawniej, wolniejszym, spokojniejszym rytmem. Jest nawet nudne w porównaniu, jak gdyby nie się tutaj nie działo ważnego w tej chwili. Nie na darmo uchodzi za twierdzą konserwatyzmu, lecz i ostoję mądrości, ukrytej za fasadami nieodnawianych już dawno i dlatego jakby zbiedniałych domów. Więc tylko to powiedzieć można, jako zewnętrzne objawy zmian, że Kraków trochę poszarzał, trochę się zdaje wyblakły, jak fotografia dawno nieogładana, a dobytą na światło z dna historycznej szkatułki. I to jeszcze podsumowanie zewnętrznych wrażeń, że mury, okna i mieszkańcy miasta, które tyle już widziało przemian i tyle dziejów, przyglądają się i dzisiejszym «sub speciae aeternitatis», nie zastrokane niby i nie gorliwe wcale, aby nadażyć za biegnącym czasem.

W zrujnowanych miastach treść życia skupia się wkoło odbudowy; tu rusztowania znajdziesz jedynie we wnętrzach kościołów; w Mariackim lub u Franciszkanów odnawia się właśnie polichromię albo wstawia z powrotem pochowane na czas wojny witraże.

Z wieży Mariackiej każdą godzinę rozgłasza na cztery strony świata hejnał (dowiaduję się, że jedna z wież kościoła Mariackiego należy do zarządu miasta i służy jako obserwatorium pożarnicze — strażacy też pełnią funkcje trębaczy hejnałowych). Zegary wydzwaniają mijanie godzin, odprawia się ich brzmieniem obrzęd krakowskiego misterium w nietkniętych ramach dawności, otwartej oczom już z daleka panoramą kopuły i wież jak kolorowa wystrzyganka, wpisana w łuk horyzontu, przepasana w pół szarfą Wisły i z wawelską koroną na czole.

Czy wspomnieć, że ulica Andrzeja Potockiego nazywa się dziś Aleją Stalina? Wypada o tym wiedzieć, bo napis na rogach jest ten sam co dawniej i tylko prasa w okresie obchodów lub świąt partyjnych, pamiętając o zmianie nazwy powie, że pochod przeszedł Aleją Stalina, kiedy szedł ulicą Potockiego. (Instrukcja, aby główna ulica zamianowana została nazwiskiem wodza zwycięskiej czerwonej armii, w Łodzi na przykład wykonana została do tego stopnia ściśle, że nazwano nim nie tyle główną ulicę, ile ulicę Główną).

Poszedłem na obiad do domu literatów, gdzie w spisie lokatorów figurują nazwiska: Jerzy Szaniawski i Artur Górski; sędziwego Staffa można pono spotkać na plantach w słoneczne dni; Ludwik Solski właśnie przeszedł operację i czuje się po niej odmłodzony; wyjechał do Krynicy przed zapowiedzianym już występem w «Panu Jowialskim», w Warszawie. Tu natomiast

w teatrze idzie sztuka Morstina, w barbakanie natomiast «Igrce» Polewki, spektakl na modłę średniowieczną. Odwiedziłem Kazimierza Wykę w redakcji *Twórczości* i panią Starowiejską-Morstinową w *Tygodniku Powszechnym*. Od Kazimierza Czachowskiego dostaję dopiero w chwili wyjazdu kartkę «...dowiedziałem się, że zawitał pan do Krakowa, chętnie bym z panem pogwarzył...». Nie zdążyłem go już zobaczyć; umarł w parę dni potem.

Wstąpiłem jeszcze do Kossakówki, dawnego dworku na placu Kossaków, który tak dobrze znałem przed wojną, a który stoi dziś osierocony po śmierci Wojciecha i Lilki. Magdalena Samozwaniec powiedziała, że daje sobie jakoś radę z nową rzeczywistością; stara się o wydanie monografii Wojciecha, pisze poza tym pamiętnik o Lilce Jasnorzewskiej. Mówimy o jej śmierci i pogrzebie w Manchester — trudno sobie wyobrazić smutniejszy los tej «czarodziejskiej wielkiej pani z Krakowa», największej chyba poetki naszych czasów, odwróconej wszystkimi myślami ku słonecznym wspomnieniom swojego domu i miasta, a umierającej samotnie pod szarym niebem obcego kraju.

Wieczorem jestem w «Gospodzie Aktorów», gdzie panuje nastrój beztroski i gdzie zbiera się cały wesoły Kraków; wziąłem też bilety na przedstawienie teatryku «Syrena» z Łodzi, który przyjechał tutaj z polityczną satyrą pt.: «Wgląd w rząd». To dopiero jutro wieczorem. Rano natomiast spędzam na Wawelu.

Gdyby nie brakująca oczom sylwetka konnego pomnika Kościuszki, rozmachnięta szerokim gestem ręki, rozwianą końską grzywą i podniesionym kopytem, a już zrośnięta w pamięci naszej z wizją wawelskich murów przy głównym wejściu — można by prawie pomyśleć, że nic się nie stało. Że ten Wawel przez pięć lat nie był «Burgiem», z którego sprawował krwawe rządy okupacyjne wisielec norymberski, Frank*).

*) Z niedrukowanej dotąd książki Haliny Tomaszewskiej o Franku, pt.: **Z Wawelu do Norymbergi** taki wyjątek: „Największym źródłem dumy jest oczywiście Wawel... Olsniewa Franka fakt, że mieszka w prawdziwym zamku prawdziwych królów, nawet jeżeli komnaty jego są „wielkie, zimne i ponure“, Jak się skarży Siegrid, najstarsza jego córka. „Siedzę tu jak stary rycerz w moim zamku królewskim“ — wita Frank niezmiennie gości swych na Wawelu. Przyjaciółki jego mieszkają w pokoiku basztowym, syn Norman w Kurzej Stopce. Frank przywiązany jest do swojej siedziby i stolicy, próbuje interweniować gdy na rozkaz Hitlera Niemiec historycy sztuki wywożą z Krakowa ołtarz Wita Stwosza; sprzeciwia się gdy Goering wykazuje zbytnie zainteresowanie polskimi kolekcjami i rejestruje je natychmiast w specjalnym katalogu jako własność General - Gouvernement. Kustoszem i opiekunem polskiej sztuki mianował Wilhelma von Palezieux. Goering mówi o Franku ironicznie: „Król Stanisław“. Otoczenie nazywa go Hans der Erste, Hans Pierwszy, a historia dodaje, że także Ostatni. Był na Wawelu gościem Franka raz tylko, od 12 do 14 marca 1942, — Himmler. Hitler nigdy natomiast nie przestąpił jego progu.

W Częstochowie przeor zakonu OO. Paulinów opowiadał mi jak odbyła się wizyta Franka na Jasnej Górze. Przybył tam z żoną i z córkami i zażądał także pokazania mu biblioteki, która mieści się w obrębie klauzury klasztoru. Powiedziano, że może ją zobaczyć, ale nie w towarzystwie pań. Oburzył się, że jako głowa państwa stoi ponad prawem i że żąda wstępu

Patrzę ku niewzruszonym na tle pogodnego nieba kształtom tego bukietu architektury, który w sercach naszych budził szacunek, dumę i przywiązanie, nie mogąc pogodzić myśli o paradoksie, że w jego murach leży się przecież plany największej zbrodni, jaką zna dotąd tysiąclecie polskich dziejów.

Stoją te same, porywające urodą, zawierające nadal skarbiec najdosłowniejszych pamiątek narodu.

Wnętrze katedry wawelskiej zdawało mi się zawsze za jasne, aby w niej mógł panować nastrój i to skupienie kolorowego półmroku, jakie przepełnia nawę Notre-Dame i czyni z niej jeden z najpiękniejszych kościołów świata. To więc nie sprawa ram architektury, ale światła, a ściślej mówiąc, witrażowej mozaiki. Otóż katedrze wawelskiej brak było zawsze witraży.

Przeszkadzają też zamyśleniu nieuniknione i tłumne wycieczki, chodzące po tym uroczystym przybytku, jak po hali dworcowej. Rozmawiają głośno, biorąc zachętę z głosu przewodników, oprowadzających od razu kilka wycieczek i którzy w różnych kątach katedry udzielają właśnie objaśnień. Wycieczki są z prowincji, ze wsi, wiele młodzieży i dzieci zastuchanych, zapatrzonych i przeżywających pobyt tu jak wielkie wydarzenie w ich życiu. Tłoczy się więc jedno skupisko zwiedzających wokół jakiejś płyty z brązu, której treść objaśnia przewodnik. Tuż obok w posadzce otwarte są drzwi do podziemia, gdzie stoją sarkofagi Mickiewicza i Słowackiego. I nagle przewodnik podnosi głos: «Tylko mi się tam nie tłoczyć tak w tyle, żeby mi który przypadkiem nie wleciał do krypty wieszczów». Myślę, że to przestroga, której nie usłuchałaby tak łatwo wycieczka literatów.

Trzeba wykupić osobny bilet na zobaczenie dzwonu Zygmunta, który, wbrew pogłoskom, nie uległ zniszczeniu i którego serce bije tu nadal szpiżową potęgą w dniu Wielkiejnocy. Osobny bilet do grobów królewskich.

Nic i tu także nie uległo zmianie. (Czytałem przed wyjazdem w *Kulturze*, że nikt nie wie już zagranicą co dziś dzieje się na przykład na Wawelu. Więc oto jest relacja z pierwszej ręki). Cisną się ludzie przy tych królewskich trumnach pod niskimi łukami sklepienia, a światło prószy z lamp, zawieszonych nad nimi i mających kształty koron. Przesuwa się w opowiadaniach przewodnika kilka wieków historii, wyznaczanej kalendarzem pamiętanych z podręczników imion i dat, a tu nagle obecnych w najwyższym majestacie śmiertelnej samotności. Już nie dystansu jednak ani spokoju, bo te skutecznie zakłócone są przeciskaniem się owej ludzkiej masy przez wąskie przejścia,

także dla swego otoczenia. Ojcowie odmówili. W takim razie wejdę siłą. „Na siłę nie mamy argumentów“.

Pogwałcił więc klauzurę i wszedł do biblioteki z rodziną. Zażądano złotej księgi. Gubernator chciał w niej zostawić swój podpis. Ale zacięło mu się przy podpisywaniu pióro: na papierze i rozpryskało kleksami atrament na jego nazwisku. Frank, który był przesądny, przejął się tym i aż pościemniał z wrażenia.

Kartę z tą osobiście złą dla Franka wróżbą można dzisiaj oglądać w klasztornej księdze.

aby każdy mógł na własne oczy zobaczyć — kobiety zwłaszcza najbardziej interesują się trumienkami królewiat; kształt ich i drobny wymiar przypominają, że nawet to uroczyste podziemie jest grobowcem nie koronowanych symbolów, ale ludzi.

Miejsca tu już bardzo mało, ale ktoś mówi, że pewno przeniosą tu jeszcze Stanisława Augusta z Wołomina, którego miejsce w pamięci Polaków wyznaczyła w swoim czasie ankieta *Wiadomości Literackich*, mająca zdecydować czy mu się Wawel należy, czy nie. Dostał mu się w rezultacie Wołomin, będący dziś znów poza obrębem granic państwa. *)

Mówią także — czego się nie mówi — że w związku ze studium śmierci Chopina, przypadającym na rok 1949 i które obchodzone ma być w Polsce jak nigdzie na świecie (odbędzie się w jego ramach pierwszy powojenny konkurs chopinowski w Warszawie) istnieje możliwość i nadzieja w sercach milionów Polaków, że trumna Chopina przewieziona będzie na Wawel.

Dyskutowało się także, w wyniku wywyższenia jakiego dostąpił w sercu narodu, przeniesienie na Wawel dwóch jeszcze kandydatów do Krypty Wieszczów. Mogłoby to być zarówno Krasiński, jak Norwid.

Na tych nazwiskach zresztą wyczerpuje się i zamyka lista wawelskich ewentualności na bardzo długo. W czasach współczesnych siew przyszłych wielkości, przyszłego geniuszu i jego wzlotów legł, pobity śmiercionośnym gradem. Nie doczekał się porę owocowania. Jesteśmy przeto ubożsi o tę możliwość, jaką dziś kryją gęste zastępy mogił, rozrzuconych po tyłu cmentarzach całej Europy. I dlatego żyjemy przywiązani serdeczniej jeszcze i głębiej do pomnika tych wielkości, które były.

Nie wszystkie przecież zachowane tak, jak wawelski. Zawierucha wojenna oszczędziła to świetne zameczysko, wszystkim widoczne i z daleka świecące jak cel, — a w ściśniętej między murami Starego Miasta katedrze św. Jana nie ostała się jej zniszczeniu nawet trumna Sienkiewicza w podziemiach. Dotarli do niej już po zwaleniu się katedry szabrownicy, rozbili, szukając niewiadomo czego — szczątki autora «Quo Vadis» roznieśli szczyry...

Teraz natomiast wchodzimy gromadą do Krypty pod wieżą Srebrnych Dzwonów. Trumna Marszałka sama, samotna, metalowe wieńce złożone przez towarzyszy broni i chwały u stóp, nietknięte. Zmęczeni zwiedzaniem, ludzie nagle się ożywiłi, — przewodnik jeszcze nie powiedział ani słowa, ale już poszły między nimi szept, niedowierzania nieomal: Piłsudski? Piłsudski.

Opowiadano mi, że po zajęciu Krakowa przez Rosjan, komandiry sowieckie chodziły po Wawelu nie zdejmując nawet

*) Od opisu wstydliwego w nocy złożenia, tam trumny ostatniego króla zaczyna się zresztą nagrodzona przez *Odrodzenie* powieść polityczna Tadeusza Brezy: „Mury Jerycha”, w której autor podnosi to wydarzenie do miary symbolu, jako punkt wyjścia w swolnym ukazaniu rzeczywistości polskiej sprzed wojny.

papach, względnie czap. Kazali sobie mówić co to, a co tamto. Królewskie groby nie zrobiły na nich najmniejszego wrażenia, ale kiedy doszli do trumny Marszałka i powiedziano im, że leży tu Piłsudski — zdejmowali czapki. Dla tej jednej trumny robili wyjątek, rozumiejąc dobrze kto to był i okazując wobec niego szacunek, nieświadczony poza tym niczemu. *)

Ludzie obchodzą trumnę ze wszystkich stron, oglądają ją, jakby była im bliższa od tych wszystkich królewskich sarkofagów, o które ocierali się w przejściu, jakby była znajoma — dotykają jej rękami, każdy musi jej dotknąć, każdy obejść ją wkoło, jak gdyby chcieli przekonać się, że to jednak prawda. Potem znów znieruchomieli wokoło, bo przewodnik udziela ostatniego już w tej podziemnej wędrówce objaśnienia. Mówi tonem rzeczowym, stwierdzając to, co wszyscy już wiedzą: ta trumna mieści zwłoki śp. Józefa Piłsudskiego, Marszałka Polski.

Potem to jeszcze, co należy wiedzieć o miejscu gdzie stoi, o kutej ozdobnej kracie, która odgradza wejście pod wieżę ze srebrnymi dzwonami. Wejście do krypty jest bowiem osobne pod baldachimem, wspartym na porfirowych kolumnach (dawniej z cerkwi na Placu Saskim). „Kto chce, może to sobie zobaczyć, wyszedłszy na plac przed katedrą. Znajdzie nad kolumnami napis po łacinie, który przetłumaczony, znaczy: *Ciała śpią, duchy czuwają...*”

...I dobrze musiały czuwać — kończy — jeżeli z wojennych nieszczęść, które tak strasznie poraziły naszą Polskę, wyszły cało te pamiątki historii, które dziś na Wawelu każdy może zobaczyć, jako świadectwo polskiej wielkości i chwały...

Zrobiło się na chwilę bardzo cicho dookoła trumny w napelnionej ludźmi krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów.

X.

Pracownia Wita Stwosza

Na Wawelu bez zmian. Niemcy, mający manię przebudowań tam, gdzie nie wykazywali się równie namiętą manią zniszczeń, nie uważali na szczęście za potrzebne wypowiadać się ani jednej ani drugiej na wawelskim wzgórzu, z wyjątkiem dobudowy skrzydła administracyjnego oraz odstąpienia podjeżdż do wzgórza, co Wawelowi wyszło raczej na dobre. Zamku nie tknęli; dokonana przez Szysko-Bohusza przebudowa jego wnętrza pod kątem uczynienia go mieszkalną i reprezentacyjną rezydencją głowy Państwa zadowoliła widocznie gust i spodziewanie hitlerowskiego satrapy, który w niej osiadł. Zbiory

*) Chyba tylko Kościuszkę jeszcze cieszył się ich względami. Wiem o zdarzeniu, które miało miejsce w tym samym okresie z okazji

i skarby, z wyjątkiem tych, jakie zabezpieczono na emigracji, ostały się na ogół także. Jest więc wszystko podobnie jak było.

Jedynym wielkim wyłomem, uczynionym przez Niemców w dobytku kulturalnym Krakowa było zdjęcie i wywiezienie ołtarza mariackiego do Norymbergi. Dość to nielogiczne pociągnięcie jeżeli zważyć, że też Niemców w stosunku do Krakowa było uważanie go w całości za wykwit niemieckiej sztuki i dzieło niemieckiego mieszczaństwa; poświęcali dużo trudu naukowego wyciąganiu za uszy podobieństw, pokrewieństw i związków jego z Norymbergą głównie, w czym pochodzenie Stwosza miało stanowić największy argument. Mariackie jego arcydzieło jednak uważano widocznie za należące niesłusznie do krakowskiego skarbcza.

Osobliwym zrządzeniem losu przywrócił się w tej jednej sprawie porządek i równowaga. Do Norymbergi dostał się Frank, aby na szubienicy dopiąć tam szczytu kariery polskiego wielkorządcy, ołtarz natomiast znalazł się znowu w Krakowie, by na Wawelu stać się obecnie przedmiotem troskliwej konserwacji, zanim, w pełnym przepychu odnowy, nie będzie królował z powrotem w nawie swojego kościoła.

Powiem od razu: największym artystycznym wstrząsem w Krakowie było dla mnie zwiedzenie wawelskiej pracowni prof. Mariana Słoneckiego, który kieruje odnawianiem stwoszowskiej rzeźby.

Ołtarz wrócił w roku 1946, zapakowany w 107 skrzyniach, zawierających całość, porozkładaną na drobne części, w tym około 500 wielkich postaci albo sporych bloków, jedna skrzynia pełna potamanych drobiazgów, dziś już dostosowanych i doklejonych na swoje miejsca.

Pierwszy to w dziejach kilku już konserwacji ołtarza wypadek, aby mając tę olbrzymią kompozycję rzeźbiarską rozłożoną na kawałeczki, móc dotrzeć do każdego szczegółu i dokonać nie tylko potrzebnych zabezpieczeń, ale rewelacyjnych odkryć, pozwalających pełniej jeszcze podziwiać to dzieło, jedno z największych w historii sztuki ostatniego tysiąclecia. Jedyna to też okazja, aby przyjrzeć się mu i poznać wszystkie arkana niezrównanej techniki Stwosza.

Całość bowiem, tak jak ją pamiętamy z prezbiterium kościoła Mariackiego, robiła wprawdzie potężne wrażenie bogactwem i doskonałością kompozycji, nie pozwalała jednak na

zjazdu literatów w Krakowie. Trzech pisarzy wracało przez planty późną nocą i lekko pod gazem. Z ciemności wyszło na nich pięciu sowieckich żołnierzy z dość normalną w owych czasach propozycją, dotyczącą zegarów i pieniędzy. „Uskutecznił się”, nie mając wyboru, gdy wtem jeden z literatów, będący w mundurze, zagadał sowieciarza, rewidującego kieszenie:

— Ty o Kościuszcze słyszał?

— Słyszał, kanieczno.

Wypreżył się na to ów literat i powiedział. — To ja jestem Kościuszek. żołnierze stanęli jak wracy, zatrzymali się w wykonaniu swoich czynności i gęsto mówiąc „izwiniajus” oddali wszystkim trzem już zabrane rze-

dokładne oglądanie poszczególnych fragmentów tego tłumy postaci, jaki wypełnia szczerlnie cały jej obraz, a to choćby ze względu na dystans, dzielący obserwatora od olbrzymiej szafy tryptyku, mierzącego 9×13 metrów.

Tu natomiast dostępny jest oczom i nawet dotykowi ręki każdy detal: postacie apostołów nadnaturalnej wielkości leżą w niezwyklej pozach, przypominając sarkofagi świętych; albo patrzą spod ścian, ustawione nie pomnikowym wcale, ale pełnym realizmu i piękna skupieniem. Jest w przemierzaniu żywych ludzi, chodzących między nimi i tej cudownej nieruchomości kształtów, zaklętych dłużej mistrza w nieporównaną różnorodność twarzy, rąk, stroju i gestu, jakaś widowiskowa wspaniałość, aż prosząca się o danie jej scenicznego wyrazu, uchwytna być może tylko okiem filmowego operatora, nie do objęcia słowami.

Komentarz słowny towarzyszy jednak temu zwiedzaniu, niepodobnemu do niczego, co można przeżyć albo zobaczyć w muzeum. Bo błąka się w tych salach nastrojów pracowni samego mistrza — podobnie to musiało wyglądać kiedyś, chociaż współczesność stroju laborantów konserwatorskich i nowoczesna oprawa sali sytuuje to zjawisko w czasie i wyznacza jego odległość od chwili, kiedy pod cięciem stwoszowskiego dłuta powstawały do życia owe natchnione świętością *dramatis personae* jego ołtarza, każda mająca już naprzód wyznaczoną rolę i upatrzone miejsce w wizji kompozycyjnej, jaką z nich budował.

Pracownia Stwosza, gdzie powstał ołtarz, znajdowała się w Krakowie na rogu Grodzkiej i Poselskiej. Wszystko dzisiaj w postaciach jego rzeźby wskazuje na związek z Krakowem — typy sarmackie, wnętrza, stroje, wiele drobnych szczegółów, odkrywanych już tylko okiem i szkiełkiem znawców. Rzeźbił swoje postacie (wagi przeciętnie 700 kg) w monolitach lipowych, po 500 lat każdy. To drzewo — mówi profesor Słonecki — jest tak dawne jak całe dzieje Polski.

Drzewo zresztą nie przestaje żyć, oddycha, wchłania i wydziela wilgoć, pęcznieje i schnie na przemian. Podziw dzisiajszych specjalistów dotyczy zarówno geniuszu rzeźbiarza jak i znanstwa materii, w której pracował. Stan ołtarza, rzeźbionego między 1477 i 1489 rokiem (pierwsza msza przed ołtarzem została odprawiana w roku 1486) jest, zważywszy jego dawność, doskonały. Przed pokryciem polichromią zabezpieczony był przez Stwosza pokostem z przymieszką oleju i nie wiemy już jakich utrwalaczy. Rzemieśnicza świetność tej roboty jest równie imponująca jak doskonałość jej artystyczna. Nic tu ze sztuczek, z doklejań, z dodatków postronka na przykład, dla uzyskania plastycznego efektu żył na ciele (stosowano wówczas tę metodę) wszystko wyrzeźbione jest jak najdokładniej w drzewie, pokryte cienkim gruntem kredowym, a potem powleczone farbą, według techniki flandryjskiej (Stwosz studiował rzeźbę we Włoszech, ale malarstwo we Flandrii).

Odkrywczą pracę obecnego odnawiania polega też głównie na usuwaniu śladów dawnych konserwacji, sięgających aż XVIII wieku, a zwłaszcza tej, jakiej poddany został ołtarz za czasów Matejki w latach 1868-1871 (Matejko osobiście malował twarz Madonny) oraz następnej, w latach 1932-1933, w czasie której nie doczyszczono polichromii figur i nie dotarto do pierwotnej warstwy, dziś dopiero ukazującej niezwykle i nowe bogactwo motywów roślinnych i krajobrazów, oryginalnego tła rzeźby z epoki Stwosza.

Botanik, prof. Szafer, określił już naukowo liczne ich gatunki, rektor U. J. prof. Walter, dał diagnozę chorób skórnych, jakimi Stwosz naznaczył oprawców w scenie ukrzyżowania, ale ołtarz nadal stanowi kopalnię szczegółów, pozwalających na rekonstrukcję obyczajów współczesnej jego powstaniu epoki, bezcenną dla kostiumologów i nieocenioną dla poznania stylu naczyń, mebli, sposobu noszenia książek (w torbach) i ich ówczesnego wyglądu. Na całość obrazu, przedstawiającego wszystkie fazy tzw. Złotej Legendy, «legenda aurea», najpiękniejszej opowieści o życiu, zwiastowaniu, stajence betleemskiej i drodze krzyżowej, o Golgocie, zaśnięciu i Wniebowzięciu Marii Panny, składają się także setki drobnych figur, każda sama w sobie arcydzieło stwoszwoskiego kunsztu, niektóre w skrótach perspektywicznych, przewidzianych ze względu na dystans i miejsce, jakie zajmą w ołtarzu, nie mówiąc o płasko-rzeźbach, z pełną grupową kompozycją i wielkim bogactwem ozdóbników. Jeżeli dać wiarę, że Stwosz nie używał modelu, że rzeźbił wprost, na podstawie najwyżej rysunku, ledwo się mieści w myślach ogrom i wspaniałość jego talentu. Z niczym też tego nie podobna porównać, chyba z sklepieniem Sykstyń. I można tylko raz jeszcze potwierdzić w sobie podziw, że jeden człowiek mógł udźwignąć i pomieścić ogrom tak wielkiej inspiracji, fizycznego trudu i tych bezmiarów cierpliwości i uporu, jakiego wymagało dokonanie owego dzieła w czasach, gdy żaden mechanizm nie potrafił zastąpić twórczej ręki człowieka. Stwosz miał oczywiście pomocników, uczniów, a między nimi syna, Stanisława, któremu przypisuje się autorstwo wielu drobniejszych figur w ołtarzu, rzeźbionych jednak pod kierunkiem ojca, który wycisnął na całości nieomylnie własną pieczęć geniuszu. Bo kiedy mistrz w Krakowie stał właśnie u szczytu swego artystycznego natężenia, Michał Anioł miał właśnie 6 lat, a Dürer 4. Daje nam to pojęcie o roli, jaką na tle tamtego czasu odgrywał królewski Kraków, doświadczając na oczach dzieła tak wzniosłej miary i dobrze czując jego bezprzykładną wielkość wzoru dla innych szkół i innych mistrzów Europy.

Należy tylko wyrazić nadzieję, że wyjątkowa dziś okazja dostępu do każdego szczegółu ołtarza Stwosza pozwoli na dokonanie tego, co Phaidon-Verlag uczynił dla sztuki Michała Anioła albo Boticellego. Odkrył on bowiem i pokazał światu nieznane dotąd piękno ich malarstwa tylko dlatego, że dał

dobrze fotografie fragmentów. Nie negując wcale wspaniałości kompozycji okazuje się, że właśnie we fragmentach kryje się niedostępne dla normalnego obserwatora bogactwo artystyczne, zgubione zupełnie w ogromie dzieła i dlatego czekające na odkrycie poprzez obiektyw fotografa, który utrwali je z bliska. Niektórych pięknych zdjęć dokonał już artysta, Stanisław Kolowca, ale wybór dotąd jest skromny i myślę, że powinien być uzupełniony pod kątem tego właśnie projektu, który mogłoby liczyć na oddźwięk światowy pod warunkiem wydania albumu według wspomnianych wzorów i o wysokiej technice drukarskiej.

Dzisiejsza praca konserwatorska nad rzeźbami ołtarza polega na wykryciu i naprawieniu wszystkich szkód, jakie poniósł w przeprowadzce i jakie grożą jego trwałości tam, gdzie do drzewa rzeźb dostały się drewnojady. Stwierdzono bowiem infekcję w niektórych fragmentach ołtarza, jakiej przyczyną jest czervotok (anobium pertinax), drażący i dziurkujący to dawne, bezcenne drzewo.

Wszędzie, gdzie stwierdzono jego obecność, poddane jest ono gazowaniu, a następnie impregnowane. Drobne otworki wylotowe zalepia się kitem. Jest to operacja przypominająca dentystykę — i o dziwo — widzę, że wykonuje się ją instrumentami do plombowania zębów.

Opowiada mi prof. Słonecki, że nocą nieraz przychodzi do tych sal, zaludnionych postaciami sprzed pięciu wieków, aby posłuchać czy który szkodnik jeszcze nie ostał się i nie prowadził dalej swojej niszczącej roboty, ukryty w stwoszkowskim drzewie. Słychać go bowiem, kołaczę jak czasem duch w starych meblach.

Przez okno przegląda księżyc i ślizga się świetliście po owych natechnionych kształtach i rzuca od nich niezwykle cienie. Przyczajony w ciemności człowiek słucha drobnego głosu owada, który odważył się toczyć te rzeźby, próbuje przylapać małego złoczyńcę na gorącym uczynku zbrodni przeciw pięknu, przeciw skarbowi narodu, przeciw wielkiej dumie człowieczeństwa. Zestawienie tej przejmującej sceny z pamięcią wojny, tak jak ją mamy w oczach, gdy bomby obracały w ruinę powszechną własność pokoleń, gdy biły w serca miast i rozrywały serca ludzi, odśladania nagle cały absurd świata, w którym żyjemy.

Tu, zredukowana do samego dna prawdy troska człowieka o zachowanie cząsteczki wspólnego wszystkim dobra sztuki — tam, nie licząca się z niczym i mechaniczna już bezwzględność, co burzy w jednym mgnieniu oka więcej, niżby to mogła kiedykolwiek sprawić przyroda, albo czas nawet, sprzysiężony z nią przeciw trwaniu pomników ludzkiej wielkości...

Największym nieprzyjacielem człowieka jest dotąd i nadal człowiek.

Drobny, maleńki owadzie, kołatko w drzewie tak dawnym jak dzieje Polski, gdybyś nas mogła nauczyć mądrości na

miarę różnic, jakie dzielią to drzewo, dotknięte ręką dawnego natchnienia, a drażone przez ciebie dziś po raz ostatni (zagażują cię jutro troskliwi i dobrzy ludzie) od ich zbrodni i zniszczeń, tyle od twego straszniejszych.

XI.

„Wgląd w Rząd”

Ostatniego wieczoru w Krakowie wybrałem się na przedstawienie teatrzyku łódzkiego, który zjechał tu w gości, a objeżdża całą Polskę z programem politycznej satyry p. t.: „Wgląd w rząd”. Idź sobie tego posłuchać, odpowiedział mi któryś ze znajomych, zdziwisz się pewnie ile jeszcze czasem puszcza w Polsce cenzura...

Jak to jest z tą cenzurą? Tak jak z wszystkimi urzędami; im wyżej, tym łatwiej dogadać się, tym inteligentniej traktowany jest petent. Najgorzej na prowincji, gdzie lokalne władze mają własne swoje widzimisię i próbują wykazać się wobec góry gorliwością tępienia „niebłagonadiożnych” wybryków i popisów fantazji autorskich, wykraczających według ich wyczucia poza ramy dozwolonej tendencji. Pogląd na to co wolno, a czego nie wolno, był jeszcze bardzo rozmaity. Zależał w dużej mierze od inteligencji cenzora. Są oczywiście tematy tabu, których w interesie autora i wydawcy lepiej w ogóle nie pokazywać cenzorowi. A co do innych, słyszałem o wypadku kiedy słowo „Żydzi”, w odniesieniu do osób krzyżujących Chrystusa, zastąpione zostało słowem „Innowiercy”. W pewnej naukowej książce zamiast „Żydów” czyta się „kupecy”. Kontrola prasy i piśmiennictwa przybiera więc niepoważną formę polowania na słowa, a wobec tego, że trudno jej dokonania ukręcić przed wścibskim okiem i uchem PT. publiczności, często gęsto ośmiesza się w jej pojęciu. Wtedy na przykład kiedy usuwa zdanie Lubeckiego, który powiedział: „kraj polski dla finansów nie ginie, byle nie było innych przyczyn”. Wszelkie aluzje do współczesności pod kątem porównywania jej z innymi formami ustrojów totalnych, są oczywiście jak najgorzej widziane. Stąd na przykład nie podobna mówić o tendencjach przeradzania się rewolucji demokratycznej w cezaryzm. Linia zresztą nie była w tych sprawach bardzo sztywna i odwołanie do wyższych instancji możliwe. Znam wypadki targowania się z cenzurą, gdy autorowi fachowej książki, 200 zastrzeżeń prowincjonalnej cenzury ingerencja czynników warszawskich „ułaśkawiła” do czterech tylko. Opowiadam tu oczywiście o sytuacji z połowy tego lata (lato — powiadali — bardzo mokre,

z tego powodu też grozi dwom partiom, że się zleją).

Bardzo wiele zależało od tonu, od taktu, od umiejętności podania tekstów. Nie wiem czy wydrukowano gdziekolwiek przy-

pisywaną Gałczyńskiemu treść jednego z przedstawień „Najmniejszego teatru świata” pod wezwaniem Zielonej Gęsi, którą drukuje co tygodnia *Przekrój*. Ale chodzi po Polsce ta Gęś, a brzmi jak następuje:

W przedstawieniu biorą udział dwie osoby, *Naród* i *Ustrój*.
Naród (wydaje nieartykułowane okrzyki): Ho, Ho, Ho, Hi, Hi, Hi, Ha, Ha, Ha.
Ustrój: (Narodowi nie odpowiada).
Kurtyna.

Skoro już mowa o Gałczyńskim, mającym dzisiaj w opinii ogółu i nawet w kołach literackich reputację pierwszego poety w Polsce, przytoczyć mogę jeden jeszcze kawałek z repertuaru jego niezwykłych popisów humoru i wyobraźni, nie mówiąc o specjalnym wyczuciu aktualności.

Dał mianowicie wywiad, w którym na zapytanie reportera jakie jest jego pochodzenie, odpowiedział: — Ojciec mój był prostym robotnikiem.

Przypomniano potem Gałczyńskiemu, że w czasach kiedy pisywał do *Prosto z Mostu*, ojcem jego był zakrystian.

Konstanty Ildefons nie speszył się jednak wcale tym wspomnieniem.

— Czasy się zmieniają, powiedział, to biografie nie mają się zmieniać?

Wracamy do „Wglądu w Rząd”. Pozwolenie na przedstawienie tego teatrzyku, mówiącego rzeczy śmiałe jak na obecne warunki w Polsce, było celowe — miało służyć dla rozładowania niejednych napięć. Jest dla widzów nawet zaskoczeniem: więc można mówić jednak z otwartej sceny aż tyle?

Oklaskuje się też jej teksty ciepło i z entuzjazmem. Wprawdzie szopka z kukiełkami osobistości, jako rodzaj i styl satyry, traci myszką — jest jednak kontynuacją tradycji, przyjętych w Polsce.

Prowincjonalne cenzury też były zaskoczone i urażone nawet w swoich gorliwościach widząc, że „władze” puściły sporo kawałów i uwag, na których aprobatę nikt z lokalnych kacyków nie zdobyłby się za żadne skarby. Tekst szopki może też służyć jako ilustracja dla zmian, jakie od tego czasu zaszły i pozbawiły wszelkiej aktualności taki na przykład refren z piosenki, śpiewanej jeszcze w sierpniu przez kukiełkę Cyrankiewiczza (Cyrano de Premierac):

*Najważniejszą zaś spółką
 Jest to spółka z Gomułką.*

Występują potem w duecie „najpierwszy wśród ministrów i najpepeerszy wśród ministrów”, śpiewając, że „wspólną dłońią — wspólny ster.”

*„Ciekawe tylko jaki kres,
 Miłosnych naszych będzie gier,*

Czy wyjdzie stąd PPSR,
Czy wyjdzie stąd PPRS — ?

Konferansjerem i duszą teatryku jest Kazimierz Rudzki, do-
brze znany z obozu w Woldenbergu. Mówi np. do kukielki
Minca: „Cieszy nas ogromnie, że plan na rok bieżący został
już przekroczony. Jest to jedyne przekroczenie, którego może-
my się w Polsce bezkarnie dopuścić. I byle z dobrym skutkiem
— chętnie się jeszcze te dwa lata *pominemy*.”
Trzeba też oczywiście stracić przysłowiową kroplę na cześć
obowiązujących bogów.

O planie Marshalla pada powiedzenie, że to strach na ruble.
Spekulant (temat przestępstw politycznych omija się w szop-
ce starannie) stwierdza, że podczas wojny unikał niebezpie-
czeństwa, a teraz bezpieczeństwa i zaraz potem śpiewa:

*Ja wszystko lubię, ja nie lubię tylko UB,
gdy widzę UB, to od razu czuję zgubę,
a jednak trzeba wziąć w rachubę,
interesy robiąc grube,
że cześć w końcu zawsze natknie się na UB,
na niebezpieczne i zbyt liczne łube UB!
Ja z nimi miałem już nie jedną ciężką próbę,
gdy czuję UB, to wyjechałbym na Kubę,
i choć się szczycę, choć się chlubię,
że się nie tak łatwo gubię,
bezradkiewicz jestem, gdy poczuję UB...*

Borejsza śpiewa o sobie: „Borejsza najważniejsza”, a o lite-
raturze, że pisują artykuły, a w tych artykułach jest „wielka nu-
da, ceniona nuda, dyskusyjna nuda, zasadnicza nuda, ultrano-
woczesna nuda, wszystkim znana nuda, na wszystkie święta na-
rodowa nuda...” itd.

Marszałek sejmu, Kowalski, w swojej piosence ma taką
strofę:

*„Choć sejm z narodem i wice versa,
Choć sejm harmonii jest wzorem,
Czasem się komuś ckną do Andersa,
I ktoś tam klaszcze za Borem...”*

Minister skarbu Dąbrowski:

*„... albo budżet dobrze,
albo budżet dobrze,
albo budżet źle...”*

Czy trzeba dodawać, że publiczność gorąco okłaskuje te stro-
fy? Konferansjer mówi coś o *reakcji* na sali i wszyscy w
śmiej.

Jest skecz Wiecha o odbudowie Warszawy, jest i drugi pt.:
„Tragedia Warszawska”.

Opowiada historię parę małżeńskiej Okuszków, której udało

się zdobyć w Warszawie mieszkanie z przydziału. Ale zjawia-
ją się nagle przedwojenni lokatorzy tegoż mieszkania, Szums-
cy, prawni jego właściciele. Dramat. Konflikt. Jak się to skoń-
czy? Konferansjer proponuje trzy epilogi.

Podaję bez próby komentarza tekst (autor T. K. Radoćko)
pierwszego i ostatniego epilogu, tak jak go widziałem na sce-
nie w Krakowie:

Szumski: Zobaczmy, jak sobie wyobraża finał tej historyjki
żelazny emigrant w Londynie!

Konf.: A wie pani... można! Proszę, żelazna kurtyna.

Pierwszy epilog

Szumski: Nie ma pan żadnych szans, proszę pana...

Okusko: To się jeszcze zobaczy, proszę pana... Prawo wła-
sności jeszcze istnieje... częściowo...

Sz.: No dość tych rozmówek. Pytam po raz ostatni, wyprowa-
dza się pan dobrowolnie, czy nie?

Ok.: Nie!

Sz.: Więc nie?... Hm. A ciepłe buty pan ma? Najlepiej z
wojłoku.

Ok.: Buty? Po co buty?

Sz.: Zaraz się pan przekona... (podchodzi do telefonu, na-
kręca). Halo, Wania, to ty? Prichadi ka mnie skariej. No tu,
do mnie. Aleja Gromyko 18. Siedzi tu jakiś i nie chce się ru-
szyć. Czo? Nu, da, Władystok... Co, nie ma miejsc? U was
zawsze, psiakrew, przepełnienie! No, ale jedno miejsce musi
się znaleźć. — Nu, da, prisajedinit k'eszetonu 313... Charaszo...
(odkłada słuchawkę).

Ok. (drząc): ...Na... na Sybir?...

Sz.: Naturalnie. U nas jeden sposób. No, szykuj się pan. Z
rzeczy wolno zabrać tylko *Gazetę Ludową*, reszta zostaje.

Ok.: To ja... ja już wolę się wyprowadzić... Hela, chodź...

Trzeci epilog

Konf. (wychodzi przed kurtynę zanim zapadła): Chwileczkę!
Może ja jestem idealista, człowiek nie z tej ziemi, wariat z mokrą
głową,—ale ja nie mogę się z tym pogodzić, żeby czworo ludzi nie
znalazło jakiegoś rozwiązania, jakiegoś rozsądnego i ładnego wyj-
ścia z tej niemądrej i brzydkiej sytuacji... To nie jest przecież
konferencja międzynarodowa. Spróbujemy jeszcze, proszę pań-
stwa, jakby wyglądało ostatnie rozwiązanie tej historii... roz-
wiązanie idealne, rozwiązanie sielankowe... Kurtyna, proszę.

Para Okuszków proponuje Szumskim wspólne mieszkanie,
zagęszczają się dobrowolnie i bardzo przykładnie, nawet dla
konferansjera znajdzie się pokój; budujące jest i obywatelsko
przykładne to zachowanie, gdy nagle: dzwonek.

(Wchodzą dwaj panowie z teczkami.)

P. I.: Dzieńdobry.

Wszyscy: Dzieńdobry!

P. II.: Kto jest lokatorem tego mieszkania?

Ok.: O Boże! Nazwyczajna Komisja Mieszkaniowa!

Sz. (spokojnie): No to co? (Do przybyłych): Panowie się spóźnili. Wszyscy — jak nas tu panowie widzą — jesteśmy lokatorami tego mieszkania. Samiśmy się zagęścili.

P. I.: Niech się państwo uspokoją, nie jesteśmy z komisji mieszkaniowej.

P. II.: Jesteśmy z Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego.

Ok.: Aaaa... w takim razie bardzo nam miło... Czym możemy służyć?

P. I. (sprawdza w papierach): To jest dom nr 19 przy od-
nośnej ulicy?

Ok.: Tak jest. Piękny dom, prawda?

P. II.: Owszem. Zniszczeniom podczas wojny nie uległ żadnym?

Sz.: Bóg strzegł, ani cegiełki.

P. I.: Państwo muszą to mieszkanie opuścić w ciągu tygodnia.

Ok.: Co?...

Sz.: Dlaczego?...

P. I.: Bo w przyszłym tygodniu przystępujemy do rozbiórki domu.

Sz.: Jakto? Czyżby był zagrożony niebezpieczeństwem ru-
nięcia?

P. II.: Nie.

Ok.: Przecież jest cały... i mocny... Niewiele takich domów w Warszawie zostało...

P. I.: Owszem, to się zgadza.

Sz.: Więc po co rozbierać? Po co burzyć?

P. II.: Musi się zburzyć. Bo według projektowania Urzędu Planowania Przestrzennego, właśnie w tym miejscu ma być kwietnik. A my nową Warszawę musimy budować planowo.

P. I.: Tak, proszę państwa! Właśnie od zburzenia tego domu rozpoczyna się nareszcie właściwa odbudowa Warszawy!!!

XII.

W Poznaniu

Pierwszych dwadzieścia lat życia spędziłem w murach Poznania. Samolot, którym lecę z Paryża do Warszawy, przesuwa się nisko nad miastem mojej młodości, pozwala zajrzeć z góry we wnętrza wypalonych domów, zobaczyć jednym rzutem oka wymiar zburzenia, jakiemu uległ.

Jest w zobaczeniu znanego sobie miasta, które doświadczyło wielkich zniszczeń zawsze to samo zaskoczenie, które ma w sobie coś z trwogi, że się można w nim zgubić i nie rozpoznać

od nowa. W ulicach, gdzie zwalone są domy, dmie przeciąg pustki. Wydają się wiele mniejsze i jakby krótsze, niżli ta dawna przestrzeń, jaką dotąd przebiegały w naszych wspomnieniach.

Przebite w murach wyłomy, co tną na poprzek zwarte przedtem bryły budynków, odsłaniając niespodziane skróty przejść i perspektyw, przetwarzają krajobraz miasta, ustawiają je nagle pod jakimś innym kątem, dziwią ilością światła, puszczanego poprzez te wyrwy i przesieki w roztrącone koryto ulicy.

Stoję przed zwaliskami domu przy placu, gdzie przed wojną mieszkałem. Nie, nie wolno tu sobie pozwalać na sentymenty. Ten roztrzaskany kształt to tylko symbol świata, który się za mną zawalił. Tylko lekcja o przemianach materii, o nietrwałości wszystkiego co uważaliśmy kiedyś naiwnie za niewzruszone i stałe, choćby dlatego, że już podparte naszym przywiązaniem, choćby dlatego, że od lat najwcześniejszych przywykliśmy je widzieć tak tylko, a nie inaczej.

Trzeba wielkiego wysiłku wyobraźni i dużej odporności na bolesne podszepty serca, aby móc to zobaczyć inaczej właśnie. Aby móc przeprawić się przez lata, dzielące nas od owego miejsca, którego dawny wygląd stał się tylko nic nie znaczącą odbitką wspomnień oderwanych od dzisiejszości.

Doświadczenia Polaków zbudowane są wszystkie wokoło rozeznania tej właśnie konieczności.

Przypominam sobie intuicyjne jeszcze wówczas spostrzeżenia, jakie cytowałem przed rokiem w odczycie, danym dla amerykańskiej «Rydzyń», dla Groton School, szkoly z której wywiódł się Roosevelt, Harriman, Sumner Welles. Miałem przed sobą elitę amerykańskiej młodzieży i próbowałem dla niej wyznaczyć różnicę widzenia współczesności, tak jak się ona wyraża w ostatniej chociażby wojnie, jeżeli na nią spojrzeć oczami Amerykanina i Europejczyka z terenów, przez które przeszła. Oni tam już nawykli do widzenia swojego życia w niewzruszonych od pokoleń ramach instytucji, systemów, tradycji, i domów nawet, pełnych związku z przeszłością, zbudowanych na niej, rosnących z niej niczym drzewo genealogiczne, co od korzenia rozrasta się w pień i rozwiesza ramiona gałęzi równo, logicznie, bez przerwy, ku coraz szerszej koronie. My, z świadomością wyrwanych korzeni, odłupanych gałęzi, strzaskanej korony, z wizją dwóch przewróceń się świata, obecną w czuciu i myśleniu jednej tylko generacji ludzi.

Żaden wysiłek wyobraźni nie potrafi zastąpić tej różnicy doświadczeń i przeżyć, jaka wyznacza dzisiaj dystans między ludźmi głębiej i pewnie istotniej, niżli odległość samej geografii.

Znajduję nagle potwierdzenie owych uwag, stojąc przed grudem domu, w którego ścianach rozpoczynała się dla mnie droga w życie. Z odruchu wspomnień, zagrożonych wstecz, bo wynikłych z przypominania sobie żywego tu kiedyś budzenia się i dorastania, którego mieszkalne wnętrza obróciło się w

niekształtny kopiec gruzu i nie pozwalała uczuciom zacząć się nawet o ślad widomy tej dawnej, a tak istotnej treści wielu lat życia, podchodzą do gardła dławiący spazm żalu, chwyta za krtań i dusi.

Nie wolno dać za wygraną, nie podobna ulec mu, ani się poddać.

Odwracam się szybko, odchodzę przed siebie, naprzód. Nie obejrzę się już, nie cofnę serca ku temu domowi, burzę go i przekreślam w pamięci, niech w niej na zawsze zostanie taki, jakim go dziś znalazłem.

Pod wpływem tego stwierdzenia czuję się nagle mocniejszy znowu. Czuję się wolny od bezpłodnego ciężaru uczuć, nie widzących sobie dotąd miejsca, ani rady.

I zdaje mi się, że to ważny etap na drodze do zdobywania trudnej wiedzy o prawdach świata, w jakim wypadło nam żyć.



Osobliwy paradoks, jaki wynika ze zniszczeń, poniesionych przez wiele miast polskich, wyraża się we wróżbie, że odbudowane kiedyś, mimo nieodwołalnych strat wielu cennych obiektów architektury i wielu niepowrotnych pamiątek, będą wszystkie piękniejsze i lepiej urządzone, niż kiedykolwiek.

Praca nad odbudową zarówno Warszawy jak i Poznania obiecuje nam już dzisiaj ten właśnie wynik. Wzięli się do jej planowania urbanisci i architekci, ożywieni szacunkiem dla zabytków, ale korzystający także z nie często (szczęściem) zdarzających się miastom możliwości dokonania w nich poprawek, z myślą o późniejszym rozroście i przyszłych potrzebach życia i komunikacji.

Czy można by w normalnych warunkach marzyć o rozszerzeniu ulicy św. Marcina, jako głównej arterii Poznania, o całych 16 metrów? Wojna brutalnie pomogła w usunięciu z tej drogi szeregu kamienic, w oczyszczeniu Placu Świętokrzyskiego, którego otoczenie wydaje się nagle tak puste, że dla pamiętających dawny wygląd tej części miasta, trudno się w nim połączyć. Został (niestety) brzydki, dawniej ewangelicki zbór św. Pawła, najbardziej rażący okaz architektury z okresu wilhelmowskiego, do którego dzisiaj przeniosła się z zburzonego kościoła, parafia św. Marcina. Ale na przykład postawiony przez Niemców nowy ratusz, obok dawnego renesansowego, przewidziany jest do rozbiórki. Na tym ostatnim natomiast ogromny czworobok rusztowań otacza strzelający już znowu w górę szkielet odbudowanej (tym razem stalowej) wieży, która runęła pod pociskami. Poznań odzyskuje więc swoją najbardziej reprezentacyjną budowlę; stylowy fronton ratusza i piękne sale jego wnętrza nie poniosły na szczęście szkody.

Na szczyt wieży wyniesiono niedawno siwego, stanisławowskiego Orła. Ocalał; króluje znowu w niebie Poznania i w oczach jego mieszkańców jak narodowa monstrancja.

Biura ratusza mieszczą się dzisiaj w dawnym cesarskim

zamku. Panujący w nim Greiser poprawił gust Kaisera i przebudował zamek według własnego planu, zwłaszcza od środka. Dla mieszkańców Poznania sylwetka tej ciężkiej zamczystejszej budowli nigdy nie budziła sympatii, była bowiem jak pieczęć obcego panowania, wciśnięta brutalnym kształtem w obraz miasta i narzucająca mu styl. Przywykliśmy jednak do jego obecności, gdy służył jako pomieszczenie dla uniwersytetu. Wspomnienie młodości poznańskiej jest w dodatku przeplecione dźwięcznym, głębokim basem zegara z zamkowej wieży. Słyszę go jeszcze w tamtych dawnych nocach, jak złotym brzękiem rozbrzmiewa w otwartych oknach.*)

Dzisiaj wskazówki zegara zamkowego zatrzymane są pociskami armat. Na jednej stronie wieży sześć minut po 10-tej, na drugiej — dwadzieścia po 10-tej, od frontu tarcza zegara rozbita jest, jak uderzeniem pięści. Zatrzymał się jego mechanizm, a razem z nim stanęły wskazówki niemieckiego panowania tutaj i przestał posuwać się naprzód czas ich powrotnej obecności w Poznaniu.

Twarda to, była i bezwzględna dla miasta próba. Niemcy bronili się uparcie, Rosjanie ominęli Poznań w drodze na Berlin i otoczony już, jeli grzmocić działami. Uparty pomysł oporu niemieckiego w tym ostatnim bastionie obrony ich przed linią Odry, wywiódł się z nieszczonego dla Josów Poznania faktu, że miasto zostało około 1870 roku ufortyfikowane. Celowi temu służyła potężna i górująca nad miastem cytadela, Kernwerk — ile dziecinnych przechadzek na jej stokach pamiętam — oraz wieńcem rozrzucone wokół Poznania forty, grube, okrągłe, ceglane, bardzo solidne, minio że budowane tak dawno. Niemiecki plan obrony na istnieniu tych fortów opierał swoje szanse wstrzymania postępu sowieckich wojsk na tej linii natarcia. Zapłacił za to Poznań w styczniu i lutym 1945. Cytadela, mająca kilka głęboko w ziemię wpuszczonych kondygnacji, rąbano regularnie bombami, że sterczy dzisiaj niczym Colosseum, imponującą kolistą ruiną wojskowej termityery, z której wyszło po kapitulacji kilkadziesiąt tysięcy wkopanych w podziemia Niemców.

Forty natomiast nadal stoją poszczerbione żałowie, a będące dla mieszkańców Poznania smutnej pamięci miejscami kaźni i przesładowań z okresu pierwszej fazy okupacji Niem-

*) Odebranie pomieszczeń zamku uniwersytetowi, zostawienie Biblioteki Raczyńskich na dalszym planie w programie odbudowy zastanawia, czy istnieje wśród dzisiejszych władz miejskich pełne zrozumienie ważności Poznania w życiu Polski, jako posiadającego idealne warunki na stworzenie w nim naukowego centrum na zachodzie kraju, kulturalnej stolicy Ziemi Odzyskanych.

Mówiąc „Zachód”, wspomnieć jeszcze można obecność w Poznaniu ważnej placówki w postaci Instytutu Zachodniego, instytucji w najlepszym tego słowa bezpartyjnej, względnie ponad-partyjnej, a służącej głównie badaniom zagadnień niemieckich. Rozwija żywą działalność wydawniczą. M. in. nakładem Instytutu ukazała się monumentalna monografia Ziemi Odzyskanych.

ców. Cały wielki kompleks podziemnych pomieszczeń fortu VII, pod Ławicą, był obozem cierpienia, przez jaki przeszły i w jakim ginęły dziesiątki tysięcy ofiar. Dotąd znać na wapieniu ślady krwi męczonych tam poznańczyków w celach i pod szubienicą. Osobno wspomina się i pokazuje w Poznaniu «czerwoną krowę», forteczny okraglak od strony Malty, używany przez Niemców jako obóz dla łapanych w Poznaniu ludzi, obok dalszego jeszcze, w Główniej.

Przejścia owego okresu przedzielone są od dzisiejszej rzeczywistości owymi sześciu tygodniami walk, od których Poznań jeszcze się nie otrząsnął, chociaż jak dawniej przoduje pracowitością i chęcią posiadania porządku w swoich murach. Dokonał się też w tej dziedzinie niemały krok naprzód od dnia, w którym na zrujnowane miasto ruszył pierwszy oddział miejskich tramwajarzy z zadaniem naprawy zerwanej sieci druzapłata.

Dziś miasto znowu żyje: mocno zbiedniałe wprowadzie, bo pozbawione wielu ludzi oraz poważnej części swego dobytku, startowało jednak od obliczenia swoich strat, aby od razu zaskasać rękawy do usuwania ich śladu. Ma też nie mało dokonań za sobą. W sobie natomiast zdradza niezmiennie i charakterystyczne cechy, które zawsze różniły klimat wewnętrzny Poznania od innych polskich miast. Od oszczędności i umiaru w słowach, od solidności w interesach, od typowego konserwatyzmu poglądów, z którego wynika znaczna rezerwa wobec wszystkiego co obce, po ten realizm w ocenie nowej rzeczywistości, która witana była bez entuzjazmu, ale sądzona jest umysłami ludzi, umiających liczyć i robiących dziś kalkulacje pod kątem przede wszystkim opłacalności takiej czy innej polityki, takiego czy innego wobec niej stanowiska.

Ambicje kulturalne, które zawsze cechowały życie Poznania, zaspakają po części trzy teatry (budynki ich nie zostały zniszczone), a wśród nich pierwsza dziś w Polsce opera, która z dawnych gwiazd śpiewających szczyci się takimi nazwiskami, jak Janowska-Kopczyńska, lub dekorator, czyli jak się to mówi obecnie scenograf — Zygmunt Szpinger, a wśród nowych posiada rosnącego w stawę baletmistrza Kaplińskiego i primaballerinę o wybitnym talencie, wspaniałych warunkach i światowych naprawde możliwościach — Barbarę Bittnerównę.

Dopiero co w Warszawie poznańska opera dała miesiąc gościnnych występów w Teatrze Polskim, z powodzeniem i tłumną zawsze frekwencją. Zasluga tych osiągnięć przypisana być musi dyrekcji Zygmunta Latoszewskiego, który borykając się z powojennymi trudnościami, brakiem partytur, — gmach Teatru Wielkiego ocalał wprawdzie, ale został przez okupanta pozbawiony wszystkich kostiumów i dekoracji, a także biblioteki muzycznej — wziął się do uwieńczonej dziś pięknymi rezultatami pracy nad przywróceniem operze swojego miejsca w życiu

kultury polskiej. Obecnie Latoszewski objął już dyрекcję warszawskiej Filharmonii.

Teatr Polski (w ogrodzie Potockiego), którego gmach odsoniła wojna, bo zburzono zasłaniającą front teatru kamienicę przy ul. 27-go Grudnia, działa dziś pod dyrekcją Wilama Horzycy; kierownikiem literackim jest Roman Brandstaetter, który wybił się dramatem «Noce Narodowe», osnutym wokół osoby Mickiewicza, a w Poznaniu dopiero co wystąpił z premierą historycznej i związanej z przeszłością miasta sztuki o księciu Pżemysławie.

Do ciężkich strat, jakie poniosło miasto, wliczyć należy sterzący dziś strzaskaną kolumnadą, przez którą prześwituje niebo, gmach wspomnianej już Biblioteki Raczyńskich razem z większością bezcennych jej zbiorów, dalej Pałac Działyńskich, przed wojną miejsce literackich zebrań oraz stanisławowski odwach na Starym Rynku, dalej hotel Bazar, rezydencję ziemiańskiego i politycznego życia Wielkopolski na przestrzeni ostatnich stu lat. Jest w planie odbudowa wszystkich tych gmachów, których szczątki podmurowano już, aby nie dopuścić do dalszego zniszczenia. Muzeum Wielkopolskie ocalało i nawet wzbogacone jest cennymi zbiorami sztuki włoskiej; zbiory polskie natomiast przetrzebili Niemcy nielitościwie. Ruiną sterczy też kościół Pobernardyński, którego Niemcy używali na składnicę wojskową; zostały pod dachem tylko mury. Związany jest w mojej pamięci z osobą Stanisława Noakowskiego; będąc studentem jeszcze, spotkałem go kiedyś we wnętrzu pustego kościoła; siedział w stallach i rysował jakieś stylowe fragmenty prezbiterium. Znałem go już z odczytów uniwersyteckich, jakie wówczas były sensacją Poznania. Noakowski kredą na czarnej tablicy snuł przed nami niezrównane wizje, ilustrując styl, epokę i kształty architektur, o których opowiadał. Stanowiły takie majstersztyki kompozycji, rysunku i nastroju, że przykro było zmazywać je, choć czyniłem to nieraz sam w czasie odczytu, na jego prośbę o zrobienie miejsca pod nowy szkic, albo obraz. I zaraz znowu zapalała się pod szybkimi pociągnięciami jego ręki, znaczącej ślad białą kredą; powstawały na naszych oczach komnaty zamkowe, portale, absydy, wiązania dachów, wizje ołtarzy i perspektywy kościelnych wnętrz, zawsze trochę imaginacyjnych, a niemniej przeto nieomylnych w stylu, który próbował scharakteryzować.

Stoję teraz w pustych murach nawy kościoła, który tak dobrze pamiętam z uczniowskich czasów i wydaje mi się, że podobnie jak wówczas z szkolnej tablicy, starto z niego beztrósko treść tego piękna, jakie rysował w swoim szkicowniku Noakowski. Tylko, że nie ma już ręki, która wypełnić potrafił od nowa ziejącą pustkę tych potłuczonych ścian, zastąpić jego ślad wizją pamięci, która błąka się pod powiekami wspom-

niei urodą najpiękniejszych lat budzenia się i poznawania świata.

Kiedy około 6-tej wieczorem zająć na kawę do dawnego Dobskiego (przejął lokal i nazwisko syn jubilera poznańskiego, Kruka; chodzi się więc «na kawę do Kruka»), ogromna kawiarnia z ogrodem pełna jest ludzi. Orkiestra przygrywa skocznie lub marzycielsko, wszystko się zdaje podobne na pozór do czasów sprzed wojny. Siedzą przy stolikach nowi i dawni dygnitarze, ludzie teatru, uniwersytetu, literatury, cały Poznań towarzyski, kupiecki i osobistościowy, wszyscy się znają, nie podobna przejść aby nie wpaść od razu w oko, a czasem w objęcia dziesiątków dawnych znajomych. Tradycja dawnych obyczajów Poznania utrzymuje się, chociaż należy on do najcięższej po Warszawie doświadczonej miast. Więc dopiero przysiadłszy się do stolika i słuchając rozmów, opowiadań i plotek, wyznaczyć można miejsce, jakie w życiu, czuciu i spodziewaniu tych ludzi zajmuje nowa rzeczywistość.

Jeden z rozmówców określa jej wpływ porównaniem z pałęczną: «Co dzień jedna nitka, nie czujesz tego kiedy się owija wkoło ciebie. Nie myślisz o tym — tak jest cieniutka, tak lekka, taka nieznaczna. Przywykasz nawet, ale nitek z każdym dniem przybywa. Obudzisz się pewnego dnia już spletny. Już opętany być może, bo nitki są niewidoczne. Nie czujesz ich, czujesz najwyżej niepokój, albo czujesz, że się robi ciasno. A to właśnie znak ich roboty. Przegryzają się w głąb, do duszy. Zawijają się wkoło sumienia i dopiero kiedy już je zaplotły i zamotały zwojami swoich nacisków i wpływów, szarpniesz się. Wtedy, być może, będzie już za późno».

Inny powie inaczej: «Ten nowy świat, który idzie, nie zostawia nikomu miejsca ni czasu na prywatne widzenie rzeczywistości. Nie interesuje się też bynajmniej osobistym stosunkiem człowieka do przemian, jakie przynosi. A życie w tych warunkach przypomina mi trochę te czasy w wojsku, kiedy cały wysiłek rekruta włożony był w starania, by nie «podpaść». To samo dzieje się dziś; możesz żyć, a nawet robić swoje, pod warunkiem, że nie podpadniesz. Polacy muszą wiele się nauczyć, aby im się to mogło udawać. No bo właśnie nie umieją udawać. Są na ogół bardzo jeszcze lekkomyślni, a może tylko po prostu nie dość rozumiejący?...

Oglądam inne jeszcze, będące w odbudowie kościoły; Kościół św. Jana, który przez jakiś czas pokryty był strzechą, aby choć prowizorycznie bronić jego wnętrza, dach mu bowiem zerwał, — dziś już jest prawie cały. Konserwator miejski ma pod swoją pieczę wszystkie aspekty odnawiania, dokonywanych w obrębie miasta, a także prowincji; żadnej figury nie podobna postawić bez jego placetu; troska o estetykę i stylowość idzie w kierunku eliminacji tandetnie i masowo

produkowanych dewocjonalii, których fabrykacja schlebiała jedynie niewybrednym gustom wierzących.

To co powiedziałem na początku o szansach piękniejszego niż przedtem obrazu miasta, jaki w wyniku odbudowy czeka nas między innymi w Poznaniu, w szczególny sposób dotyczy katedry na Tumskim Ostrowiu, jednego ze starszych kościołów w Polsce, który silnie był zniszczony artylerią.

Cudem jakimś ocalał tuż obok wczesno-gotycki kościółek Panny Marii, klejnot średniowiecznej architektury w Polsce. Akademia Lubrańskiego natomiast, mieszcząca seminarium duchowne, jest już odbudowana.

Pamiętamy dobrze barokową fasadę i wieżę katedry, które przypominały trochę sterczące w górę nogi od fortepianu. Otóż cała ta siedemnastowieczna i niezbyt przystojna fasada runęła, odsłaniając niezwykle piękno gotyckiego kościoła, który już jest w odbudowie i któremu przywraca się dawny jego, niepomierne szlachetniejszy kształt. Ocalała w katedrze złota kaplica z grobami Mieszka I-go i Bolesława Chrobrego; co jednak jeszcze ciekawsze, przy przekopywaniu fundamentów trafiono na ślady pierwszego pewno murowanego kościoła w Polsce. *) Stanowi on ważne odkrycie historyczne i archeologiczne bogatej przeszłością ziemi Tumskiego Ostrowu.

Sprawadza mnie po drabinie jeden z majstrów, zapala w podziemiach świeczkę i wskazując na wystający zrab bardzo dawnego muru, mówi:

„Patrz pait, czego my się tu dószkrali”.

XIII

Sytuacja Kościoła

Charakterystyka Poznania jako dawnej ostoji endecji okopanej tu wokół trzonu katolickiej tradycji i prawicowo-narodowych idei wymaga dziś, wynikającej z nowych warunków, poprawki. Polega ona na stwierdzeniu, że partyjne oblicza tych ruchów i tych nastawień zatępiły się, ustępując tendencji oparcia się już jedynie na gruncie uprawianych z większym niż kiedykolwiek zapamiętaniem praktyk religijnych jako formy oporu przeciw politycznym wpływom i ideowej konkurencji marksistów. Jest to zresztą ogólnopolska cecha — uprawiania opozycji do wewnątrz, zamykania jej w duszach raczej, niż żeby dawać jej upust czy wyraz w akcji.

Wspomniana tendencja ma jednak dotąd mało co wspólnego z pogłębieniem życia religijnego, skoro wyraża się jedynie lićniejszym niż przedtem chodzeniem do kościoła. Toteż w

*) W wielu miastach Polski można dziś natknąć się na podobne odkrycia; wojna odsłaniając wnętrza ziemskie i przewracając brutalnie wiele

razie przywrócenia zlikwidowanych dziś swobód obywatelskich nie wróży sama przez się renesansu polskiego katolicyzmu.

Publiczne okazywanie uczuć religijnych jest bowiem zastępczą niejako manifestacją rzeczy innych. Podpowiedziano mi któregoś dnia sformułowanie następujące: ludzie śpiewają głośno, aby wyrazić swój stosunek nie tyle do kościoła ile do rządu.

Nie wyczerpuje to określenie obrazu sytuacji, ale jest w nim charakterystyczna część prawdy.

Inną częścią jest opowiedziany mi przez przedstawiciela młodzieży katolickiej w Poznaniu, wynik dyskusji publicznej jaka miała miejsce na uniwersytecie. Twierdził z ubolewaniem, że niestety reprezentacja katolików wypadła w porównaniu z oponentami intelektualnie blado — gdy mowa była o filozofii tomistycznej wyglądało na to, że atakujący marksiści znali ją lepiej, niż zepchnięci na pozycje obronne katolicy.

Ta zasada ataku i obrony jest zresztą w ogóle znamienita, bo wyznaczająca linię podziału w taktyce, stosowanej dzisiaj na wszystkich odcinkach, na których następuje konfrontacja tych dwóch integralnych poglądów na świat: marksiści zawsze w ataku, katolicy zawsze w obronie.

To tak jak gdyby kościół, zepchnięty do niewygodnej roli bronięcia praw nabytych przed zakusami konkurencji, sięgającej dziś także i przede wszystkim po rząd dusz, nie miał środków i sił (czy może ludzi?) na przeciwstawienie się ich zakusom inaczej, jak tylko próbując trwać na oddawna osiągniętych pozycjach.

Ma więc w sobie tylko niewiele cech kościoła wojującego; jest raczej statyczny w tej rozprawie z siłą, która sama posiada wszelkie cechy ruchu religijnego. Nie przebiera też ona w środkach, aby agresję na pozycje przeciwników prowadzić drogą odbierania jej dopływu nie tyle nowej krwi, co nowych mózgów. Przeciąga więc na swoją stronę nie masy wcale, ale wiele dynamicznych elementów młodego pokolenia, działając na nie perswazją dobrze uzasadnionych argumentów i zastępując w młodych, a biorących wszystko bardzo na serio umysłach, rozumowania idealistyczne, a nawet dotychczasową wiarę, systemem dialektyki materialistycznej, która znajduje odpowiedź na wszystko.

Wśród młodych, którzy przeżyli na własnej skórze okrutne bankructwo dotychczasowych zasad porządku świata i posiadają w wyniku tej katastrofy nieuniknione odruchy buntu prze-

ciw wszystkim, co stanowiło dotąd podstawy wiary, a nie chcą wyzbyć się poczucia sensu tego co ich otacza, albo tego co na nich idzie, podpowiadana im recepta na znalezienie klucza do nowej rzeczywistości w spojrzeniu na nią pod kątem nauk Marksa posiada mimo wszystko dużą siłę atrakcji.

Zamiast katastroficznej wizji końca się świata, zamiast rezygnacyjnej postawy przyjmowania wszystkich dopustów, zamiast stania na straży grobów i przeżytków, szukają wyjścia z tej pułapki twardych konieczności w jaką zapędził ich los. Marksizm jako filozofia walki, jako doktryna optymistyczna, malująca jutro w jasnych barwach zwycięstwa na wszystkich frontach, zapuszcza więc korzenie w wielu świeżych, a niepokodzonych — otaczającym światem, głowach. Jeżeli dodać oficjalne faworyzowanie tej orientacji przez otwarte dla ich wyznawców perspektywy udziału w życiu i obietnice pierwszeństwa w awansie na każdym polu — będziemy mieli odpowiedź na pytanie, dlaczego ambitne, zdolne i dynamiczne jednostki, a nawet grupy młodzieży, wydzierane są dzisiaj wpływem rodzin albo kościoła. Uzupełnić tę próbę diagnozy należy jeszcze podkreśleniem wynikłego z okupacyjnych warunków stanu umysłów młodzieży, która choćby nie przyjmowała nowej ideologii, bo jest dla jej czucia niezrozumiałą podobnie jak obcy jest język, którym mówią moiżni nowego reżimu nie ponad głowami może, ale na pewno obok serca — nauczyła się wyżej cenić sprawy taktyki życia, niż jego ideowej treści. Wynika z tego podejsca stanowisko, jakie cechuje większość nowego, dojrzewającego w latach wojny, pokolenia. Nie umieją być może „pozytywnie” reagować na obecną rzeczywistość, wrodzone im jest uważanie jej form jako nieprzychylnych, jeżeli nie wręcz wrogich dla przywiązań ich i patriotyzmu, ale wyzwolony już koniecznościami talent przystosowywania się i godzenia ze sprawami nieuniknionymi, czyni z nich potencjalny materiał realistów, wśród których agitatorzy i wychowawcy reżimu, potrafią znaleźć niejednych jeszcze rekrutów. I odnieść niejedno zwycięstwo w toczącej się dziś walce o pozyskiwanie nie tyle zresztą serc, co przede wszystkim energii, woli i umysłów.

Od tych uwag krok tylko do próby określenia sytuacji kościoła w Polsce.

To, co poniżej powiem jest wynikiem licznych rozmów prowadzonych nie tylko z marksistami, ale katolikami także, na ten dla określenia wewnętrzznego życia Polski ważny temat.

Zacząć trzeba od stwierdzenia, że kościół katolicki stracił swój konstytucyjny i faktyczny status religii w Polsce uprzywilejowany i to na korzyść doktryny, który chociaż nie występuje w oprawie żadnej liturgii, posiada na daleką metę ambicję zastąpienia odgrywanej dotąd przez kościół roli dostarczyciela podstaw wiary; już nie metafizycznych ale rozumowych, na której budować można pogląd na świat i znajdować racje swojego w nim istnienia.

historycznych budowli pozwoliła dziś dobrać się do dna, na którym stały. W Gdańsku doprowadziła np. do wydobycia na światło dzienne grodziszczą sprzed dziesięciu bodaj wieków; zastaje wkopanych tam poniżej poziomu ulicy robotników, czerpiących łyżkami (!) ziemię spomiędzy pociemnialnych od starości belek; przesiewają starannie każdą jej grudełkę w poszukiwaniu śladu pamiątek tamtej epoki. Jakże to drzewo? pytam jednego, wskazując na wystające w ziemi podkłady tych dawnych fundamentów. „Jest podejrzane o sosnę” — odpowiedział.

W walce intelektów, jaka stanowi preludium do tej rozgrywki, marksisci rozporządzają wybitniejszym, zręczniejszym, jakby lepiej przygotowanym sztabem ludzi. Toczy się ona dziś jeszcze na peryferiach prawdziwego starcia sił; w obecnym etapie rewolucji otwarta walka z kościołem nie leży w planach reżimu. Prowadzi się więc rozpoznawcze podjazdy, dyskusje i polemiki na szczeblu i na poziomie, który ze względu na swój intelektualny charakter nie dociera do świadomości, ani do wiadomości mas. Nie należy ich jeszcze zbyt alarmować zagrożeniami od tej strony — wręcz przeciwnie. Istniała do niedawna tendencja otwartego demonstrowania tolerancji, a nawet udziału czynników reżimowych w religijnych praktykach kraju. Wprawdzie prymas Hlond kategorycznie odmówił odśpiewania „Te Deum” po wyborach, odcinając się tym samym od jakiejkolwiek formy popierania rządu, niemniej przeto nie jedne obchody partyjne na prowincji zaczynają się dzisiaj od mszy, a kiedy na przykład pod wpływem papieskiego wzięcia w obronę wysiedlonych z Ziemi Odzyskanych Niemców, lokalne czynniki partii w Grabiszynku (osiedle robotnicze pod Wrocławiem, z którego wybrany został do sejmu Gomułka) odmówiły udziału miejscowej orkiestry w procesji Bożego Ciała, czynnik nadrzędny nakazał orkiestrę dać, przedstawicielom robotników natomiast prowadzić księdza, aby uczuć religijnych w masach nie obrażać i nie prowokować.

Czym uzasadnić słabość intelektualnej broni, jaką dysponuje dziś w Polsce kościół w porównaniu z taką na przykład Francją, choćby nawet istniały już oznaki renesansu myśli katolickiej, w tym młodym zwłaszcza pokoleniu, które zostało wierne i w szkole powojennych zagrożeń przymuszone do głębokiego wysiłku studiów i pracy nad sobą?

Odpowiedź na to pytanie tkwi korzeniami w Polsce przedwojennej. Kościół znajdował się w niej w pozycji kapitalisty, który odcinał kupony od akcji, zamiast zarabiać na życie i powiększać swój stan posiadania tą drogą. Od końca wieku 18-go, ściśle zaś licząc, od Konstytucji 3-go maja, będącej aktem ówczesnych postępców, więc lewicy, kościół w polityce polskiej monopolizowany był przez ruchy prawicowe i konserwatywne. W okresie niepodległości legitymowała się katolicyzmem encjacja, cały ruch narodowy, ONR — świeciło na wszystkich sztandarach tych polityk hasło „Bóg i Ojczyzna”, otwarcie prawicowa wreszcie jeśli ją ocenić pod względem politycznym, była młodzieżowa manifestacja tzw. «ślubów częstochowskich».

Już jednak podziemną ewolucję Polski z czasów okupacji charakteryzuje przewaga programów społecznie radykalnych; nie były one marksistowskie, ani nie szły w kierunku brania wzorów z Rosji, ale miały tendencje sprzeczne z pojęciem kapitalizmu, tak jak istnieje on na przykład w Stanach Zjednoczonych; dzisiejszy zaś rozwój sytuacji wykluczył od wpływu i od udziału w życiu polskim wszystko, co trąci prawicą. W tych warun-

kach dla kościoła, który nie zmienił swej społeczno-politycznej orientacji, jako instytucja z natury swoich założeń konserwatywna raczej, a nie zdobywcza i postępową, odpadły niejedne argumenty i możliwości sprostania naciskowi konkurencyjnej doktryny, szukającej oddźwięku w masach propagowaniem programu o tendencjach radykalnie antykapitalistycznych i wysuwając dla nich argument sprawiedliwości społecznej, nigdy dość konsekwentnie ani przekonująco nie reprezentowanej przez kościół, sam będący przecież okazem posiadacza w tradycyjnym i zwalczanym dziś sensie. W tym jego stanie trudno kościołowi licytować się w programie reform społecznych i gospodarczych jakimi szermuje reżim, a jakie skierowane będą ostentacyjnie przeciw niemu.

Sytuacja ta posiada polityczną analogię w Stanach Zjednoczonych, które chociaż nie rozporządzają takim narodowym odpowiednikiem reprezentacji interesów robotniczych jakim w Anglii jest Labour Party, nie pozwoliły jednak na zamierzone przez komunistów zepchnięcie do najmniej wygodnych dla walki z nim pozycji partii prawicowej, tj. republikańskiej z Dewey'em. Wolą mierzyć się z nimi na o wiele logiczniejszym planie społecznego reformizmu, lewicowej postępowości i przodownictwa w koniecznych, bo nieuniknionych przebudowach, odbierając tym samym wiatr z marksistowskich żagli, zamiast go w nie napędzać.

Niebezpieczeństwo trwania na zajętych pozycjach jest oczywiście w świecie, w którym drapieżna dynamika nowych sił i nowych idei pracuje nad wysadzeniem z posad porządku, według którego dotąd kręcił się on, bardzo już zresztą niepewnie i chyboliwie.

W dodatku przecież wszystkie przegrane dziś politycznie partie, ruchy i programy starają się prowadzić swoją robotę pod sztandarami kościoła, co stanowi dla niego w trudnej sytuacji zagrożenie, o wiele istotniejszych niż polityczne, jedynie obciążenie skrzydeł, a nie pomoc w ich rozwinięciu.

Obok niebezpieczeństw i nacisków na wszystko, co dziś w pozycji kościoła, posiadającego nadal ogromne wpływy, jest słabe, niewspółczesne i nieprzystosowane do toczącej się na każdym odcinku życia w Polsce walki o wpływ, o przewodnictwo, o duszę, o młodzież wreszcie, wymienić należy te ośrodki działania i myśli, które reprezentują ideologię katolicką wobec społeczeństwa, poza bezpośrednim działaniem kościołów, konfesjonatów i ambon.

Napór silnej i przeciwstawnej ideologii wykrzesał bowiem nowe siły, obudził ruch katolicki z drzemki, zmobilizował energię i pióra, które posiadając znaczny rezonans w społeczeństwie, pracują nad dowodzeniem, że katolicyzm nie oznacza wstępnictwa ani zacofania, że jako pełny pogląd na świat stanowi najwyższą dyscyplinę moralności w stosunkach między ludźmi,

inaczej niż zalecana przez nowych apostołów postępu doktryna materializmu, uprawiająca swego rodzaju kult siły i stosująca ca mechanizm gwałtu dla podbudowania swojej racji.

Trzy są prądy i kierunki działania tej zasadniczej myśli, znajdujące różne poziomy i taktyką odzwierciedlenia swoich poglądów we własnej prasie.

Grupa krakowska (*Tygodnik Powszechny* oraz miesięcznik *Znak*) reprezentuje umiarkowany radykalizm społeczny i nie związana jest z żadnym ugrupowaniem politycznym — można określić jej stanowisko jako antytotalitarne, antykapitalistyczne i oczywiście anty-antysemickie, wyprowadzając zresztą jej rodowód z przedwojennej organizacji studenckiej *Odrodzenia* i jej programu przebudowy społecznej w duchu chrześcijańskim.

Tygodnik Warszawski skupiał pisarzy i publicystów, ożywiających ideami zachowawczymi, czerpiących wskazania społeczne z encyklik papieskich, a filozofię z narodowych, romantycznych i mesjanistycznych tradycji polskich. Został on w czasie pobytu mego w Polsce zawieszony, aresztowano kilku członków jego zespołu, w tym na krótki czas ks. Kaczyńskiego.

Oba tygodniki są organami hierarchii kościelnej. Vox populi określał stanowisko kardynała Hlonda jako niewzruszonego, nie idącego na żadne kompromisy obrońcę tradycyjnych w Polsce praw kościoła — w oczekiwaniu na wyrok sprawiedliwości dziejowej i boskiej.

Kardynał Sapięha ma opinię reprezentanta innej, apostołkiej koncepcji rozwiązania rosnącego konfliktu pomiędzy kościołem a komunizmem. Wyraża się ona w sformułowaniu, że wystarczyłoby „ochrzcić Marksa”, aby tą drogą połączyć konstruktywne elementy obu doktryn, moralnej i społeczno-gospodarczej, jakie przeciwstawione są sobie przede wszystkim w poglądach na sprawę wolności sumienia i praw człowieka, nie mogących w rozumieniu Kościoła stanowić przedmiotu ingerencji ani przymusu ze strony państwa. Powtarzam, że jest to zdanie zasłyszane w niejednych rozmowach, nie zaś autoryzowana opinia kardynała Sapięhy.

Odbicie poglądów trzeciego wreszcie zespołu katolików, daje tygodnik *Dziś i Jutro*. Współpracownicy tej grupy, złożonej z ludzi młodych, ale odznaczających się dużą aktywnością, w przeciwieństwie do innych ugrupowań, obejmujących ludzi „bibliotek, wiedzy i myśli”, wyznają konieczność współpracy z reżimem, aby legalnością bronić katolickich pozycji kulturalnych, jako najsukuteczniejszej w ich przekonaniu linii działania w obecnej chwili. Odznacza się też pracą polityczną, mając w sejmie trzech posłów opozycyjnych, choć praktykujących swoisty pozytywizm względem społeczno-gospodarczej przebudowy ustroju, będącej dziś w toku. Uprawia to, co niektórzy nazywają «dzikim katolicyzmem», bo opierając się wprawdzie na założe-

niach doktryny chrześcijańskiej, nie zawsze postępują w zgodzie z nakazami hierarchii, a czasem nawet wbrew niej.*)

W związku ze sformułowaną przez PPR nową fazą rewolucji należy liczyć się jednak z niebezpieczeństwem groźnego narastania istniejącego konfliktu między hierarchią kościelną i partią.

Podsumowując ten obraz sytuacji kościoła, stwierdzić muszę że w szerokich masach polskich reprezentuje on dziś nadal ogromną, chociaż statyczną siłę. Przywiązania do jego tradycji i uznawania jego autorytetu niepodobna decydująco podważyć żadnymi manewrami politycznymi. Pogrzeb Kardynała Prymasa w Warszawie, w którym brało udział około 150.000 ludzi, imponujących milczącą powagą i godnością swego zachowania, sam przez się stanowi wymowne świadectwo tego potencjału uczuć w narodzie, którego nikt nie może lekceważyć.

XIV

U Kardynała Hlonda

Dwie miałem rozmowy ze zmarłym dopiero co kardynałem Hlondem.

Mówiono w Polsce, że stanowisko Prymasa przypominało ostatnio rolę, odegraną w okresie okupacji niemieckiej przez kardynała Sapięhę.

Pierwszą na przełomie lat 1942-43, kiedy kardynał mieszkał u biskupa Lourdes i kiedy polskie radio z Londynu nadało nieprawdziwą wiadomość o jego przejściu do Hiszpanii, odczytując w dodatku orędzie Kardynała, wydane rzekomo po tamtej już stronie. Pamiętam komentarze Polaków, mówiących, że komuś w Londynie zależy widocznie na aresztowaniu Prymasa.

*) Dodać wypada osobno wydawniczą działalność kilku firm prywatnych, choć i państwowe wydawnictwa drukują katolickich pisarzy. Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu (Albertinum) przoduje jednak w wydawaniu ich książek, założywszy wzorem *Czytelnika* i *Książki* Katolicki Klub Literacki. „Jasne Książki”, tylko dla abonentów. Ten nowy i wzorowany na amerykańskim sposób sprzedawania książek okazał się w Polsce całkiem niezłym pomysłem. Mimo pewnego spadku czytelnictwa w porównaniu z okresem natychmiast po wojnie, jedną z istotnych przemian, jakie nastąpiły pod jej wpływem jest dotąd jeszcze żywy głód książki i w ogóle słowa drukowanego. Dowodzi tego zarówno ilość, jak i nakłady pism literackich. Jest to nie tylko „bazy konsumentów literatury”, jak się to dzisiaj w Polsce lubi określać, ale także nurtujących dusze wątpliwości, wobec wielkiej liczby nowych zagadnień, jakie przed ludźmi stoją. Fakt, że wiele czołowych zagadnień pozostaje poza zasięgiem publicznej dyskusji, lub że ukrywane są wstydliwie pod kamuflażem frazesów i niedomówień, nie oziębia gorliwości czytelników, ani nawet piszących, aby w ramach tego luzu, jaki zostawia cenzura i na jaki pozwalają osobliwe warunki życia, jaknajszerszej poprzez księgarnie korzystać z wymiany usług autorskich i czytelnich na nie zapotrzebowan.

znajdującego się w owym czasie pod inwigilacją niemiecką.

Powtarzam dzisiaj przebieg tej rozmowy na zasadzie notatek zrobionych krótko potem, w Hiszpanii.

Punktem jej wyjścia były opowiedziane Kardynałowi przeżycia moje w obozie niemieckim. Wspominałem także o lekturze w owych czasach, mówiąc, że pośród przeczytanych w niewoli książek był *Mein Kampf* i *Koran*. Kardynał Hlond powiedział mi wówczas, że według niego Hitler, świadomie lub nieświadomie inspirował się z postępowania Mahometa. I stwierdził, że na wiele już lat przed wojną, zawdzięczając licznym w Niemczech Salezjanom, wśród których byli jego uczniowie, zbierał materiały dotyczące hitleryzmu w zrozumieniu, że sukces polityczny podbudowany mistyką posłannictwa, jaka cechowała wodza Niemiec grozić może przerodzeniem się tego ruchu w nową religię. Podobnie pracował Mahomet. Natchniony wizjoner i prorok, ale przede wszystkim polityk, postawił się ponad prawem, występował jako jego źródło. Sięgnął tym samym świętokradczo po atrybuty boskości.

Wypracował doktrynę, która jest nieoryginalną i oportunistyczną ale celowo skonstruowaną mieszaniną chrześcijaństwa i judaizmu, tak jak narodowy socjalizm jest mieszaniną mistyczną hasel dobranych na potrzebę chwili z niemieckich filozofów oraz teorii rasistowskiej. Obie służyły do zgalwanizowania rozproszonych energii narodowych, obudzenia w nich nowej wiary i popchnięcia ich ku politycznym celom. Obie były więc instrumentem polityki; nie jest przypadkiem, że była to polityka gwałtu, wojny, miecza, kultu siły, podtrzymywana obietnicami raj, albo tysiącletniej wspaniałości państwa narodowego, w zależności od tego co lepiej przemawia do wyobraźni dźwiganych z depresji ludów i zachęcenia ich do ofiar krwi. W miarę rosnących powodzeń tej polityki, człowiek, który ją postawił na nogi przybierał w własnym pojęciu i w sposobie widzenia go przez poddanych rolę proroka, posłannika opatrności, boga. Materialna koncepcja wodzostwa przeradzała się w metafizyczną persofinikację boskich sił, polityczna doktryna w mistykę, już religijną.

Kardynał snuł te uwagi z szeroką swadą nauczyciela; był nim przecież tyle czasu jako Przeor Salezjanów; przedmiot religii porównawczych stanowił jego specjalność.

Mogłem z własnych wspomnień przytoczyć treść rozmowy z Goebbelsem, który w Propaganda-Ministerium w Berlinie, w roku 1934 rozwijał dla mnie temat, blisko związany z uwagami Prymasa. Autor tezy że «propaganda jest sztuką budzenia wiary» rozwodził się wówczas nad techniką tworzenia legendy, nad sposobami budowania mitu. Mówiłem bowiem z Goebbelsem o Hitlerze. Mając takiego wodza trzeba wszystko uczynić, aby go „odeczłowieczyć”, bo dopiero w aureoli mitu może naprawdę działać jako przodownik i przewodnik. Trzeba odsuwać od mas wszystko, co by im przypominało że to człowiek także, choćby

i niezwykle, bo jest *nadzwyczajny*, a tym samym żyjący tylko jako wcielenie najwyższych snów i marzeń swojego narodu...»

Tak mówił i nad osiągnięciem tego celu pracował Goebbels.

Prymas Hlond natemiasz w porównywaniu Mahometa z Hitlerem różnice widział nietyle w metodzie działania (choć znajdował ją także w dziejowym okresie na jakie przypadadała) ile w jej wynikach. Mahomet wybijał się w kraju odległym, ograniczonym terytorialnie i leżącym jakby na peryferiach zainteresowań świata w siódmym wieku naszej ery; była to akcja prowincjonalna w porównaniu do światowego zasięgu tej, jaką rozpętał Hitler, mobilizując przeciw sobie całe oświecone człowieczeństwo i wszystkie duchowe siły współczesności. Mahomet, zręczny gracz i wojownik, na swoich ograniczonych terenach wygrał sprawę i tym sukcesem położył podwaliny pod rozwój Islamu w świecie; dziś to już byłoby niemożliwe, cywilizacja humanistyczna pod wpływem chrześcijaństwa poczyniła zbyt wielkie postępy, toteż dzieło polityczne Hitlera skazane jest na klęskę. Jednak zawalenie się jego polityki nie przesądza dotąd bynajmniej sprawy, czy ziarno herezji, posianej przez niego w serca Niemców, mimo klęski nie będzie próbowało wschodzić...

Sami Niemcy trafnie oceniali niebezpieczeństwo, jakie kryje się w takim podejściu i w materiałach dotyczących ich ruchu, a posiadanych przez głowę Kościoła w Polsce. Toteż jedną z najpilniej poszukiwanych przez nich dokumentacji po wejściu do Polski było prymasowskie archiwum w Poznaniu, dwadzieścia siedem skrzyń wywiezionych samochodami najpierw do Lublina, potem do Lubartowa, gdzie zostały zakopane.

Udało się Niemcom odnaleźć szofera, który je wiozł. Po tej nitce trafili do kłębka. Przeor lubartowskiego klasztoru postawiony został wobec ultimatum: wydać archiwa, albo razem z zakonnikami pójść pod ścianę. Pięć minut czasu. Tuż przed upłynięciem tego terminu zdecydował się ratować życie zakonników. Archiwa dostały się Niemcom i ślad po nich zaginął.

Spotkałem kardynała Hlonda raz jeszcze, tuż przed wyjazdem z Polski, na miesiąc przed Jego śmiercią. Nic nie zdradzało tak szybkiego końca; był czerstwy i zdawał się w pełni sił. 26 września przewodził jeszcze zjazdowi biskupów we Wrocławiu. W poświęconych wspomnieniu Jego życia artykułach nie dość podkreślona jest rola Prymasa w odniesieniu do Ziemi Odzyskanych, na których założył pięć nowych diecezji, m. in. we Wrocławiu, Opolu, Gorzowie (na Ziemi Lubuskiej, dawn. Landsberg) oraz w Olsztynie. W orędziu do ludności katolickiej tych Ziem, wydanym dn. 24 maja 1948, pisał: «... Polska nie może być skazana na to, by przy nowym urządzeniu Europy ona miała płacić losem swych obywateli i bezpieczeństwem swych granic za następstwa obcych zbrodni... Krzepcie się wiarą — brzmia słowa orędzia — że nie na darmo potem swego życiowego trudu użyżniacie odłogi i puszczacie w ruch zakłady przemysłowe... Budujcie Polskę... iżby w odbudowanej Ojczyźnie każdy czuł się

dobrze jako człowiek, jako obywatel Państwa, jako wyznawca ewangelicznej prawdy i jako wierny syn Kościoła...»

Stanowisko Kardynała w sprawie Ziem Odzyskanych wzmocnione zostało jeszcze wrześnie, na miesiąc przed śmiercią listem pasterskim, przypominającym, że Ojciec święty granic zachodnich nigdy nie kwestionował.

Rozmowa tym razem dotyczyła sytuacji w Polsce. Tak jak to głosiła opinia, był w swoim stanowisku bezkompromisowy. W roztoczonej przez niego wizji dalszego rozwoju świata, którą cechowały prorocze nieledwie twierdzenia, przebiegała głęboka, mistyczna wiara w Opatrzność i rolę, jaka Polsce przypada w rozgrywce, w której stawką są nie tylko polskie losy. Oceniał się przeciwnika znowu pod kątem przede wszystkim ideologicznym jego natury, jako groźniejszą i poważniejszą niż wszystkie, z jakimi Kościół miał do czynienia w ostatnich wiekach, a to ze względu na uniwersalność doktryny materialistycznej oraz charakter i wolę eksploatujących ją przeciw niemu przywódców.

Rozwodził się też szeroko nad deklaracją, złożoną w swoim czasie w związku z wypadkami kieleckimi, zwłaszcza kiedy mu przypominał gwałtowną reakcję niektórych antypolskich kół w Ameryce na prymasowskie słowa. Dopatrywano się w nich bowiem akcentów antysemitów. Zaprzeczył gwałtownie, twierdząc że tylko zła wola może doszukać się w jego deklaracji takiej intencji. Polecił mi wręczyć ówczesny tekst swojej wypowiedzi. Punkt czwarty w niej brzmi jak następuje:

„W czasie eksterminacyjnej okupacji niemieckiej Polacy, mimo że sami byli tępieni, wspierali, ukrywali i ratowali Żydów z narażeniem własnego życia. Niejeden Żyd w Polsce zawdzięcza swe życie Polakom i polskim księżom. Ze ten dobry stosunek się psuje, za to w wielkiej mierze ponoszą odpowiedzialność Żydzi, stojący w Polsce na przodujących stanowiskach w życiu państwowym a dążący do narzucenia form ustrojowych, których ogromna większość narodu nie chce. Jest to gra szkodliwa, bo powstają stąd niebezpieczne napięcia. W fatalnych starciach orężnych na bojujowym froncie politycznym w Polsce giną niestety niektórzy Żydzi ale ginie nierównie więcej Polaków.»

Opatrzył to przypomnienie zdaniem, że nie zmienił swojego poglądu i nadal stanowczo przypisuje odpowiedzialność za te wypadki czynnikom reżimowym. Szczegółowe dowody są zabezpieczone i zostaną ujawnione w odpowiednim czasie — powiedział.

Pożegnał mnie podkreśleniem, że liczy się z bardzo trudnym dla Kościoła i katolików okresem, ale że nie może być wątpliwości co do wyniku tej rozprawy z siłami, które mają dziś fizyczną przewagę, ale stosując ją dowodzą, że nie ma w nich moralnej racji, która w ostatecznym rachunku musi zwyciężyć.

XV

Pokrzywno

Nie przypuszczałem nigdy, aby udało mi się ludziom w kraju, dobrze już na temat okrucieństw niemieckich uświadomionym, odślonić jeden jeszcze nieznanym im rozdział w dziele proponowanej przez Niemców polityki eksterminacji w Polsce. Faktem jest jednak, że nikt o tym nie wiedział, czy może nie pamiętał. Nie ma wprawdzie na całym obszarze Polski miejsca, które by nie było naznaczone piętnem niemieckiej bezwzględności w postępowaniu z Polakami, a nie mniej przeto POKRZYWNO zasługuje na uwagę dlatego, że stanowi nie tyle dokonanie, co świadectwo zamiarów niemieckich w Polsce i pewno poza nią. Wejść miało w życie dopiero w przyszłości, po zwycięstwie. Stanowi groźne memento niemieckiego planu w jego ramach.

Naukowa mordownia, czy kuźnia nowej broni? — oto pytanie, jakie postawiłem sobie po zwiedzeniu czterech baraków, ukrytych w ogrodzie zakładu wychowawczego siostr Urszulanek, który znajduje się w bok od szosy do Kurnika, o jakie 10 km. od Poznania.

Ślady władania tym obszarem przez Niemców widoczne są już z zewnątrz, chociaż bunkier wparty dziś w ogrodzenie przeobraziły siostry na podstawę pod pomnik Chrystusa. Za murem ogrodzenia, opatrzonego wylotami strzelnic, mieszczą się cztery niepozornie wyglądające baraki. Mimo zniszczenia i opuszczenia, w jakim się dzisiaj znajdują (jeden z nich już jest nawet zamieszkały), zobaczenie ich wnętrza robi wrażenie niesamowite. Kafle, którymi były wyłożone, są poodbijane, ale kraty, zamki i stalowe płyty na okna zostały nietknięte. Środkowa część jednego z nich odgradzona jest od reszty sztabami — mieszczą się w niej cele różnych wielkości, z oknami i bez, na jedną osobę i tak ciasne, jak oświęcimskie bunkry, albo też zbiorowe, na 100 i więcej osób. Wszędzie znać ślady niesamowitej instalacji, dającej temu wnętrzu charakter nowoczesnego laboratorium. Zaczynając od kaffli, lśniących tu i tam, gdzie nie wytopiano ich jeszcze ze ścian (można było ślady tych spraw, dla jakich były przeznaczone baraki, zmyć w mgnieniu oka), poprzez przewody drutu o wysokim napięciu, dzisiaj zerwane, aż do tych w ścianę wpartych szafek, z których miał sączyć się gaz, tak podobnych do przegród, stosowanych w komorach gazowych obozu, tylko, że doskonalszych jeszcze — ostatni wyraz techniki. Tu bowiem wybudowana została niemiecka doświadczalnia śmierci. Wyposażona naukowo i precyzyjnie, z osobnymi działkami dla ofiar i dla obserwatorów. Wyobrażam ich sobie — w białych płaszczach lekarskich; mieli robić notatki, pomiary wytrzymałości, badania reakcji człowieka na ten czy inny gaz, ten czy inny prąd, albo promień, tę czy inną truciznę.

W 1942 r. w zupełnym sekrecie i izolacji, sprowadzono na tajem-

ten teren około 300 Polaków, pochodzących przeważnie z Łodzi, którzy rozpoczęli pracę nad budową naukowego laboratorium, mającego rzekomo służyć do badań nad rakiem. Niemiecka terminologia określała je jako *Krebsforschungsinstitut - Nesselstedt*. Pieczę nad wykonaniem tych robót i odpowiedzialność za ich «naukową» organizację miał gestapowiec, dr Gross, o którym siostry Urszulanki mówią dziś, że pracował z ramienia uniwersytetu nad jakimiś wynalazkami. Robotnicy, budujący baraki, nie mieli jednak wątpliwości, że idzie tutaj o przygotowanie naukowego typu mordowni, która w pierwszej fazie nie była pomyślana jako masowa fabryka śmierci, a służyć miała jedynie do przeprowadzenia prób i eksperymentów na ludziach i zwierzętach, przed zastosowaniem ich na szerszą skalę. Okratowane cele i płyty stalowe zastępujące okna nie pozostawiają złudzeń. O wymiarze instalacji budowanych w Pokrzywnie świadczyć może np. spory budynek maszynowni, który miał służyć do zasilania instytucji własnym prądem, własnym ogrzewaniem i własną siłą. Uderza poza tym staranna izolacja poszczególnych pomieszczeń, która według zdania fachowców, jest szczelniejsza i bardziej precyzyjna niż ta, jaką stosowano w pomieszczeniach do gazowania.

Na podstawie wizji lokalnej postawić można trzy hipotezy.

Jedna — że Pokrzywno służyć miało badaniom bakterii chorób epidemicznych i hodowli zakaźnych szczepionek z zamiarem stosowania ich masowego.

Druga — że Pokrzywno mogło stanowić również laboratorium badań nad działaniem pewnych promieni.

Trzecia — że mogło być doświadczalnią z gazami trującymi, próbowanymi najpierw na poszczególnych okazach ludzi i zwierząt.

Wszystkie trzy hipotezy prowadzą do wniosku, który narzuca się niejako sam i który związany jest z szukaniem metod masowej eksterminacji ludności, skazanej przez Niemców na zagładę. Można w dodatku z niemałą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, że właśnie w Pokrzywnie Niemcy mieli zamiar przygotować nową, nieznaną dotąd i nie mającą precedensu broń przeciw wszystkim, którzy próbowali przeciwstawić się ich planom panowania nad światem.

Gdzie jednak są naukowcy, którym budowa tych baraków odłączyć potrafi pełną tajemnicę ich celu, którzy odcyfrować potrafią z urządzeń i architektury tego wnętrza, dla jakich badań miały one służyć. Jeden jest pewnik przy ich oglądaniu. W przeciwieństwie do obozów, których nazwy znane są w całym świecie, było to miejsce bez wyjścia.

Pokrzywno pomyślane było jako instytucja, w której okropne doświadczenia z ludźmi miały się odbywać bez świadków i bez rozgłosu. Klęska Niemców otworzyła światu oczy nie tylko na dokonane okrucieństwa, ale na stokroć okrutniejszy zamiar, którego pomnik stanowi dzisiaj laboratorium Pokrzywna.

Nie wiem, czy znał ktokolwiek w czasach niemieckiej oku-

pacji sekret budowy tych baraków, czy wiedział, co kryje się za szarymi murami zakładu Sióstr Urszulanek.

Dla ludzi, otrząskanych już z pojęciami obozu, zobaczenie ich daje inny wymiar wstrząsu. Może przerazić nawet największego sceptyka.

Przemilczanie obecności tego miejsca, zostawienie go na pastwę szabru i zniszczenia, tak, jak to ma miejsce dzisiaj, jest pretekstem robionym Niemcom, nie wiadomo naprawdę dlaczego?

W Poznaniu na ogół wiedzą dziś o Pokrzywnie wszyscy i nikt sobie nie robi złudzeń co do losu, jaki czekał Polaków w związku z istnieniem tej instytucji, gdyby wojna trwać miała nieco dłużej. Ale poza Poznaniem nie słyszał o niej nikt. Sprawdzałem po całej Polsce!

I wobec tego, trafiwszy przypadkiem do tych baraków, ogłosiłem dwa reportaże, sygnalizujące ten temat i to miejsce, będące jednym jeszcze obciążeniem rachunku niemieckiego panowania w Polsce.

Do nazw Oświęcimia, Majdanka, Treblinka, Ghetta, Al. Szucha, Fortu VII-go w Poznaniu, do słownika niemieckich miejsc i zamiarów zbrodni wobec ludzkości przybyło nowe pojęcie — Pokrzywno.

XVI

Stosunek do Rosjan

Nie sposób przedstawić sytuacji w kraju, znajdującym się dzisiaj w orbicie wpływu i polityki rosyjskiej, bez wyznaczenia miejsca, jakie wzajemne stosunki Polski z Rosją zajmują w życiu Polaków i w sposobie patrzenia na nie z ich strony.

Określenie sytuacji Polski jako kraju okupowanego przez Rosję nie wydaje mi się całkiem ścisłe, chociaż stwierdzam obecność na ziemiach państwa polskiego oddziałów armii rosyjskiej, pod przywództwem Rokossowskiego, z główną kwaterą w Legnicy.

W porównaniu z wspomnieniem, jakim obecność armii sowieckiej i jej zachowanie na ziemiach Polski zapisało się w pamięci Polaków w latach 39-41, a potem w okresie klęski Niemców, zachowanie jej dzisiejsze można by określić jako poprawne, bo nie narzucające się i nie mieszące do polskiego życia. Żyją jak gdyby obok — objęli w posiadanie niektóre majątki, jako własne bazy zaopatrzeniowe; Rokossowski zaznacza swoją obecność depeszami gratulacyjnymi do Bieruta przy okazjach obchodów narodowych.

Jeżeli jednak zważyć, że Polska wzięta jest dziś w kleszcze armii sowieckich od wschodu i od zachodu, że stanowi most między Rosją i jej zoną okupacji w Niemczech, politycznie i wojskowo fakt obecności większej czy mniejszej ilości woj-

ska sowieckiego w Polsce nie zmienia w niczym sytuacji jej, jako kraju znajdującego się na łasce rosyjskiej siły. W związku bowiem z opisaną powyżej sytuacją geograficzną mogłaby sobie ona pozwolić łatwo na luksus nie posiadania ani jednego żołnierza w Polsce bez tego, aby zależność Polski od jej planów zmieniła się choćby o jotę. Byłoby to najwyżej pogłębienie złudzenia samodzielności Polaków i niebezpieczne usunięcie znaków ostrzegawczych, nakazujących najwyższy rozsądek i daleko posuniętą ostrożność w manifestowaniu uczuć lub temperamentów, zawsze w Polsce łatwo zapalnych.

W zestawieniu np. z doświadczeniem niemieckim wydaje mi się konieczne znalezienie innej nazwy typu zależności, w jakiej Polska znajduje się wobec Rosji, bo to nie okupacja sensu stricto, a nawet termin «zbrojny protektorat», albo «wasalstwo» nie odpowiada w politycznym i ustrojowym sensie sytuacji jej, jako nolens volens satelity. Trzeba by bowiem uczynić jeszcze rozszerzającą poprawkę w tym określeniu na to, aby zawrzeć w nim istnienie procesów penetracji ideologicznej, jakie poprzez organy partii dokonywują dziś swojej roboty rewolucyjnej względem dotychczasowych orientacji, form bytu i myśli w Polsce. Mieści się w tym pojęciu stwierdzenie, że reżyseria rozwoju życia znajduje się w rękach ludzi przez Rosję narzuconych albo Polaków, z Rosją współpracujących.

Można by więc podkreślić dokonywanie się za ich pośrednictwem zabiegów, które mają charakter kolonizacyjny; dobierają się do wszystkich dziedzin życia, prywatnego nie wyłączając i próbują przekształcić je, przebudować i *nawrócić na nową wiarę*, zostawiając jej jednak cechy polskie i dbając oficjalnie o zachowanie pozoru narodowej odrębności tego procesu.

Nie idzie mi tutaj o żadną próbę subtelnych różniczkowań w słowach, a jedynie o stwierdzenie novum tej sytuacji, posiadającej wprawdzie analogie, ale zarówno prawnie jak chyba historycznie nawet, pozbawionej ścisłego precedensu.

Jako jeden z objawów trzymania ręki przez Rosjan na życiu polskim zacytować wypada istnienie w wojsku polskim na wyższych szczeblach pewnej ilości dowódców rosyjskich w polskich mundurach i z polskimi nazwiskami (wielu z nich autentycznie polskiego pochodzenia). Jest ich jednak znacznie mniej niż w 1946 roku. Zresztą stan wojska polskiego, robiącego nawet na zewnątrz wrażenie zaniedbania i utrzymywany z punktu widzenia nowoczesnych wymogów na poziomie uzbrojenia umyślnie nie wysokim, prowadzi do wniosku, że wojskowo Polska nie reprezentuje żadnej siły.

Siłę zbrojną, na której reżim opiera swoje panowanie stanowi UB, organizacja będąca w swoich najwyższych komórkach pod kontrolą NKWD, przeorganizowana dziś bardzo gruntownie z wyłączeniem elementów awanturniczych, jakie się tam dostały zaraz po wojnie, z naciskiem na ideowo-polityczny charakter tej najbardziej dziś w Polsce nienawidzonej i budzącej

trwogę instytucji. Dodać do tego należy liczący około 150 tys. ludzi Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, sprawujący między innymi funkcje ochrony granic, najlepiej podciągnięty i podszkolony zespół wojskowy w Polsce.

Jednak zależność życia Polski i jej dzisiejszego rozwoju od Rosji jest wynikiem innych jeszcze wpływów, niż tylko wojskowe, policyjne albo polityczne.

Przechodzi bowiem przez nią linia frontu ideologicznego, która musi być określona jako wynik wyżej wymienionych nacisków, rozwija się jednak częściowo także samodzielnie, więc siłą wewnętrznio-polską, zapuściwszy korzenie w duszach i umysłach, jako problem od istnienia Rosji już niezależny.

Gdyby nie wpływy rosyjskie, które dla wrażliwości polskiej zawsze mają oddźwięk negatywny, wynikający z braku zaufania, z pamięci o traktowaniu Polaków w pierwszych latach wojny i w czasie przechodzenia przez nią armii rosyjskich w 1944 i 1945 roku, z przypisywania jej odpowiedzialności za wszystko co złe, dokuczliwe i obce w Polsce, za Lwów i Wilno, z historycznego wreszcie urazu wobec ciemniejszych narodu, których antypolski kompleks jest znany, wprowadzanie socjalizmu do tego kraju nie spotykałoby się z tylu oporami, jakie dziś w Polsce można zauważyć. Nie wymagałoby łamania ludzi i charakterów, jakie się dziś stosuje. Polacy nie boją się reform, socjalnych, boją się, w wyniku swoich doświadczeń, Rosji.

Idzie mi o to, aby rozdzielić sprawę przebudowy ustroju dokonywaną pod wpływem Rosji i za jej poduszczeniem, od uczuć i rozumowań, jakie fakt znajdowania się w jej cieniu i na jej łasce wywołuje między Polakami.

Trudny to i drażliwy temat, ale nie można przejść nad nim do porządku dziennego, gra bowiem w obecnej sytuacji decydującą rolę.

Różne są jego interpretacje, tak jak różne jest określanie celów do jakich Rosja dąży w Polsce, a jakie wiążą się ściśle z zagadnieniami planów jej wobec Europy i reszty świata, oraz ze stopniem w jakim przeprowadzenie ich udaje się jej, albo nie udaje.

To co poniżej powiem jest znowu tylko próbą spojrzenia na sprawy rosyjsko-polskie z wyłączeniem uczuciowych przesłanek, na zimno. Rejestruję poglądy z jakimi się spotkałem, rozpoznaję działające siły, staram się wykryć pobudki ich i techniki postępowania, ale patrzę na ich ścieranie się i walkę oczami prostej człowieka, który wśród przeciwności, czyhających na jego spokój albo nawet na jego skórę, nie wyżył się ciekawości widzenia i wiedzenia, o co chodzi, a nawet nadziei na jakieś rozsądne z nich wyjście.

Cóż jednak może on poradzić na istniejący przymus i na stwierdzenie, że razem z ojczyzną stoi dziś na zakręcie dziejów? Wygodniejsze o wiele jest czytanie o tym w książkach historii, niż przeżywanie tego samemu. I na pewno żali się Opatrzności, że jest urodzony w czasach, stawiających każdemu tak trudne

i bezlitosne wymagania, do których należy między innymi wybór swojego w nich miejsca i troska, by czyniąc ten wybór nie przestać móc się uważać za uczciwego człowieka.

Wyboru zaś dokonuje instynktem tylko, bo przecież na rozumienie czasów, w których kandydatami do nagrody pokojowej Nobla są Ojciec święty, Stalin, Gandhi i Mołotow (jak o tym czytamy w gazetach) — żadne teoretyczne przygotowanie i nawet mądrość żadna nie wystarcza.

Wątpliwości nurtujących jego serce jest wiele. Czy względny luz i te pozory (zacieśnianie coraz to) autonomii, jakie aplikuje Rosja wobec Polaków są z jej strony eksperymentem, czy etapem tylko z góry postanowionego procesu wcielenia jej w swoją ustrojową i państwową orbitę?

Czy udany eksperyment z odbudową Polski może być tolerowany przez Rosję? Czy nie następuje dziś już rewizja w stanowisku jej wobec gospodarczych sukcesów, jakimi szczyty się nowa Polska i gwałtowne hamowanie postępu, dokonanego wysiłkiem, pracą i patriotyzmem Polaków, aby nie świeciły one w oczy świata jako przykład, że recepta Rosji byle przeprowadzona nieco odmienną metodą i innymi ludźmi, daje dobre wyniki? Optymiści i ludzie reżimu są zdania, że tak nie będzie; że Rosja znajduje w Polsce poważnego partnera gospodarczego, a przede wszystkim dostawcę surowców oraz artykułów przemysłowych, oraz odbiorcę (nie tylko przecież ideologicznego) i że w gospodarczych jej potrzebach i jej rozwoju ta pozycja Polski stanowi atut raczej, niż prowokację. Nie do mnie należy sąd kto ma rację, tym bardziej, że zdaje się, iż wpływ na taką czy inną decyzję Rosji w stosunku do Polski wynika przecież z ocen, widzących pozycję Polski w perspektywie światowych jej zamierzeń i planów.

Doświadczone ostatnio zaostrenie partyjnego kursu skłania niejednych do wyzbycia się złudzeń na temat celów Rosji, ale inni twierdzą stanowczo, że nie ma sytuacji powtarzalnych, że metody Rosji się zmieniają, że porównywanie z likwidacją NE-P-u albo z Ukrainą w latach przed kolektywizacją niczego nie przesądza. Bo założywszy, jak to niejedni czynili, że jest to tylko eksperyment, mający dać Rosji odpowiedź na pytanie czy Polskę można traktować jako potencjalnego współpracownika, należało zdaniem owych optymistów starać się, aby eksperyment się udał. Było to wyrachowanie wyraźnie zresztą samozachowawcze.

Na terenie zagranicznym pracują też niejedni tak, że właściwie Rosja mogłaby Polskę uważać za najinteligentniejszego partnera wśród satelitów, stojących przy jej boku. Wprawdzie dodać wypada, że miała wielu swoich ludzi jako wykonawców tej polityki (MSZ uchodzi za instytucję przenikniętą nimi, podobnie jak Wojsko i Bezpieczeństwo); uzyskała jednak lojalną kooperację wielu innych, których rozumowanie polityczne prowadziły do decyzji współpracy, będącej wynikiem

klęski. Taka też jest istota przemiany, jaka nastąpiła wśród wielu politycznie myślących ludzi, odkąd walka w obecnych warunkach uznana została za niemożliwość. Uznana została za prowadzącą do katastrofy. Należy jej uniknąć za wszelką cenę, chyba że się Polacy zdecydowali na wybór: wszystko lub nic. Ale odpowiedzialnym politykom tak myśleć nie wolno. Pozostaje więc szukanie modus vivendi.

Nie podejmuję się stwierdzić, ile naiwności, ile sprytu i ile uczciwej gry zawiera się w takiej postawie; konstatuje jedynie, że istnieje taka postawa. Rosja na świecie nie jest sama — mówią zwolennicy takiej koncepcji — potrzebuje dziś współpracy swoich satelitów i wymiany usług z nimi, której nie sposób oprzeć na absolutnym przymusie tak długo, póki ze strony Rosji nie będzie pewności zwycięstwa jej planów na całym świecie. Historia w dodatku uczy, że wszystkie niespodzianki są możliwe, że nie istnieje w niej żadna pewność, że nawet wtedy, kiedy jedni są pod wozem, a drudzy na wozie, istnieją szanse odwrócenia się tej sytuacji. Realisci wśród Polaków są jednak zdania, że odwrócenie tego stosunku nie leży w granicach polskich możliwości. Jest to sprawa, związana z wynikiem istniejącego konfliktu między Waszyngtonem i Moskwą. W domu, w którym zanoszą się na awanturę i na trzaskanie drzwiami między dwoma zamieszkującymi go olbrzymami, cała samozachowawcza mądrość współlokatorów musi polegać na tym, aby nie wtykać ręki, a co gorzej głowy między drzwi.

Sceptycy mówią: nim słońce wzejdzie, ros(j)a czy wyje.

Realisci odpowiadają, że nie ma alternatyw.

Przyszłość dopiero pokaże, czy może jednak być.

Wątpliwości prostego człowieka dotyczą więc także sprawy zaufania do Rosji. Czy można je w ogóle mieć? Czy wolno? Opiieranie poglądu w tych sprawach na jakichkolwiek przesłankach uczuciowych jest oczywiście pozbawione sensu: zostaje więc tylko rachunek czy i do jakiego stopnia interes Rosji mieści się w utrzymaniu Polski, a zarazem różnica krajów satelickich, zostawiając im więcej swobody w urządzaniu się i wykazywaniu rezultatami, niż to ma miejsce w własnych jej republikach? Nie mam jednak wątpliwości, że w Polsce wielu ludzi reżimu pracuje całym wysiłkiem wyobraźni i umiejętności, wśród których znajomość Rosji gra także znaczną rolę, aby ją do tego przekonania doprowadzić. Gra wydawała się dla niektórych Polaków warta świeczki, skoro już tyle innych świeczek na ich oczach pogasło.

I taka też była treść niejednych moich rozmów w Polsce, prowadzonych bez zamiaru uspienia mojej czujności, albo łatwego pocieszania się, że nie taki straszny diabeł, jak go malują, ale stanowiących próby chłodnego analizowania wszystkich możliwych rozwiązań, mających swe źródło w obecnej sytuacji.

Niejedni pocieszali się zjawiskiem niewątpliwej różnicy w traktowaniu Polaków i zagadnienia polskiego, jaka dzieli lata

1939-41 i lata 1944-45 od obecnego podejścia. Różnice ilustruje stwierdzenie, że ludzie, którzy przeszli przez Rosję w latach 1944-45 i z niej ostatnio wrócili mają mniejsze urazy, niż ci, którzy doświadczenia swoje wywodzą z przeżyć lat 1939-41. To tak, jakby wyzbyci byli z wielu obaw, jakie niósł za sobą pierwszy fizyczny kontakt społeczeństwa polskiego z jego wschodnim sąsiadem. Czy byli traktowani lepiej, albo inaczej? Wydaje się, że jedną z psychologicznych przyczyn tej odmiany jest okoliczność, że w 1939 roku ludzie, objęci sowiecką okupacją i ponoszący jej skutki, spadli z wysokiego konia przyzwyczajenia, złudzeń i poziomu życia od razu na samo dno nędzy i nieszczęścia, choć traktowani byli na ogół podobnie jak traktowani są obywatele sowieccy. W 1944 roku złudzenia były również duże, ale po doświadczeniach okupacji i wojny ten upadek spotkał ludzi lepiej zahartowanych wewnętrznie w przyjmowaniu dopustów losu. W 1939 roku postępowanie wobec Polaków podciągnięte było ryczałtem pod kategorię rozprawy z państwem wrogów klasowych, w 1944 już były rozróżnienia w tym podejściu — wykluwowało się przecież w rosyjskim rozumieniu państwo sojusznicze i chociaż względem bardzo wielu ludzi dopuszczano się bezprawia podobnie bezwzględne jak dawniej, w ogólnym podejściu istniała tendencja złagodzenia surowości tego stosunku, jaki charakteryzował pierwszą fazę wojny.

Pewne błędy poczynione w podejściu do Polaków skorygowano np. w samej Polsce zmianą nastawienia do ludzi z A.K. — w pierwszym okresie „Demokracji Ludowej” byli oni w czambuł uważani za „pachołków reakcji”. Potem wprowadzono taką zmianę, że dziś przynależność do A.K. nikomu nie szkodzi, ani nawet nie przeszkadza w sprawowaniu kierowniczych funkcji państwowych, byle nie było *innych powodów i innych zastrzeżeń* wobec dawnych członków podziemnych organizacji. Nie chcę dyskutować z twierdzeniem, że i to jest tylko przejściowa forma tolerancji, spowodowana koniecznością użycia i zaprzęgnięcia wszystkich sił ludzkich we wstępnym okresie puszczania państwa w ruch. Konstatuję jedynie fakt, że ani przedwojenne ani wojenne udziały ludzi w organizacjach, w instytucjach lub polityce uważanej dzisiaj za wrogą, same przez się nie stanowią o traktowaniu ludzi, byle potrafili „upozytynić” się względem nowej rzeczywistości i nie mieszały palców do ruchów opozycji, *tępionej z całą bezwzględnością*.

Trzeba tu wreszcie podkreślić, że zagadnienie rosyjsko-polskie stanowi w rządzie zagadnień poruszanych przez prasę swego rodzaju *tabu*, przemilczane raczej, niż rozwijane, chyba, że dotyczy zagadnień par excellence doktrynalnych pod kątem prostowania i przebijania dróg dla pojęć dialektyki i materializmu.

Dla przeciętnego Polaka rażący jest w dodatku język, używany przez czynniki oficjalne w odniesieniu do Rosji. Każde odezwanie się na jej temat opatrzone bywa superlatywami,

chwalące i czołobitne, prawda natomiast owijana jest w bawinę wykrętów i przeinaczeń. Nie ma w tych warunkach miejsca na żadne przekonywanie, dyskusje dopuszczane są na najwyższych szczeblach (nowe formy organizacji pracy polegają na ścisłym jej podziale, polityką zajmują się tylko politycy, wojskiem wojsko; wara komukolwiek mieszać się do nieswoich rzeczy) a i wśród góry istnieje tendencja afirmowania instrukcji, których czytanie służy członkom partii do „zapoznawania się z własnymi poglądami”. Nieprzekonani ludzie składają uszy po sobie, przyjmują instrukcje jako dopust wyższych sił, a choćby nawet myśleli inaczej, wykonują ich zalecenia. Jak wlażać między wrony...

Pokrywa się więc brak dyskusji oficjalną frazeologią o wdzięczności dla armii sowieckiej i akcentowaniem na każdym kroku polsko-sowieckiej przyjaźni, co nie załatwia żadnych spraw problemowych, ale jest oddawaniem Stalinowi co Stalina i jedną z cen, płaconych za tę ograniczoną swobodę rozwijania się i życia we własnym kręgu. Nowa faza rozwoju, czy raczej przejście do socjalizmu — byłem w Polsce w okresie kończenia się jednego etapu i rozpoczynania drugiego — jest jeszcze nie dość wyraźna, aby można było dziś już wyciągać ostateczne wnioski co do wymiaru, jaki ograniczenie istniejących dotąd swobód przybierze, choć są tacy, którzy na podstawie znajomości rosyjskich metod wróżą najgorsze rzeczy.

Można w 11-tym numerze *Nowych Dróg* wyczytać ich zapowiedzi w dyskusji, która karci przeciwstawianie «Demokracji Ludowej» ustrojowi sowieckiemu, oraz tendencję przedstawiania Polski jako typu ustrojowego pośredniego pomiędzy systemem kapitalizmu a «demokracją radziecką», a dalej strofuje szkodliwy wpływ «odrębności polskiej drogi do socjalizmu», określając ją jako jaskrawe zniekształcanie linii marksizmu-leninizmu. I to pomimo stwierdzeń, że nie ma rozbieżności między dążeniami do zrealizowania socjalizmu, a niepodległością i suwerennością Polski. Prostowanie tych odchyłeń, tępienie «obaw przed zaostrzającymi się formami walki klasowej», usuwanie tęsknoty do «ugody z burżuazją, z elementami kapitalistycznymi, do ulegania naciskowi sił obcych» zapowiedziane jest jako kuracja wstrząsowa.

Nastąpiło jednak w społeczeństwie otrząskanie się z przejawami rosyjskich wpływów w zewnętrznych ich objawach. Ludność przywykła do oglądania pomników wdzięczności, o których trudno powiedzieć, że zdobią każde miasto, są bowiem bez wyjątku wyjątkowo brzydkie i nieestetyczne, ale nie uprawia się już szaleństwa płonnych i bezsensownych demonstracji, jakimi było np. wysadzanie tych pomników z tym skutkiem, że odbudowywano je jeszcze solidniej przez samych Rosjan. Wyczuwa się jednak w stosunku polskim do nowych sprzymierzeńców nadal charakterystyczny kompleks wyższości, przytłumiony jedynie obserwowaniem wydarzeń polityki między-

narodowej i zaskoczeniem, jakie wynika z sukcesów sowieckich na tych terenach, chociaż wiadomo, że nie mają one nic wspólnego z jakąkolwiek umiejętnością robienia propagandy — wprost przeciwnie. Wygląda nawet na to, że Rosjanom — propagandzie w sensie przekonywania kogokolwiek zupełnie już nie zależy. Zmuszenie Anglosasów do wożenia węgla do Berlina — w samolotach wywołuje uśmiechy zdziwienia, że pozwolili się zapędzić aż w taki kozi róg bezsensu i niekonsekwencji, przegrawszy politycznie tę bitwę i bitwę o wschód Europy już przecież w roku 1945 i to na Krymie.

Słyszysz się zdania, że jeśli tak dalej pójdzie, nasi kontrahenci Rosjanie (bardziej *kontra*, niż *chęci*, — copyright by Aleksander Janta) gotowi wygrać na międzynarodowym froncie batalię o resztę Europy, podminowanej przez jej zwolenników. Tłumaczono mi nieraz, że z punktu widzenia interesów Polski, w sytuacji w jakiej jest obecnie, byłaby to ewentualność o wiele mniej groźna, niż rozpętanie pełnowartościowej wojennej o niewiadomych dla nikogo skutkach i z poważnymi szansami, że ogon tajfuna raz jeszcze przejedzie się po jej ziemiach.

Zdaję sobie sprawę, jak rażące mogą być te uwagi dla czytelnika polskiego na emigracji, ale wśród przekroju rzeczywistości polskiej jaki czynię znajduje się także linia przytoczonego wyżej myślenia, uważam więc za potrzebne przytoczenie jej treści i jej sformułowań, wynikających z rozumowania ludzi, którzy próbują dziś wziąć pod uwagę *każdą* ewentualność rozwoju wypadków i widzą w niej perspektywę także takiego ich obrotu.

Wszystko, co powiedziałem powyżej nie wyklucza ani nie zmienia faktu, że jest w dzisiejszym interesie kraju wykazywanie, że utrzymanie satelickiego charakteru Polski, zamiast podrywania jej pod strzechulec sowieckiej *urawniłowki*, leży w interesie Rosji.

— Jakże byłoby w razie konfliktu miejsce Polski, gdyby zachodnie mocarstwa zadeklarowały jako zapłatę za udział jej po swojej stronie zwrot Wilna i Lwowa? — zapytałem jednego z inteligentnych, a biorących czynny udział w życiu dzisiejszym Polaków.

— Boję się, że dwa metry pod ziemią — odpowiedział.

Może to znowu brzmieć rażąco dla ucha Polaków, reprezentujących obóz bezkompromisowo niepodległościowy; przypominam jednak w tym miejscu tezę Lippmana, że trudno dziwić się rosyjskiemu prowadzeniu polityki, która odniosła już tyle sukcesów, wszystkimi dostępnymi środkami, rozszerzając ją na satelitów także, nie mających w obecnej przymusowej sytuacji innego wyboru, jak grać jej grę na zewnątrz i za tę cenę uzyskiwać wewnątrz trochę oddechu na własne życie. Ta jest bowiem istota zagadnienia, którą łatwo na pewno krytykować jako sprzeczną z tradycjami, albo nie licującą z godnością narodu, trudniej jednak zastąpić jakąś rozsądną alternatywę, poza chyba abdykacją od wszelkiego udziału w sprawach tyczą-

cych życia 24 milionów Polaków zamieszkałych w orbicie rosyjskiej, bez żadnej dzisiaj gwarancji pomocy z zewnątrz, albo respektowania najprostszych praw w ich życiu, poza tymi, które sobie sami wypracują.

O rządzących dziś w Polsce ludziach trzeba w związku z tym powiedzieć, że szanse pracy i działania na rzecz owego minimum praw, posiadają jedynie na zasadzie zaufania, jakim cieszą się ze strony Rosji. Każde poderwanie go kończy się zaostreniem napięcia i zmianą układu ludzkiego, z likwidacją tego elementu, który w tradycyjnie przyjętym sensie tego słowa określany jest terminem „przyzwoici”, czyli inaczej ludzcy, zastępując ich bezkompromisowymi wyznawcami doktryny, made in Moscow.

Nie wolno bowiem zapomnieć, że ci, którzy od 1944 roku odpowiedzialni są za rządzenie Polską, wiele się od czasu objęcia swych stanowisk nauczyli. Że będąc agentami bez sentymentów, gra w nich to, co Marks ilustruje tezą, że „byt określa świadomość”. Do tworu swojego, do swoich sytuacji, są przywiązani, działają bowiem i opisują się osiągnięciami swojej polityki w ramach pewnej autonomii; tej więc dziś strzegą, pragnąc zrozumiale wykazać się wobec mocodawców, że można, że warto, że trzeba im ją zostawić, że to dla polityki sowieckiej także ważne i także przydatne.

Wspominałem już, że z zaostreniem kursu socjalizacji istnieje niebezpieczeństwo wielkiego kryzysu koncepcji współpracy z Rosją, jaka dotąd cechowała polityczne i nieprzymuszone innym względem, jak tylko przekonaniem o pożytku takiego stanowiska, myślenie pewnego (niewielkiego zresztą) odłamku społeczeństwa w Polsce. Redukcja form, jakie przybiera poczyną stosunkowo łagodna rewolucja w Polsce, do bezwzględności przymusu, nieopartego przekonaniem, jest wynikiem oceny sytuacji, spowodowanej odstępstwem jugosłowiańskim. Znaczący stosunków w Niemczech są w dodatku zdania, że zamierzona w czasach namiestnictwa Żukowa i jego subalternów komunikacja Niemiec nie dała spodziewanych wyników, że więc punkt ciężkości zamiaru rosyjskiego w przeprowadzeniu tego procesu na peryferiach zachodnich swojego panowania w Europie, przesunął się z Niemiec na Polskę i Czechosłowację.

W umysłowościach polskich, badających rozwój sytuacji, zaczyna w związku z tym przebiegać wątpliwość, czy przypadkiem prawdziwym elementem rosnącego konfliktu Rosji z Ameryką, który musi się rozegrać także i na obszarach Europy, nie jest rozgrywka Rosji z nowymi Niemcami? Nurtuje je też obawa, czy podbudowując obecną strukturę Europy, Ameryka nie wprowadzi z powrotem gospodarczej, a tym samym i politycznej preponderacji Niemiec w Europie środkowej. Kontrola amerykańska nie wydaje im się dość przekonująca, aby mogła uciszyć obawy związane z takim obrotem wydarzeń.

Cytuję tutaj nie swoje refleksje, ale syntezę rozmów prowa-

dzonych z ludźmi różnych poglądów i różnych sposobów pa-
trzenia, którzy nie uważając żadnej z wymienionych ewentual-
ności za optimum szczęścia, próbują myśleć kategoriami owych
Lippmanowskich celów do osiągnięcia, *) a nie celów, jakich
spełnienia można by sobie życzyć, skoro szans na ich pełne u-
reczywistnienie chwilowo nie widać. Poddaję je też pod dysku-
sję, kierując się obowiązkiem zdania sprawy nie tylko z tego
co widziałem, ale także z dróg, jakimi chodzą myślenie polity-
czne w Polsce, choćby były ono dla wielu czytających te sło-
wa ludzi niedopuszczalne, nierozumne, a już co najmniej na
pewno niepopularne.

XVII

Paradoks sił i słabości

Gdyby pozycję Rosji i szanse przeprowadzenia jej zamiarów
w Polsce sądzić wyłącznie pod kątem nastrojów poddanego jej
działaniu społeczeństwa, wypadłoby stwierdzić słabość raczej,
niż siłę jej wobec Polaków. Wypadłoby powiedzieć nawet, że
Rosja jest własnym swoim największym wrogiem w Polsce. A
to przez nadawanie ustrojowym i gospodarczym przemianom,
dokonywanym pod jej egidą, odchylen antyhumanistycznych,
z przewagą założeń i praktyk absolutnej doktryny nad próbą
przekształceń, liczących się z ludzką i narodową psychologią.
Brak przystosowania jej wskazań do lokalnych warunków i wra-
żliwości prowadzi do wzrostu negatywnych w polskim społec-
zeństwie odruchów. Bo też utrwała w ludziach, zamiast widze-
nia postępu, poczucie krzywdy, rodzącej opór, jako pretekst do
tym surowszej aplikacji sowieckich metod i planów, wytwarza-
jących, im dalej w las, zwiększające się ciągle ciśnienie ich
wpływu.

Przeciwstawiony mu nacisk niechęci do Rosji zaciera w wie-
lu umysłach możliwość patrzenia beznamietnie na problemy po-
stępu społecznego i awantaze planowania, wprowadzonego w
polskie życie. W stanie, w jakim Polska znalazła się w roku
1945 i który charakteryzował kompletny chaos, tylko bezwzględ-
nie planowa gospodarka mogła poradzić sobie z zadaniami,
stojącymi wobec państwa. Tak się złożyło, że reżim komuni-

*) Nalegamy na traktowanie rywalizacji między mocarstwami, jako czegoś,
co nie powinno istnieć wśród prawomyślnych ludzi — zamiast stwierdzić,
że jest to stały czynnik i nawet właściwa substancja dyplomacji, która po-
winna być ze strony Ameryki uprawiana chłodno, sprytnie, bez łęku i bez
przesadnych nadziei, ale możliwie najsprawiedliwiej tam, gdzie dotąd nie ma
porozumienia co do podstawowych zasad i gdzie rywale nie żyją dotąd w
orbicie tego samego moralnego prawa.

«Jednak w dyplomacji, kiedy stawka jest życie albo śmierć, problem twór-
ców polityki nie polega na wybieraniu najlepszego celu, jakiego spełnienia
można by sobie życzyć, ale najlepszego, jaki może być osiągnięty».

styczny był wyekwipowany na wprowadzenie tej bezwzględno-
ści. Każdy system ma plusy i minusy. W pierwszej fazie za-
grały oprócz minusów także, i w pewnej mierze, plusy. Stąd
pewne sukcesy rządów Osóbki i Cyrankiewicza na polu gospo-
darczym zwłaszcza. Szłyby minusów teraz dopiero zaczynają
przebijać worek, w którym się Polska znalazła i grożą nawet
poważnym podziurawieniem go w najbliższych latach z punktu
widzenia tradycyjnych rozumień jej wyłącznego interesu.

W wyczuciu większości Polaków słabość Rosji polega jednak
na tym, że mimo głośnego wykrzykiwania o znalezionej receptce
na lepsze urządzenie świata, niż to w jakim żyją ludzie poza za-
sięgiem jej wpływu, wzór dany przez Rosję samą nie stanowi dla
nikogo zachęty, uwodzenie atrakcyjnością jej systemu nie bie-
rze (nawet ogromny pożar z daleka może być uważany za gwia-
zdę przewodnią), a chociaż niejedne formuły jej doktryn zda-
ją się obiecujące i pełne nadziei, teraźniejszość nie stanowi speł-
nienia ich zapowiedzi. Wobec jednak misjonarskiej i apostoł-
skiej dynamiki wierzących w nią ludzi stosuje się względem kra-
jów, nie pogodzonych z ideą dobrowolnego przyjęcia nowego
porządku, system uszczęśliwiania ich par force — z nakład-
niem pacjentowi naprzód i przede wszystkim kaftanu Bezpie-
czeństwa, wiedząc, że po skosztowaniu lekarstwa, które nie mo-
że mu smakować, wpadłby w szal i próbował rozbić głowę tro-
skliwemu lekarzowi który dba, nieproszony, o jego zdrowie.

Szerzy się w związku z tym wątpliwość i pogłębiają urazy
wobec metod i wobec systemu, którego zastosowanie w samej
Rosji pociągnęło za sobą tak niewspółmierne wielkie koszty w
życiu i szczęściu jej obywateli, chociaż zwycięstwo w ostatniej
wojnie i dalsze zwycięstwa polityczne w Europie i w Azji, sta-
nowią w rękach sowieckich mocny argument, że wyrachowania
wodzów i doktrynerów rosyjskich okazały się w praktyce sł-
szniejsze, niż wyrachowania wrogów tego systemu.

Rozwinięcie tego tematu, którego namacalne efekty doświad-
cza się w Polsce na codzień, prowadzi do stwierdzenia zasta-
nawiającej i absolutnej pewności siebie Rosjan, jako dowodu
poczucia siły nie tylko w Polsce, bo przecież także poza nią,
jako znaku bezwzględnej i niczym nie zakłóconej pewności zwy-
cięstwa. Nie ma przeto z ich strony śladu kokieterii czy prób
pozyskiwania sobie kogokolwiek perswazją — nie chcesz to
nie, zobaczmy czy dobrze na tym wyjdiesz. Mielśmy ilu-
strację tego podejścia na Kongresie Intelktualistów w Wro-
cławiu, kiedy przemawiał Fadiejew. Kto nie z nami, ten prze-
ciw nam.

W postawie rosyjskiej wobec Zachodu wyczuć można sporą
dozę pogardy dla niepełnych i skłóconych między sobą usiło-
wań obronnego zmobilizowania nieobjętej jeszcze w bezpośred-
nią sferę sowieckiego działania części europejskiego konty-
nentu. Przebija w niej to, co przed stu laty Markiz de Custine
określił słowami, że „Rosja widzi w Europie zdobycz, która
prędzej czy później zostanie jej wydana dzięki naszym skłóce-

nioni i że podsycą w niej ona anarchię w nadziei skorzystania z wywołanej tą drogą korupcji..."

Także w okresie kryzysów międzynarodowych, wywołanych nieugiętą postawą Rosji, cechuje jej ludzi zadziwiająca nerwowa wytrzymałość. Przyjąć można jako założenie, że potrzebują pokoju, ale prowadząc „zimną wojnę” operują niezłą dotychczas znajomością przeciwnika i trafną (dotychczas) oceną jego niechęci do zbrojnego zmierzania sił; napinają też strunę jego cierpliwości, wiedząc z góry, że jest to struna, która nie grozi, póki co, pęknięciem.

Są to wszystko obserwacje, z których Polacy w Polsce muszą wyciągać wnioski, jeżeli nie chcą liczyć na cuda, albo opierać wszystkich nadziei na interwencji z zewnątrz, która by potrafiła za nich rozwiązać zagadnienie rosyjskiego sąsiedztwa i rosyjskiej opieki...

Co oczywiście nie przesądza wcale faktu, że kiedy mowa w kraju o „uspółdzielczym” wsi i kiedy ze strony reżimu społeczeństwo poddane zostaje wykładom o jego ekonomicznej, albo społecznej konieczności, w oczach człowieka namawianego na ten eksperyment zawsze stać będzie przypomnienie metody, jaką w podobnym celu zastosowano w Rosji i przypomnienie wyników, jakie dała. Przewyciężenia lęków, jakie ta propozycja budzi nie mogą dokonać żadne słowa i żaden autorytet. A już największą przeszkodą jest wprowadzenie pośpiechu do tego procesu. Wydaje się bowiem, że jak na doświadczone zbyt wielu zmianami i przewrotami w ustalonych pojęciach społeczeństwo, wymagania są doprawdy za wysokie. I za to, zamiast powodować akceptację, potęgują bierność oporu. Rosja niewątpliwie zna działanie tego czynnika na umysłowość objętych jej wpływem krajów, zna także uroki swobód, jakie na zachodzie obowiązuje i jakich pamięć nie może zgasać w Polsce, skoro działają nawet na czucie sowieckich obywateli; dlatego też odcina się dotąd od satelitów, przenikniętych jeszcze wspomnieniem owych uroków, stalową kurtyną swojej granicy.

Blżej jest bowiem z Warszawy do Paryża i łatwiejszy dla Polaka dostęp, niż z Warszawy do Moskwy, na pewno.

Nie mogę się jednak zgodzić z twierdzeniem, że metody rosyjskie są antypsychologiczne. Są nimi, jeżeli przyjąć, że chodzi o dotarcie do mas przekonywującym je argumentem wyższości sowieckiego socjalizmu nad kapitalizmem. Ale Rosji nigdy nie zależało na pozyskaniu większości — wystarczy urobienie sobie instrumentu ludzkiego, który jest jej ideowo i z przekonania oddany, choćby stanowił mniejszość. Dla reszty zostaje posłuch, a psychologia uzyskiwania go opiera się na znajomości granic oporu oraz siły nacisku nań, jaką stanowi strach, albo przemoc. Działanie jest więc oparte na negatywnych i posiadających w psychice ludzkiej dobrze wiadome korzenie elementach lęku, jako biernej i obywatelskiej przeciwnika siły, wyzwalając wzajemną nienawiść i zazdrość, więc

dynamiczną odwrotność tamtego uczucia, kierowaną na z góry upatrzone cele.

Omówimy w następnym rozdziale niektóre reakcje człowieka w Polsce na te metody; tymczasem spróbujemy określić punkt styku słabości i sił społeczeństwa, oznaczając linię wypadkową tych sprzeczności, wyrażających się wśród zagrożeń szukaniem trudnych dróg nowej myśli i rozsądnego postępowania.

Zamieszanie pojęć, podważenie zasad moralnych, których niestosowanie zdaje się być w przypadku Polski dziełem nie tylko Rosji, ale także zachodnich jej przyjaciół (polityczna amoralność i cynizm sięga szczytu w postawie samego Churchilla, gdy występując jako obrońca zachodnich wartości przeciw Rosji, sam stanowi okaz polityka, gwałcącego kardynalne zasady przyzwoitości wobec alianta, który w końcowym okresie wojny nie reprezentował dla niego siły, z jaką warto by się było liczyć — wypowiedzi jego są źródłem głębokich urazów, podważających w Polsce zaufanie do przedstawicieli moralności zachodniej) sprzyja na ogół rozwijaniu postawy, którą określa się często terminem „pozytywizm”. Inni znowu nazywają jej objawy „czechizacją” Polski, następującą pod wpływem rozeznania, że dla kraju wyniszczonego pięcioletnią wojną nie ma innej drogi, jak tylko pójście z falą, choćby to pójście okupione być miało rezygnacją z wielu ambicji i marzeń i choćby czynione było z wewnętrzną rezerwą ludzi, umiających poznać się nie tylko na siłach i na słabościach kontrahentów, ale także skutecznie wycenić własne zapasy sił, względnie ich braki.

Jest ta postawa wyciągnięciem wniosku o nieopłacalności, w przypadku Polski, zdobywania przez nią raz jeszcze palmy męczeńskiej w obronie cudzych interesów na to, by przejść do historii w chwale nowego i zupełnego tym razem całopalenia.

Dodajmy do tego charakterystyczne, jako wynik doświadczeń wojennych, szamotanie z brakiem odpowiedzi jakim sposobem taki ogrom wysiłku, poświęceń i bohaterstwa mógł pójść na marne, przytępienie wrażliwości na los bliźniego (obserwowane zresztą także na zachodzie), ogólne obniżenie poziomu moralnego, brak wiary w dawne hasła, trochę cynizmu i dużo zmęczenia, wreszcie samoochronne odruchy egoizmu wynikające z uznania, że z motyką na słońce nie da rady, że jednocześnie mimo śmierci, strat i niebezpieczeństw nie podobna załamać rąk, nie sposób rezygnować, życie musi iść naprzód i torować sobie między nimi swoją niepewną drogę — a będziemy mieli choć w części obraz tego uczucia, jakie ożywia Polaków, stojących dziś w obliczu surowej konieczności przeżywania rewolucji we własnym domu.

XVIII.

Człowiek i system

Refleksje na marginesie opowiedzianego poprzednio stanu umysłów, których myślenie podminowane jest nerwowym szukaniem dróg wyjścia z przymusowej dzisiejszej sytuacji, dotyczą położenia człowieka w Polsce. Tego człowieka, który chowany w historycznie trudnych warunkach, ceni sobie, jak nikt na świecie, niezależność i dla którego każda droga pod warunkiem, że dojdzie do jej wyboru sam, lepsza się zdaje, niż doskonała, ale cudzy wzór. Tego człowieka, który stanowi każdy w swoim rodzaju *osobowość*. Ten właśnie towar osobowości jest na rynku polskiego życia zawsze w większej podaży, niż popyt nań, zwłaszcza w obecnej chwili. Istnieje więc w Polsce to, co nazwałbym kryzysem osobowości. Ludzie myślący niezależnie nie są pożądani. Są traktowani z dużą dozą nieufności. Kiedy wszyscy myślą to samo, nikt oczywiście nie może myśleć wiele. Myślenie stało się monopolem ludzi, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za rządy. Wszystkim innym zostaje przyjmowanie owocu ich myśli bez apelacji. Chodzi o to właśnie, aby przyjmowany był bez apelacji.

W wyniku przebudowy, jaka następuje i przetasowywania warstw i wartości, inteligencja, nie jako klasa, ale jako formacja umysłowa schodzi na drugi plan. Upowszechnienie kultury, o którym wiele jest mowy, dokonać się musi kosztem obniżenia jej poziomu. Na plan pierwszy wysuwają się partyjnicy, których przeciętny dobór określony może być pod kątem widzenia formacji intelektualnej, jako półinteligencja. W związku z planowaniem i gospodarczą rozbudową istnieje oczywiście zapotrzebowanie na fachowców, na techników, na specjalistów. Ale i tym nie pozwala się zapominać, że są do zastąpienia w każdej chwili, choćby fachowość zastępujących była w porównaniu z nimi wątpliwa. Przy ogólnym braku ludzi, jaki charakteryzuje sytuację, taka polityka musi budzić niejedne wątpliwości. W Polsce za osobowość trzeba płacić. Wyszukiwanie się ponad głowy innych jest niebezpieczne. W Ameryce osobowość opłaca się. Tu poziom nie jest ceniony. Ważniejsza jest sprawa politycznej przynależności. Jest w tym stosunku coś z zazdrości nowego ludzkiego elementu wobec uprzywilejowania, wynikających z posiadania pewnej sumy wiedzy i mądrości; ubiera się jej istnienie w wygodną tezę o przeżywaniu się szlachecko-burżualistycznego świata.

Choć więc teoretycznie istnieje kurs na fachowców, w praktyce rządzą departamenty administracyjne, które poza wszystkimi niedoskonałościami biurokracji cechuje jeszcze lęk przed odpowiedzialnością. Odwaga decyzji istnieje jedynie na bardzo wysokich szczeblach, a i ta mocno przytłumiona przy-

pomnieniem losu niektórych czynników decydujących w związku z ostatnimi wydarzeniami w partii. Wszędzie niżej panuje tendencja unikania związanych z wzięciem jej na siebie niebezpieczeństw.

Podział Polaków na ludzi partii i niepartii, tzn. całej reszty nie posiadających politycznej legitymacji obywateli państwa i to pod kątem, że pierwsi są lepsi, a drudzy gorsi, dzieli społeczeństwo o wiele istotniej, niż frazes o walce klasowej. Między tymi drugimi bowiem wielu jest takich, którzy, będąc postępowymi i współpracującymi w odbudowie i przebudowie ideowcami, tylko dlatego unikają zapisania się do partii, aby nie mieć wrażeń, że pracują pod batem lub dyscypliną, do której uczciwości i zamiarów nie mają przekonania. Zamiast opierać się na porządnych ludziach bez względu na przynależność, reżim wysuwa naprzód urobionych już na swoje kopyto, uświadomionych klasowo i przeszkolonych partyjnie speców politycznych.

W rezultacie górę biorą w najlepszym wypadku sekciarze i doktrynerzy, w najgorszym oportuniści i kanalie. Wynikiem tej sytuacji jest kult niekompetencji i te wszystkie objawy unikania odpowiedzialności, jakie w urzędach prowadzą do ogromnego przerostu biurokracji ze szkodą dla jakości jej pracy. To tak, jak gdyby komórki tkanki łącznej rozmnażały się na niekorzyść organizacji mózgu, ciała i kości.

Najgorzej w społeczeństwie przyjmowane są wszelkie objawy stosowania gwałtu moralnego i opierania nowego porządku na ludzkiej krzywdzie, nie oglądając się na konsekwencje, jakie to postępowanie wywołuje, budząc nienawiść inne zupełnie niż te, do jakich pobudza linia polityki. Pokój bowiem, tak jak każde budowanie, wypada robić z ludźmi, a nie przeciw ludziom. Cechuje więc życie wewnętrzne nawet tych Polaków, którzy są za nową formą ustroju, konflikt z tym dogmatycznym fanatyzmem, który stosuje swoje środki i swoje wpływy bez oglądania się na ludzką wrażliwość, bez potrzebnej w takich wypadkach taktyki, która jest często także kwestią taktu. Reprezentanci takiej wrażliwości biorą boleśnie w skórę, nie umiając przytępić odruchów i tracą tym samym ochotę do stawiania się sztorcem zwłaszcza wtedy, gdy wiedzą, że mają rację.

Cofają się też w szkodliwą dla siebie samych i oczywiście dla ogółu nieobecność, nie fizyczną rzecz prosta, ale polegającą na machnięciu ręką i stwierdzeniu, że w warunkach, gdy twórcza inicjatywa, dobra wola, albo talent jednostki uzyskuje kwalifikacje dopiero przy poparciu jej przez legitymację partyjną, nie zamierzają robić konkurencji jej posiadaczom.

Są inni, którzy chwyciwszy w porę górny wiatr, nauczyli się pośpiesznie szyfru i klucza, jaki potrzebny jest do wyznawania się w nowej rzeczywistości i poruszania w niej bez ryzykownych potknięć. Ci rychło znajdują swoje miejsce. Znajomość argumentacji dialektycznej stanowi niemałą pomoc w wyrobieniu sobie właściwego stosunku do procesu zachodzących dziś w Pol-

sce przemian. Studium historii rewolucji rosyjskiej także bywa pomocą. Samo czytanie Tołstoja czy Dostojewskiego nie wystarczy.

Zastałem u jednego z urzędników na biurku komplet dzieł Marksa, Lenina i Stalinowskie «Problemy Leninizmu». Po co to panu potrzebne? — zapytałem, niby naiwnie. Uczę się — odpowiedział. Muszę się przecież nauczyć argumentacji, aby swoje postulaty, tezy i propozycje móc przeprowadzić w ich języku...

Gdyby dzisiaj przeprowadzono egzamin w Polsce, myślę, że np. na zapytanie, co to jest linia marksizmu-leninizmu, 95% ludzi nie potrafiłoby dać sensownej odpowiedzi. Mało kto poza specjalistami czytał Marksa. Nie jest to przecież lektura ani łatwa, ani przyjemna.

Uzasadnienie teoretyczne pociągnięć rządu należy oczywiście do obowiązku członków partii, ale dokonywane jest w stylu demagogii i wiecowego operowania sloganami «taranowymi», wobec których istniała wśród Polaków zawsze znaczna ostrożność, żeby nie powiedzieć niechęć. Praktyka jest wymowniejsza niż słowa, w jakie się ją ubiera. Opowiadają, że po odczycie jednego z teoretyków marksizmu na prowincji, który uczenie wyłożył tam zasady nowego porządku, podszedł do niego jeden ze słuchaczy i dziękując za wykład, zapytał: «Niech mi pan powie uczciwie, czy pan naprawdę wierzy w możliwość życia na Marksie?»

Nieraz po rozmowie z inteligentnym interlokutorem, który wykladał mi jeśli nie przekonująco to interesująco, zasady i racje takich to reform, zarządzeń, czy kierunku działania, dziwiłem się, że prezentacja tych samych argumentów na wynos brzmi o wiele mniej rzeczowo i zadawałajaco.

Nie dziw więc, że w rozwoju wewnętrznym Polski propagandowy nacisk władz, dążących do przerobienia psychiki społeczeństwa pod kątem swoich interesów i planów, nie odnosi pożądanego skutku.

Obywatel, narażony niemal codziennie na słuchanie albo czytanie mów dygnitarzy partyjnych, które charakteryzuje suchy język, grubymi nićmi szyta argumentacja, nieliczenie się z wrażliwością polską i skłonność do urażania jej, zbroi się w płaszcz sceptycyzmu.

Wśród pretensji, jakie nawet «upożytywnieni» obywatele wyrażają w odniesieniu do partyjnego zespołu kierowniczego, jeden z pierwszych dotyczy braku poczucia humoru z ich strony i brania wszystkiego, co mówią, a zwłaszcza co robią, aż do przesady na serio. Jest w tym podejściu zapewne typowe dla Polaków niedocenywanie powagi uczuciowego i umysłowego zaangażowania się pewnych ludzi w dzisiejszej polityce, równającego się w innym wymiarze i w innych czasach historii założeniu nowego zakonu. Takie to też jest, a w każdym razie takie być powinno w przekonaniu czynnika kierowniczego — wstąpienie do partii stanowi nie tylko podporządkowanie się jej dyscyplinie, ale abdykację także z własnego rozumienia świata na

rzecz demonicznych i kierujących człowiekiem z niewidzialnej wysokości sił i mądrości, wiedzących lepiej i kierujących walką o całą przyszłość aż do zwycięstwa. Fascynacja, jaką dla pewnych umysłów posiada system, nie znający żadnych wątpliwości, odbierający poza tym każdemu z poddających się jego dyscyplinie ciężar myślenia za siebie (bo daje każdemu gotowy przepis i gotowe rozwiązanie w łatwo strawnych formułkach, podobnie w Ameryce niektóre pożywienia reklamuje się jako *predigested* — czyli poddane trawieniu jeszcze zanim się je zacznie jeść) pozwala bez obaw uprawiać polityczny futurizm. Polega on na praktykowaniu wiary, że można każdą teraźniejszość uczynić dla ludzi nieznośną i obrzydzać im życie aż do ostatnich granic wytrzymałości, pod warunkiem posiadania pewnika, że przyszłość niesie w sobie na tych samych podstawach rozwiązanie wszystkich trudności, a tym samym usunięcie konfliktów oraz nagrodę dla wiernych wyznawców jedynej w świecie doktryny, która przyrzeka zbawienie już tu, na ziemi.

Nie mówię tego z przekąsem, ani próbując dowcipu. Sprawa jest bardzo poważna, reguły zakonu surowe, a aplikacja zasad i założeń owej wszystko leczącej recepty zbawienia świata wbrew jego zrozumieniu czy woli, jest w rękach ludzi, przenikniętych gorliwością neofitów, inkwizycyjną zaciekłością w tępieniu schizm i odchyleń, żarliwością wyznawców Islamu w walce z gaurami, purytańskim stosunkiem do bliźnich, a nieraz znaczną dozą abnegacji wobec samych siebie. Rozwody np. wśród członków partii są bardzo źle widziane; prywatne ich życie stanowi własność zakonu, premier np. wydał surowe zarządzenia, dotyczące używania samochodów służbowych, tzw. demokratek, którymi jeżdżą dygnitarze, narażeni dziś na nieprzyjemne sprawdzania służbowej konieczności swoich rozjazdów, szukanie protekcji, albo interwencje w sprawach ludzi aresztowanych, względnie znajdujących się w niełasce są jak najgorzej widziane; nie pomagają też na ogół, mogą często zaszkodzić. Są to wszystkie zjawiska istotne i nie do zbycia — zaczyna się od drobniaków, od zaostrzania surowości wymagań i coraz mniejszej tolerancji względem swobody języka, dowcipu, zachowania — nikt nie wie, gdzie się to skończy. No bo skoro Marii Berezowskiej, tradycyjnej już w Polsce ilustratorce co śmielszych frazsek, nieprzychylnych dowcipów i nieskrępowanych powiedzonek daje się do zrozumienia, że może by jednak przestała uwypuklać swoje ulubione tematy?

Wbrew niejednym powierzchownym sądom, które partię, — jako wykładnik sił obcych i wrogich interesom Polski w dawnym, tradycyjnym ich rozumieniu, — mają skłonność określać jako zbiorowisko szumowin ludzkich lub osobników bez czci i wiary, świat jej i klimat robi wrażenie klubu o surowych, wewnętrznych przepisach i wymaganiach, w którym obowiązują własne obyczaje, inna niż normalnie, ale surowo przestrzegana moralność, twarde prawo, którego bezwzględne stosowanie otwiera perspektywę niejednych kompensat, ale przede wszyst-

kim dyscyplina, posunięta aż do zatarcia się własnej osobowości na rzecz wprowadzenia w życie doktryny, mającej jako cel przebudowę Polski pod kątem roli jej i zadania w ramach światowych planów Rosji, mierzących o wiele głębiej i dalej, niż ewentualna sowietyzacja jednego kraju. W związku z tym zrozumieniem członkowie partii starają się, aby Polska nie znalazła się na szarym kołcu owego dziejowego procesu, którego powodzenie, albo też klęska, będzie dopiero decydować o miejscu, jakie się Polsce dostanie i o pozycji, jaką zajmie. Nie jest w jej mocy decydować o tym samej, ani na zapas.

Zastrzeżenia czynnych pod tymi wpływami osobowości dotyczą drugiej z kolei zasady, utrudniającej przystosowanie się do wymogów nowego porządku. Wyraża się ona w pośrednio już nieraz podkreślanej w ciągu niniejszego reportażu rozrzutnej i nieumiejętnej gospodarce ludźmi, jaka cechuje system. Brak respektu dla indywidualności, skazywanie talentów sztabowych na robotę manipulacyjną, szafowanie ich czasem i ich energią, nie licząc się z wytrzymałością — to wszystko przypomina dobrze znane wzory i odstrasza raczej, niż żeby miało zachęcać. Pojętrzenia wyrażają się w sformułowaniu, że istnieje metoda w tym szalenstwie, polegająca na wykazaniu każdemu, że jest do zastąpienia. Wbijanie zegarkami gwoździ jest jednak niebezpieczne i szkodliwe tak dla zegarków, jak dla gwoździ. Nie daje spodziewanych wyników. Waga ludzi jest różna; nie ma od tej prawdy odwołania. Przeciążenie pracą jest jedną z przyczyn tego zdzierania się ludzi. Objęci są tym systemem zarówno ludzie partii, jak i bezpartyjni. Sytuacja w Warszawie jest pod tym względem lepsza i uznanie czyichś istotnych dokonań łatwiejsze, niż na prowincji. Łączy się z tym trzeci wreszcie element podejścia do człowieka, wyrażający się w zasadniczej różnicy klimatu, jaka dzieli partyjnych od bezpartyjnych. Ci ostatni stanowią przecież jedynie materiał do obróbki, surowiec właśnie, nie zasługujący na większe względy i odpowiednio do tego traktowany.

Wszystko co tutaj mówię w sposób dość jaskrawy, a nawet skrajny, w praktyce życia nie wygląda jeszcze tak ostro, ani tak absolutnie. Kanty tych konfliktów i tych uderzających na siebie sił, łagodzone są bowiem nieobjawionym dotąd w pełni talentem przystosowania się Polaków do nowych warunków. W języku reżimowców nazywa się to automobilowym terminem «docierania tłoków», które przy puszczaniu w ruch maszyny zgrzytają jeszcze na wielu odcinkach, napotykają na niespodziane opory, a wobec częstego zmieniania tempa biegu i jego taktu, poddają mechanizm stosunków między ludźmi coraz to nowym próbom. Rezultatem tego traktowania jest konieczność zastępowania zużytych albo nie nadających się do użycia śrub, kółek i sprężyn ludzkich, częściami wymiennymi. Eksperymentowanie tymi zastępstwami jest w toku, mechanicznie często, bo podległe narzuceniu przez inspiratorów partii rozkładowi jazdy i czasu. Nie dziw, że w tych warunkach zużycie ludzkiego surowca jest

znaczące. Wszystko co przestaje się nadawać, odrzucane jest na bok, na szmelc. Hacząc się i potykając na zakrętach, jak samochód przy próbnej jeździe pod ręką niewprawnego szofera, który zrywa motor, niepotrzebnie zmienia biegi, ciągle trąbi i grozi tym pasażerom, którzy nie chcieli albo nie zdążyli zająć w nim miejsca, że ich rozjedzie — toczy się maszyna systemu coraz dalej, coraz mocniej kierowana, bo mimo częstych poprawek i przemian, motor posiada ciągle siłę pędną, dostarczaną z licznych stacji benzynowych, strażujących przy drodze czerwonymi sylwetkami pomp. Przedsięwzięta wielką ekspedycję. Nie zna celu, ani granic wytrzymałości motoru. Ale jedzie.

XIX

Gospodarstwo i plany

Nie jestem ekonomistą. *) Ale nie trzeba być ekonomistą, aby przejechawszy się po Polsce stwierdzić to, co podkreślane jest jednogłośnie w najbardziej nawet krytycznych dla obecnej rzeczywistości ocenach: że mianowicie gospodarczy rozwój zniszczonego kraju robi zdumiewające postępy.

Była Polska przed wojną krajem biednym. Jak to określał nieraz zmarły przed kilku miesiącami Jan Horodyski, osobliwy mędrzec o wyglądzie Buddy, który sam o sobie lubił mówić, że jest jak stary rabin (wszyscy do niego chodzą po rady i nikt ich nie słucha): „Szczypta soli z Wieliczki, kilka szklanek nafty w Borystawiu, garść sandomierskiej pszenicy, parę worków węgla śląskiego, wianuszek grzybów podlaskich, trochę desek, trochę bełek — a reszta to już tylko krew i pot polskich ludzi. Doświadczenie uczy, że wiele więcej krwi, niż potu”.

Od roku 1939 Polska poddana została zniszczeniom wojennym bez precedensu; trzykrotnie w ciągu pięciu lat wojny była placem boju i drogą przemarszów największych armii świata, przeżyła pięć lat rujnującej okupacji i rewolucję wewnętrzną. Spalono jej stolicę, kilkanaście miast i kilka tysięcy wsi. Oblicza się w dodatku, że mniej więcej ze 12 milionów ludzi w Polsce, czyli połowa jej obecnych mieszkańców zmuszona została wypadkami do zmiany miejsca zamieszkania, z częściową lub całkowitą utratą dobytku.

To przypomnienie dopiero wyznacza miejsce startu, w jakim znalazła się Polska trzy lata temu, rozpoczynając odbudowę w porównaniu z innymi krajami Europy, (z wyłączeniem Niemiec i Rosji) od mniej niż zera — od ruin, chaosu i beznadziejności,

*) W roku 1934 napisałem jednak na zamówienie Ignacego Matuszewskiego studium o sytuacji gospodarczej w Japonii, osiemnaście artykułów, drukowanych w „Gazecie Polskiej” i wydanych w roku 1935 nakładem Tow. Polsko-Japońskiego pod tytułem „Made in Japan”.

od zupełnego zwątpienia we wszystko, co sprawiedliwe i stałe na świecie, od krachu tysiąca złudzeń i przewrócenia istniejącej skali wartości, od nędzy, od emmentary, od liczenia nieopisanych strat w ludziach, w majątku narodowym, w stanach swego biednego posiadania i w stanie umęczonych wszystkimi dopustami nieszczęść i przeciwności zbiorowej duszy narodu.

Obecne na każdym kroku zwaliska, opowiadania ludzi, skaczące do oczu cyfry niedostatków oraz znajomość drogi krzyżowej, jaką społeczeństwo polskie przebyło od dnia 1-go września 1939 po ostatnie lata, stanowi przejmująco wymowny kontrast z obecnym zrywem pracowitości, dynamiką rozrostu, pędem do życia i tempem posuwania się naprzód. Jest jednym z ważnych i zastanawiających zaskoczeń dla każdego, kto przybywa z zewnątrz. Zaskoczeń zresztą jest więcej w miarę, jak wgłębiać się w poszczególne działy nowych metod gospodarki, jaka dziś w Polsce święci swoiste triumfy. Nie wszystkie zresztą zadawalniające. Ale gorliwość udziału społeczeństwa w odbudowie i produkcji stanowi najważniejszą przyczynę osiągnięć na tym odcinku. Jest rzeczywistym motorem postępu gospodarczego Polski.

Po przyjrzeniu się z bliska funkcjonowaniu tej nowej maszyny wynika jednak jasno, że siłą kierującą jej działaniem jest talent, energia i bezwzględność jednego człowieka — określa się go niekiedy jako najwybitniejszą umysłowość po tej stronie żelaznej kurtyny. Nazywa się Hilary Minc. W Polsce pod względem ekonomicznym panuje wszechwładnie nie żaden marksizm, ale *mincyzm* — powiedział mi jeden z ekonomistów. Dlaczego? Bo Minc reprezentuje realizację. Eksploatuje ludzi do szpiku kości. Traktuje każde zamierzenie jako zadanie do wykonania.

Otoczony sztabem wybitnych wykonawców dba o to, aby plany nie zostawały na papierze; wchodzi od razu w życie. Nie jest łatwy dla ludzi poddanych naciskom jego wymagań, muszą się wykazywać efektami swojej pracy i swoich uprawnień.

Przypomnieć tu jednak trzeba, że minister Przemysłu i Handlu dysponuje dziś władzą i egzekutywą, jakiej żaden przed nim w Polsce nie posiadał. Że system jest dyktatorski i z wyjątkiem partyjnych zebrań na wysokim szczeblu, nie dopuszcza dyskusji nawet. Że kierownictwo jest centralne, plan wykonywany zgodnie z dyrektywami polityki ogólnej po linii obowiązującej doktryny, której odchylenie nie wolno tolerować. Rozporządzając prerogatywami władzy absolutnej można, rzecz prosta, zdobywać się na osiągnięcia w terenie i pośród ludzi, poddanych jej wpływom, zwłaszcza że przecież posiada się na zawołanie aparat, wymierzający doraźne i bezlitosne sankcje tym, którzy nie chcą się podporządkować wymogom kierownictwa.

Minc nie naśladuje ślepo, próbuje znajdować własne, doświadczeniem w Rosji podbudowane rozwiązania, upraszczając, przystosowując i stosując ulepszone podejścia do tych samych zadań i zagadnień, z jakimi mocowała się Rosja nakładem kosztów niewspółmiernie wysokich, a ponoszonych przez własnych jej

obywateli, którzy przy wielu sprzecznych ze sobą próbach organizowania «społeczeństwa bezklasowego», traktowani są zgodnie z założeniami materializmu, jako króliki doświadczalne. Nie ulega niestety wątpliwości, że to podejście przeniknęło dziś i w życie polskie; powiedziałem już jednak, że ustrojowa a także gospodarcza rewolucja w Polsce posiada jak dotąd formy znacznie łagodniejsze, niż to miało miejsce w Sowietach.

Charakteryzuje stosunki życia gospodarczego w Polsce także wyższy przeciętnie poziom fachowy ludzi; rewolucja w Rosji trwała zbyt długo i wyniszczyła zbyt wiele inteligencji. Gdyby pod tym kątem porównywać obecny stan organizacji gospodarczej w Polsce z rosyjskim, można by sięgnąć od razu do okresu między 35 i 38-mym rokiem czyli blisko dwudziestu lat po rewolucji, która w Polsce liczy ich ledwo cztery — tyle to czasu było Rosji potrzeba dla wyrobienia sobie nowego narybku specjalistów. Można w tym miejscu podkreślić także istnienie w Polsce specjalnego typu rewolucjonisty. Człowiek-dynamit, więc burzyciel albo podburzacz staje się w krajach pod sowieckimi wpływami nieaktualny — rezerwuje się jego talenty dla przeciwników kapitalistycznych; tu natomiast działa i pracuje inny rodzaj: tzw. człowiek-cement, czyli raczej typ konstruktywny.

W rozmowach z owymi „cementami” spotyka się coraz to przechwałkę, że ostatecznie Polska odbudowuje się bez pomocy krajów kapitalistycznych.

Jak to wygląda w praktyce?

Od zakończenia wojny Polska otrzymała następujące pomocy z zagranicy: Od Stanów Zjednoczonych: Pomoc U.N.N.R.A. — 477 milionów dolarów.

Kredyty: Od Stanów Zjednoczonych: — Export-Import Bank: 50 milionów tzw. kredytu surplusowego, na towar z demobilu. Pożyczka kolejowa: 40 milionów dolarów.

Od Wielkiej Brytanii: Kredyt surplusowy: w wysokości 6 milionów funtów. Gwarancje kredytu eksportowego: 6 milionów funtów.

Od Z.S.S.R. Kredyt inwestycyjny: w wysokości 450 milionów dolarów (do wykorzystania w latach 48-49).

Od Szwecji: Kredyt towarowy: 18,600.000 koron.

Ponadto szereg kredytów towarowych o mniejszych rozmiarach, a związanych z wywozem węgla otrzymała Polska od Francji, Szwajcarii, Włoch, Danii itd. Według ostatnich obliczeń w statystyce Narodów Zjednoczonych ogólna suma kredytu i pomocy, otrzymanej przez Polskę od wszystkich krajów, wynosi 1 miliard 156 milionów dolarów.

Co Polskę zbawiło? Co pozwoliło jej gospodarce ruszyć? Węgiel. Bogactwa śląska. A w związku z tym przypomnieć należy przewrót w gospodarstwie narodowym, spowodowany wciele niem do Polski Ziemi Odzyskanych.

Dzisiejsza Polska 310 tys. km², plus Czechosłowacja—120 tys., reprezentuje razem obszar 430 tys. km. kw., czyli większy niż obecne Niemcy, mające ich tylko 356 tys. Ale co ważniejsze, ten zespół dwu krajów, posiadających Zagłębie Morawskie i cały Śląsk, jako ewentualną przeciwwagę dla Ruhry, stanowi największy ośrodek przemysłowy na kontynencie. W przedwojennej sytuacji rozdział Śląska na 1/3 polską i 2/3 niemieckie, nie pozwalał na pełne ani planowe wykorzystanie jego bogactw i możliwości rozwoju. Dla kraju sytuacja dzisiejsza mogłaby reprezentować rzecz prosta kolosalny interes. W związku z tym Polska w obecnych granicach może być uważana za jeden z gospodarczo najlepiej zrównoważonych organizmów państwowych na świecie. Osiągalny jest bowiem niedościgły dla Polski przed wojną ideał, polegający na rozładowaniu nadmiaru ludności wiejskiej do poziomu 50 proc. mieszkańców, drugiej połowie obywateli rezerwując życie w miastach i pracę w przemyśle. Przekształca się też w związku z tą możliwością struktura ludności; zawodowe szkoły przygotowują dzisiaj około pół miliona młodzieży na majstrów i techników przemysłowych, na których istnieje stałe zapotrzebowanie w rosnącym przemyśle.

Powiedziałem, że gospodarczo Polska jedzie na węglu. Ale do węgla dodać trzeba pracę jej ludzi, aby uzyskać pełny obraz naturalnego bogactwa, który pozwolił ruszyć. Pieniądz stanowi jedynie środek, ułatwiający wymianę towaru i usług; nie jest granicą możliwości inwestycyjnych, który reprezentują wyłącznie środki materiałowe i wytrzymałość rynku pracy. Bywa przecież że kredyty inwestycyjne nie są wyzyskane, ponieważ zawiódł cement, drzewo, czy stal — ale nie zdarza się, aby planowana budowa ucierpiała na jakimkolwiek odcinku z powodu braku pieniędzy (choć przy obecnej biurokracji zdarzają się zaległości w przelewach, wypłatach i nawet wielkim instytucjom ciężko bywa z gotówką).

Informują mnie specjaliści, że rentowność, wyrażona pieniądzem nikogo nie interesuje, gdyż dochód liczony jest ilością wyprodukowanych dóbr materialnych, a nie miarą, czy warsztat, albo fabryka, albo, w ostatnim podsumowaniu, państwo, odrzuca zyski, będące w krajach kapitalistycznych zapisywaniem w książkach jakichś sum (sam sobie muszę dopowiedzieć, że ostatecznie sumy te także reprezentują możliwość przetłumaczenia ich na towar). Ale ważniejszym i bardziej podstawowym twierdzeniem jest to, że potencjał gospodarczy przestał być własnością poszczególnych ludzi, bo zastąpiło go w tym posiadaniu państwo. Co znowu prowadzi do zastanowień, czy przypadkiem różnica między kapitalizmem i socjalizmem nie jest bardziej nomenklaturowa, niż pojęciowa?

Ale zaraz wyliczą mi inne awantaże systemu: kolejność potrzeb w krajach kapitalistycznych nie może nigdy ściśle być określona, planowanie natomiast w obecnym świecie tysiąca sprzeczności, określając tę kolejność naukowo, wprowadza znaczną oszczędność na pracy i materiale, jest jedynym sposobem

uniknięcia kryzysów itd. ale już w dalszym rozwoju drogi, prowadzącej według tych założeń naprzód.

Rozmowa z ich wyznawcami, którzy na przekonanie wątpliwych albo sceptyków mobilizują wszystkie argumenty teorii Marksa, przypomina nieco akademickie dyskusje, albo tzw. w Ameryce „forum”, gdzie reprezentanci różnych poglądów na dany temat, próbują jeden drugiego zapędzić w kąt wyższością swoich zdań, względnie doświadczeń. Zwycięstwo w takiej rozprawie zależy jest w dużej mierze od zręczności operowania słowem, przytaczania w porę argumentów i posiadania w zanadrzu dowodów praktycznej słuszności swego stanowiska. Tutaj natomiast praktyka zastępowana jest wiarą. Determiniści nowej szkoły są pewni swego.

Rzecz jednak polegać musi na posiadaniu jednego tylko ośrodka dyspozycji, bez posiadania którego o planowaniu w polskim obecnym pojęciu nie może być mowy. Jest to zresztą konsekwencja przemiany politycznej w Polsce i jedno z jej podstawowych założeń. Bowiem metodę, prowadzącą do tego celu posiada właśnie socjalizm. Planowanie pociąga nowe formy więzi społecznych. Treść jej jednak, a w rezultacie podsumowanie sensu, wyraża się dla mnie w odpowiedzi na pytanie, czy ludzie dobrze się w niej czują, czy nie? Czy właśnie przypadkiem nie zabardzo więzi, zamiast, jak to szumnie powiedziane jest w Manifestie Lipcowym PKWN: „likwidować system wyzysku człowieka przez człowieka”, skoro zastępuje się go wyzyskiem człowieka przez olbrzymi i już niemal anonimowy aparat maszyn państwowej. Jest to bowiem zastąpienie jednej formy możliwych nadużyć inną i pewno surowszą, bo dokonywaną w ciśnień gorsecie przymusu już planowego. Nim jednak dowiem się, jak wygląda w zestawieniu z postępem gospodarczym postęp życia ludzi, pracujących dla jego dokonania, wybrałem się na rozmowę z jednym z pianistów z zamiarem wyjaśnienia sobie odrębności polskiego planowania w porównaniu np. z Rosją Sowiecką.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Polska dzisiaj stoi w obliczu ukończenia planu trzyletniego i że startuje po jego ukończeniu z planem sześciolletnim, którego opracowania dokonuje się w obecnej chwili. Uchwalenie zaś przewiduje się jesienią 1949 roku. Jego to treść, kierunek i zamierzenia odpowiedzą nam na wiele wątpliwości, wyjaśnią wiele zagadnień i pozwolą na lepsze zobaczenie celu dzisiejszych przemian.

Pierwsza rosyjska piatiletka poświęcona była budowie ciężkiego przemysłu, druga — przemysłowi konsumpcyjnemu, trzecia — przemysłowi ciężkiemu i wojennemu. Trzyłatką polską objęła wszystkie dziedziny życia gospodarczego, nie odznacza się jednostronną specjalizacją, polegającą na uprzywilejowaniu pewnych odcinków na niekorzyść innych. *) „Wobec wysokiego

*) Założenia polityczne, które nie wymagają od Polski poświęcenia całego wysiłku na budowę ciężkiego przemysłu, interpretowane są przez obserwa-

poziomu potrzeb nie można było prymityzować; starano się rozwijać proporcjonalnie do potrzeb każdej gałęzi produkcji. Co więcej, plan, przypadający na okres wojenny, musiał łączyć trzy założenia: odbudowę, przebudowę i budowę. Ponieważ chodziło o to, aby w ogóle ruszyć z miejsca, naczelnym problem stanowiły sprawy komunikacji, szczęśliwie już i skutecznie przewyżnione. Trudno jednak rozdzielić w wynikach, podawanych cyfrowo, odbudowę od rozbudowy, a ponieważ pierwsza wymagała w Polsce ogromnych wysiłków i nakładu pracy, wskaźnik uzyskanej produkcji nie oddaje prawdziwego dokonania. „Nawet biegnąc równoległe do przedwojennych wyników, zostajemy w tyle; zbyt wiele trzeba robić dzisiaj, nadrabiać”.

Plan trzyletni (47, 48, 49) powstał poza tym bez oparcia o ściśle dane, bo ich nie było; zrodzono go z intuicji bardziej jeszcze, niż z doświadczenia. Dziś jest inaczej — istnieje już bowiem oparcie o fakty; nie potrzeba zgadywać, można liczyć.

W związku z tym istnieje coraz większe uprawdopodobnienie planowania, czego na początku nie było sposobu sobie zapewnić. Dodajmy do trudności i przeszkód w pierwszej fazie, płynność elementu ludzkiego, który wydawał się jak zupa w kotle, dobrze zamieszana kopyścią i jeszcze nie całkiem osiadła — dziś ludzie zapuścili korzenie, są łatwiej uchwytli, można ich objąć i doścignąć cyframi...

W Rosji — przypomina mój informator — wypracowuje się plan na podstawie dwóch projektów, odgórnego i oddolnego (t. zw. wstreczny plan), który wychodzi z terenu; apetyt dołów zawsze przekracza możliwości, ale góra posiada cyfry kontrolne i w ich ramach wyznacza kierunek; z tych dwu zamiarów powstaje dopiero synteza. Podobny system wprowadza się i w Polsce; zaczyna on jednak działać dopiero w przemyśle; wieś, będąca dotąd jedynie w 10 proc. własnością państwa (komunikacja np. w 100 proc.) jest o tyle trudniej uchwytana; poza tym przecież Pan Bóg nie współpracuje z C.U.P-em (Centralny Urząd Planowania); siła wyższa może więc pokrzyżować planowany plan. Ale nawet tę siłę należy przewidzieć, mówią moi C.U.P-owcy — „Możemy przecież ziemię zmusić do powiększenia wydajności przez umaszynowanie wsi”. I to też planuje się właśnie w granicach możliwości dostarczenia rolnictwu maszyn. Bo czymże jest planowanie, jak nie systemem, według którego dana przyczyna powinna dać oczekiwany skutek? I to stanowi sprawdzian jego prawidłowości. „Nauczyliśmy się w pierwszym okresie dużo” — mówią. Jest rzeczą pianisty przewidzieć czy istnieje pokrycie jego spodziewań. „Ale nie należy przypuszczać, że wszystko trzeba upaństwowić w tym celu. W przypadku spół-

torów sytuacji z szerszego punktu widzenia, tym, że nie leży w interesie Rosji budowa na terenach, będących wojskowo dla niej tylko przedpoiem, wielkich koncentracji przemysłu. Poglądowi temu zaprzecza jednak takie np. zjawisko jak planowana budowa wielkiej huty na Śląsku. Toteż trzeba by poddać rewizji pokutujące nieraz zagranicą opinie na temat przyczyn odmienności polskiego planowania w porównaniu z sowieckim.

dzielni np. nie zysk państwa przecież, a zaspokojenie potrzeb ludności stanowi cel i zasadę”. Planistów nie tworzy się drogą uczelnianą, jest to fach i specjalność nowa, która wymaga przede wszystkim praktyki. „W takiej Francji na przykład znajdzie pan sporą literaturę, poświęconą zagadnieniom planowania, Ale planu nie ma. W Polsce jest akurat odwrotnie: tam się pisze, a tu się robi...”

Co do nas, uznajemy bezwzględną wyższość formy gospodarki planowej nad nieplanową. *) Na początku rzecz prosta robiliśmy plan jedynie ilościowy; dzisiaj obchodzi nas w równej mierze zagadnienie jakości. Także sprawa wydajności pracy — przewidujemy premie za zmniejszający się procent braków, za pomysły itp. Nie ma działu życia gospodarczego, którego byśmy nie uwzględniali.”

Skoro już mowa o planach, powiedzmy o innym jeszcze, a mianowicie o planie Marshalla.

Polska nie przyjęła pomocy, proponowanej w jego ramach. Pierwsze wypowiedzi jej ambasadora w Waszyngtonie, a nawet samego premiera wskazywały wprawdzie, że gospodarczo propozycja ta była dla Polski interesująca, co więcej była potrzebna. Ale potem przyszła, narzucona względami politycznymi i przymusem uzgadniania tych założeń z interesami Rosji, rewizja wspomnianego stanowiska; gospodarcze wpływy Ameryki poza żelazną kurtyną nie były pożądane; odrzucono więc wyniosłym gestem amerykańską ofertę.

W rezultacie na froncie gospodarczym w Polsce, na którym coraz to znaczący wpływ politycznych względów w planowaniu, w kierunkach uprzemysłowienia i przebudowy jej ekonomii od samych podstaw, toczy się także walka jej planu z planem Marshalla, określonym przez rodzimych satyryków jako „strachy na ruble”.

Oficjalne sformułowanie negatywnego stosunku polskiej polityki gospodarczej do tego strachu, brzmi jak następuje:

„Polska uważa, że pomoc Stanów Zjednoczonych dla Europy opiera się na fałszywych przesłankach gospodarczych, gdyż stanowi ona przede wszystkim pomoc konsumpcyjną i nie wzmacnia wskutek tego potencjału produkcyjnego krajów odbiorczych. Ponadto, opierając się w pierwszym rzędzie na rozbudowie przemysłu Niemiec Zachodnich, dąży ona do przywrócenia tej koncentracji przemysłowej, jaka istniała przed wojną na terenie Niemiec, przeciwstawia się zatem zasadzie nowej struktury gospodarki europejskiej — struktury koniecznej zarówno

*) Już w początku trzydziestych lat jednak idea planowości podlegała poważnej krytyce nawet w Rosji. Znana jest treść memoriału, złożonego w komisariacie ciężkiego przemysłu, gdzie powiedziane było między innymi: „Plan i kalkulacja gospodarcza nie są do pogodzenia; im lepiej zorganizowane jest planowanie, w im większej mierze plan jest szczegółowy i zróżniczkowany, tym mniej miejsca pozostaje dla operacyjnej samodzielności i kalkulacji gospodarczej...”

Ale planowało się mimo to i postępuje nadal według założeń planu.

dla podniesienia potencjału gospodarczego i poziomu życiowego całego kontynentu jak i dla zabezpieczenia Europy przed nową agresją Niemiec. Niezależnie od tego Polska uważa, że warunki narzucone przez Stany Zjednoczone zachodnio-europejskim odbiorcom pomocy E.R.P. *godzą w ich suwerenność polityczną i gospodarczą* (podkreślenia moje). Polska uważa, iż jakkolwiek pomoc dla Europy posiadająca charakter prawdziwie obiektywnej winna wychodzić z założeń nowej struktury gospodarczej kontynentu, winna zabezpieczać kontynent ten przed nadmiernym wzrostem potencjału gospodarczego Niemiec w stosunku do innych krajów europejskich i nie powinna zawierać *żadnych warunków politycznych czy gospodarczych ograniczających suwerenność innych krajów*”.

Trudno nie dopatrzeć się w takim sformułowaniu odbicia politycznego konfliktu, jaki dziś dzieli Europę na dwa wrogo do siebie ustawione obozy. I dopiero po stwierdzeniu takiego stanowiska nabierają pełni wyrazu cyfry przywozu i wywozu Polski, wykaz umów handlowych, zawartych w r. 1947 i 48, które poza krajami będącymi pod wpływem sowieckim dają Polsce mimo wszystko powiązania gospodarcze z Danią, Irlandią, Holandią, Szwecją, Francją, Włochami i W. Brytanią, oraz statystyki polskich obrotów handlowych.

Jeżeli założyć, że cyfry, otrzymane z oficjalnych źródeł reprezentują rzeczywisty stan rzeczy, uderza w statystykach, że Polska sprowadza z krajów najbardziej przemysłowo rozwiniętych tylko surowce. Jest to zrozumiałe w przypadku Stanów Zjednoczonych, które nie dają licencji eksportowych na maszyny czy towar, który by służył do powiększenia potencjału przemysłowego politycznej strefy, w której dziś leży Polska.

Ta jednostronność przywozu stanowi niewątpliwy handicap dla planów szybkiego uprzemysłowienia Polski i umaszynowienia wsi.

Objawy braku środków technicznych widać zresztą, chociażby przy odbudowie Warszawy, gdzie jeden buldożer mógłby łatwo wykonać pracę setek, może tysięcy ludzi, którzy szuflami i łopatami odgarniają gruz i noszą cegły, po jednej w każdej ręce.

Dopiero jednak od połowy 1946 r. nowa Polska, której wstępny okres cechowała doraźna potrzeba zapewnienia sobie żywności i surowca i której wymiana ograniczała się prawie wyłącznie do stosunków z Rosją Sowiecką, wyczerpując 100 proc. jej obrotów handlowych z zagranicą, poczęła rozwijać się i obejmować także dalszych sąsiadów, korzystać z pomocy między-alianckiej, oraz rozszerzać „wachlarz kontrahentów i wachlarz dostaw wzajemnych”.

Zamiast Niemiec i Anglii, które przed wojną zajmowały w obrotach tych pierwsze miejsca, figurując po stronie przywozu cyframi z 19,2 proc. i 12,3 proc. udziału, a po stronie wywozu zrównując je prawie na poziomie 19,5 proc. i 19,3 proc., na pierwsze miejsce w obrotach Polski wysunęła się Rosja So-

wiecka, osiągając 26,4 proc. w przywozie i 28,6 proc. w wywozie. Po Rosji drugie miejsce zajmuje Szwecja (9,1 proc. w przywozie, 16,8 proc. wywozu) trzecie Dania (10,3 proc. przywozu i 5,7 proc. wywozu) czwarte Wielka Brytania (8,9 proc. przywozu i 5,5 proc. wywozu). Następnie idą Francja, strefa sowiecka Niemiec i Bułgaria. Stany Zjednoczone figurują z poważnym udziałem 13,4 proc. jedynie po stronie przywozu.

Ostatnio doszło do porozumienia między Polską i Argentyną, której Polska w wyniku traktatu handlowego dostarczy 3 miliony ton węgla, wzamian za niewyprawione skóry. Ponadto Polska uzyskała kredyt w wysokości 5 milj. dolarów, oparty na zasadzie wzajemności. Suma przewidzianych obrotów handlowych wynieść ma ok. 150 milj. dol. Podobnie z Belgią zawarta została umowa, dająca Polsce za węgiel maszyny górnicze.

Strategia gospodarczego planu, także w dziedzinie handlu z zagranicą jest monopolem najwyższego kierownictwa w państwie. Znalazła się jak całe zagadnienie ekonomiczne, struktury Polski, jak gdyby na pierwszym miejscu ważności — sekrety jej, szczegóły i sposoby strzeżone są niczym najwyższe tajemnice polityki reżimu. To też odnosi się czasem wrażenie, że kulisy kuchni gospodarczej zastąpiły strzeżone przedtem w Polsce najwyższymi sankcjami karnymi, tajemnice wojskowe. Wojskowo Polska nie reprezentuje dzisiaj żadnej pozycji. Ekonomicznie jednak pozycja jej zdaje się wzrastać. Toteż najmniejsza niedyskrecja ze strony osób, współpracujących w sztabach gospodarczej rozbudowy Polski i jej handlu podpaść może pod kategorię zdrady, równej zdradzie stanu. Tędy bowiem przechodzi linia frontu w batalii o przebudowę struktury ekonomicznej świata, w walce z formami kapitalistycznymi, prowadzonej na innych odcinkach, robotą już wyraźnie polityczną i stanowiącej niezależny element konfliktu Rosji z całym Zachodem.

Wykrywa się jeszcze niejedne sprzeczności czy niekonsekwencje w zajmowaniu stanowisk, niejedne kompromisy w stosowaniu nowych zasad, ale ogólna linia rozwoju prowadzi do zaostreżenia form tego konfliktu wykazywaniem wyższości systemu, który, zgodnie z założeniami doktryny, szuka sposobów doprowadzenia do bankructwa kapitalizmu, jako „przeżytku” dotąd jednak będącego podstawą potęg Zachodu, choćby skazany był w przekonaniu tutejszych ideowców na nieuchronną zagładę.

XX.

Dwie inicjatywy i robotnik

Jednym z odcinków walki o nowy ustrój jest tocząca się dzisiaj rozprawa z tzw. Inicjatywą Prywatną. Przewiduje się zupełną jej likwidację do r. 1950. Jest to prosty wynik planu, który zakłada m. in. eliminację indywidualnych pośredników, to

jest tych, którzy nie wytwarzają, a żyją według ulubionej definicji reżimowej z „przechwytywania” dóbr, czyli z handlu, albo tych, którzy próbują utrzymać się na marginesie wszystko wchłaniającej maszyny planu. Ludzie tej kategorii dążyli poza tym do produkowania dóbr konsumpcyjnych, szybko się rentujących, byli więc z punktu widzenia marksistów rozsądnymi bakcyllami kapitalizmu, porastali też szybko w pieniądź, wybijając się i reprezentując siłę, której socjalizm nie może tolerować. Z argumentem tej konieczności najtrudniej dotrzeć, rzecz prosta, do zainteresowanych. Zarzucają państwu niedocenienie wartości jaką także dla niego reprezentuje interes osobisty człowieka.

Państwo przez usta swoich specjalistów odpowie na to: w naszym systemie te siły nie grają roli. System bowiem reprezentuje taką siłę *zbiorową*, że zaniedbania wynikłe z ewentualnego niedoużytkowania indywidualnych potencjałów gospodarczych okazać się muszą śmiesznie nieznaczne. Zastąpimy je o wiele skuteczniej niż przypuszczają, nawet gdyby chwilowo wynikała z pomijania ich obecności szkoda.

Sfery techniczne doszły do zrozumienia tego o co chodzi — mówi mi któryś z entuzjastów tej likwidacji i gloryfikator pracy zespołowej — ludzie zawodów wolnych przystosowują się najtrudniej.

Dobrze to rozumiem, bo jeszcze wczoraj słyszałem rozmowę człowieka reżimu z przedstawicielem owych zawodów, która brzmiała następująco:

- Czy pan należy do partii?
- Nie należę.
- To źle. Powinien pan mieć jakiś wyrobiony pogląd.
- Właśnie dlatego że mam, nie należę.

I jak tu z takimi gadać?

Co jednak jeszcze osobliwsze, w społeczeństwie, w którego reżimowym interesie robi się przecież tę likwidację, mówiąc, że nie jest sprawiedliwą rzeczą, aby w czasie gdy jedni ledwo zarabiają ciężką pracą na biedne życie, drudzy dorabiali się majątków, ponieważ mają spryt i szczęście w interesach, ogół nie zdaje się rozumieć tego systemu i oburza się na jego praktyki. Tak było np. w okresie polowania na spekulantów, gdy nagle zabrakło masła, mięsa i innych towarów pierwszej potrzeby i kiedy szukano winnych między ludźmi, robiącymi zapasy. Powiewy paniki wojennej, przemiatające od czasu do czasu zdenerwowane społeczeństwo, prowadzą oczywiście do normalnej i aż nadto zrozumiałej manii ciułania środków żywnościowych — w rezultacie wywleka się komuś spod łóżka 30 kg. cukru, albo stwierdza, że ma pełną spiżarnię i robi z niego przestępce wobec społeczeństwa, fotografuje, ogłasza w gazecie i zsyła do obozu pracy. Ponieważ nikt nie czuje się bez winy, jeśli nie nawet jako sprawca podobnego przestępstwa, to w każdym razie jako odczuwający ku magazynowaniu żywności znaczne tendencje, zostawiają te doświadczenia przykry osad w duszy: już na-

wet do garnka zagląda kontrola państwa, pod łóżko włazi, jeszcze trochę — może do łóżka zajrzy?

Łatwiej to także zrozumieć po przypomnieniu, ile ci sami ludzie przeszli w okresie wojny, wyzuwani raz po raz z całego dobytku, z wszystkiego dostatku i dorobku. Nauczeni owymi przejściami przewidują dzisiaj na zapas najgorsze rzeczy i właśnie ze względu na nie robią zapasy... Do odczuwania niepewności życia, przed jaką zabezpiecza się każdy jak umie, jak może i jak mu na to pozwala sytuacja, dodać należy brak poszanowania własności prywatnej i elastyczność prawa, które niczego nie chroni, bo w zależności od potrzeb interpretowane jest zwykle na niekorzyść prywatnego człowieka — w imię interesu zbiorowości właśnie, której na imię państwo.

Wywarza to podejrzliwość i wzmacnia pretensje do reżimu. Prowadzi do takich paradoksów, jak ten który poraził w Warszawie właścicieli domów niezniszczonych. Okazało się bowiem, że tylko dom *zniszczony* reprezentuje jeszcze w dzisiejszych warunkach interes dla posiadacza jego ruin. Istnieją dla niego znaczne ułatwienia, jako zachęta by go odbudował; może w nim sprzedać już naprzód mieszkanie (trzy pokoje z kuchnią za jakieś półtora miliona złotych). Wyłączony został spod przepisów ustawy, która w kamienicach niezniszczonych przez wojnę wyznacza sztynny i niewiele ponad przedwojenne stawki sięgający czynsz, podczas kiedy wszystkie świadczenia związane z utrzymaniem domu mocno wzrosły. Kiedy zaś inną ustawą podniesiono ogromnie taryfę czynszową dla tych lokatorów, którzy nie podpadają pod kategorię urzędników państwowych, względnie ludzi, wykonujących prace w jakiś sposób związane z interesami państwa, 95 proc. tej wymierzonej w sektor prywatny podwyżki polecono pobierającym czynsze właścicielom wpłacać na Fundusz Odbudowy. Omija więc ona kieszeń nieszczęsnych posiadaczy domów, które się cudem ostały.

Przykład ten stanowi ilustrację zjawiska, że ułatwienia służą jedynie tym prywatnym właścicielom i przedsiębiorcom, których wysiłki korzystne są dla zadań odbudowy; dom stojący i cały nie reprezentuje już obiektu troski ani zainteresowania ze strony państwa, nie dba się też bynajmniej o to, by wartość jego dla posiadacza rosła; byłoby to sprzeczne z antykapitalistycznym nastawieniem reżimu. Dąży się przecież raczej do zniechęcenia go w uporze trzymania się swojej nieruchomości. To też ludzie odczuwają coraz dotkliwiej ciężar kłopotów i kosztów, o jakie przyprowadza ich w obecnym systemie każda znaczniejsza własność; przestaje się też po prostu opłacać jej posiadanie; nie wróżą sobie bynajmniej szans, aby ją mogli utrzymać. Co znowu zgodne jest z zamierzeniami rządu.

Z dnia na dzień np. uchylono dekret, że ci, którzy sobie spalone mieszkania odremontują, wolni są od «dokwaterowania». Według ustawy, na głównego lokatora przypada 10 m² powierzchni, dla żony 5 m². Inżynier, lekarz, profesor ma prawo do «drugiej izby dla wykonywania swego zawodu», ale i ci muszą

go nieraz bronić przed gorliwością komisji «zageszczających». Robi się ludziom w związku z tym nieraz bardzo ciasno.

Rząd próbuje też wyleczyć ludzi z rozpowszechnionej dzięki wojnie manii handlowania — założył 85 domów towarowych w większych miastach. Skarżą mi się inicjatorzy tych posunięć na brak orientacji w masach, że się to wszystko dzieje dla ich własnego dobra. Cytują przykład: Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego postanowił rzucić na rynek pewną ilość materiału, sprzedawanego po cenach sztywnych — iks. Materiał został w mig rozchwytywany przez tzw. sektor prywatny, czyli spekulantów, sprzedających go publicznie za cenę 10 razy iks. Zażądano od kupców spisania umowy zbiorowej, pozwalającej im na zarabianie 30 proc. powyżej ceny kupna. Spekulantów, schwytanych na gorącym uczynku brania więcej, zamknięto. Państwowe domy towarowe mają ich ostatecznie wyręczyć w tym zbyt natarczywym pośrednictwie, w którym zastępują ich także spółdzielnie. Cały naród, w imieniu i w interesie którego zostało zrobione to pociągnięcie, zawrzał oburzeniem. A przecież chodziło tylko o eliminację pijawek, żyjących jego kosztem...



O postępkach w sytuacji człowieka pracującego dzisiaj w przemyśle mówią inni. Dają porównania: W lutym 45 r. robotnik zarabiał 1800 zł. miesięcznie, kg. słoniny kosztował 500 zł. Dziś kg. słoniny kosztuje 350 zł., zarobek podniósł się i nadal podnosi (cel wyznaczony polityce płac, to podniesienie siły nabywczej zarobków ponad 100 proc. przedwojennych). Od tamtego okresu, gdyby za porównanie wziąć siłę nabywczą pieniądza w stosunku do owego kg. słoniny, podniósł się 30 razy. To wszystko nie zmienia faktu, że przeciętny zarobek robotnika jest niski, chociaż zamiana energii potencjalnej, zawartej w człowieku wzrasta, dzięki pomnożeniu środków produkcji. Część tego wysiłku obraca się w dobra konsumpcyjne, część świadczy się „do wspólnego kotła”, na dalsze pomnożenie środków produkcji. Innymi słowy wielki udział rezultatów swojej pracy robotnik oddaje na rzecz państwa. Ośladza mu się tę prawdę, czym tylko można; okazuje się jednak, że nie tak nie popłaca w Polsce, jak stawianie tej sprawy otwarcie.

Kiedy jeden z obecnych wice-ministrów, przemawiając na zebraniu robotniczym w Łodzi przyznał, że odbudowa Polski oparta jest w obecnej chwili na wyzysku klasy robotniczej, szczerość jego nagrodzona została burzą oklasków.

Obowiązuje według oficjalnych oświadczeń stosowanie jednolitej miary płac odpowiednio do udziału w procesie produkcji. Dla podniesienia tej wydajności zastosowano przyjęte z wzorów rosyjskich normy i premiowanie wszystkich dokonań nad normę. Podpędza się robotnika ku większym wysiłkom systemem współzawodnictwa pracy. W przemyśle włókienniczym np. normy, według indywidualnej wydajności każdej maszyny, wyrażane są bądź w ilości metrów materiału na godzinę, bądź w ilo-

ści kilogramów wełny na godzinę itd. Są jednak rodzaje pracy w których norm, a co za tym idzie współzawodnictwa pracy wprowadzić się nie da: te są płatne albo najgorzej (np. robotnicy podwórzowi) albo też najlepiej (wykwalifikowani robotnicy w fabryce sztucznego jedwabiu gdzie procesu przetwarzania się celulozy w jedwabne nici nie podobna przyspieszyć). Normy jednak nie są ustalane zbyt wysoko; większość robotników włókienniczych wyrabia około 150 proc. normy, — kto jednak nie dojdzie do 100 proc., otrzymuje jedynie stawkę godzinną bez premii. Cały ten system płac jest dość skomplikowany; obliczaniem pensji zajmują się specjaliści urzędnicy na podstawie danych, otrzymanych od kalkulatorów, co znów stanowi dodatkowe obciążenie przemysłu dużym aparatem biurokracji. *) Przodownicy, bohaterowie tego systemu, otrzymują wysokie premie, traktowani są jak pierwsi obywatele państwa, na niczym nie może im zbywać. Pech chciał, że pierwszy przodownik, górnik Pstrowski, polski Stachanow, wkrótce po osiągnięciu swoich rekordowych wyników, stanowiących ileś tam setek procent nadnormy w wydobywaniu węgla, zachorował ciężko na złośliwą anemię. Sprowadzono mu samolotem zagranicznych specjalistów; potrzebował transfuzji krwi w wielkich ilościach — odkomenderowano dla tego celu batalion wojska, aby miał jej ile chce na zawołanie. Pogrzeb jego był wielką manifestacją państwową. Złożono na jego trumnie przeszło 200 wieńców. Te jednostkowe wyczyny stanowią przykład do naśladowania dla innych, ale wprowadzają do fabryk i warsztatów nerwowość pośpiechu, zrywanie sił i odbijają się raczej źle na jakości produkcji. W związku z istniejącym w niektórych jego gałęziach brakiem materiału, zbyt ni pośpiech i nadnormowe ambicje prowadzą do sytuacji, która stawia tej gorliwości niespodziewaną tamę.

Zjawiskiem odwrotnym choć o podobnych skutkach bywa

*) Z reportażu Stefana Kisielewskiego o przemyśle na Ziemiach Odzyskanych przytaczam następujące dane: Według tabeli płac wywieszonej w przygotowalni fabryki przemysłu lnianego „Orzeł” w Mysłakowicach pracownik wyrabiający 100 proc. normy otrzymuje miesięcznie 3.220 zł.; przy 120 proc. — 5.220 zł. przy 150 proc. — 7.608 zł. przy 180 proc. — 9.514 zł. Przódka w tkalni bawełny w Bielawie zarabia przeciętnie (przy około 150 proc. normy) — 7.000 zł. miesięcznie. Chłopak kontrolujący jedwab w Nowej Rudzie zarabia 2.200 zł. na 14 dni (około 5.000 zł. miesięcznie). W „Polskiej Wełnie” (Zielona Góra) podmajstrzy ma „fixe” 8.000 zł., „akordowi” tamże od 6.000 do 10.000 zł. W Nowej Soli (Zakłady „Odra”) pracownicy zgrzeblarni zarabiają przy wykonaniu 100 % normy 1.168 zł. na 2 tygodnie, przy 180 % — 3.995 zł. na 2 tygodnie. W nielarni tamże robotnik wyrabiający 200 proc. normy ma 4.439 zł. na 2 tygodnie itd. Zaznaczyć należy, że umowa włókiennicza oceniana jest zarówno przez robotników jak i przez dyrektorów jako specjalnie niekorzystna. Uprzywilejowani są robotnicy pracujący na zasadzie umowy budowlanej (fabryka jedwabiu sztucznego w Żydowinie), pracownicy jednej z dwóch czynnych w Europie fabryk szkieł optycznych w Jeleniej Górze, wreszcie zatrudnieni w Zakładach Zakładach „Mostostal”. — W tej ostatniej fabryce robotnik dniówkowy zarabia miesięcznie 6.000 zł., robotnik akordowy przy 150 proc. normy do 12.000 zł. Przodownik pracy, który osiągnął 320 proc. normy zarobił 19.000 zł. plus 3.500 specjalnej premii.

nadmiar produkcji, powodujący niebezpieczne dla organizacji zbytu przekroczenie planu i zakorkowanie jej towarem.

Praca wymaga więc takiego regulowania ze strony czynników odpowiedzialnych za produkcję aby nie doprowadzić do podobnych „wynaturzeń”; efekty współzawodnictwa komplikują w dodatku kalkulację i stwarzają szereg nowych problemów, oraz trudności, prowadzących do wniosku, że stosowanie tych metod jest w założeniu swym polityczne raczej, niż uzasadnione potrzebą gospodarczą. W ogóle zaś trudno opędzić się wrażeniu, że w Polsce dziś popyt warunkuje podaż, a nie odwrotnie.

Muszę jednak tu stwierdzić, że w fabrykach i warsztatach, w których byłem, nie dobierając ich zwiedzania programowo, ani według czyichkolwiek wskazówek, panuje nastrój w niczym nie przypominający atmosfery przymusu, względnie charakteru instytucji niewolniczej. Robotnicy pracują raczej chętnie. Istnieje w nich poczucie godności pracy, umiejętnie podsypane przez partię. Poza tym znaczny patriotyzm lokalny wobec swoich warsztatów i niemała duma z dokonani, zwłaszcza tam, gdzie je dźwignięta z ruiny. Biorą bo udział, często zresztą czysto teoretyczny, w wszystkich przejawach rozwoju swojej fabryki: system norm, wysokość stawek, uzależniona od procentowego przekroczenia tych norm wysokość premii dla „przodowników pracy”, wzrost produkcji fabrycznej, porównania z osiągnięciami innych — to wszystko wywieszone jest w salach fabrycznych na specjalnych tablicach; dba się o podnoszenie w robotniku świadomości związku z wynikami jego pracy i zagrzewa do dalszych wysiłków obietnicami ulepszeń na każdym polu. Służą tej sprawie także rozrastające się instytucje społecznych świadczeń dla robotnika i jego rodziny: wczasy, bezpłatne leczenie, żłobki, przedszkola, świetlice, bursy dla uczącej się młodzieży itp. Te są terenem indywidualnej inicjatywy, pomysłowości, a nawet dobrej woli poszczególnych dyrekcji. Rozpiętość różnic w dbałości o jego interes i w świadczeniach społecznych na terenie zakładów, w których pracuje, jest dotąd jeszcze wcale znaczna.



W budżecie polskiej rodziny robotniczej, wg. opracowań Głównego Urzędu Statystycznego z okresu między pierwszą i drugą wojną światową, żywność stanowiła 63,8 proc. rozchodów; odzież, obuwie i bielizna 10,9 proc.; komorne 6,4 proc. a następnie szły kolejno co do wielkości wydatków takie pozycje jak:

opał, światło — 4,5 proc.
kultura i oświata — 3,6 proc.
ubezpieczenia i podatki — 3,0 proc.
alkohol i tytoń — 2,4 proc.

Reszta wydatków, m. in. na urządzenie mieszkania, higienę i zdrowie, stanowiła 5,4 proc. budżetu.

Oblicza się, że poziom konsumpcji obecnie dochodzi do stanu z 27 roku.

Na zapytanie w jakim stopniu robotnik zatrudniony po wojnie w przemyśle państwowym lub znajdującym się pod państwowym zarządem, pokrywa swoje potrzeby z otrzymywanego za swoją pracę uposażenia; jak potrafi względnie może zmieścić się w ciasnych jego ramach; otrzymałem następującą oficjalną odpowiedź:

„1. *Żywność.* Wg norm przedwojennych — robotnik wydawał 63,8 proc. zarobku na wyżywienie swoje i rodziny.

Przeciętny zarobek pracownika w 1947 r. wyniósł 6191 zł. w gotówce plus 4.400 w naturze. W tej drugiej części uposażenia mieści się wyżywienie w stołówce zakładu pracy oraz przydziały, stanowiące co najmniej równowartość 1377 kalorii dziennie. (dane Min. Aprowizacji o wartości kalorycznej zrealizowanych w 1947 roku kart żywnościowych). Ciężko pracujący otrzymywali dodatkowo w ramach zaopatrzenia kartkowego 482 kalorie a np. górnicy zatrudnieni pod ziemią dodatkowo 1604 kalorie.

Biorąc za podstawę spożycie artykułów żywnościowych na jednostkę konsumpcyjną w ramach przeciętnego budżetu przedwojennego rodziny robotniczej oraz odliczając artykuły otrzymywane obecnie*) na karty zaopatrzenia, osoby znajdujące się na utrzymaniu pracownika (przeciętnie 1,13 osób) muszą dokupywać na wolnym rynku z górą miesięcznie:

9,0 kg. chleba	za 270 zł.
0,5 kg. kasz	„ 100 zł.
19,0 kg. kartofli	„ 224 zł.
3,0 ltr. mleka	„ 120 zł.
0,7 kg. tłuszczu	„ 315 zł.
1,5 kg. cukru	„ 270 zł.
5,0 kg. jarzyn i owoców	„ 300 zł.
0,3 kg. jarzyn strączkowych	„ 25 zł.
4 szt. jaj	„ 60 zł.
	1684 zł.
— przydziały kartkowe	125 zł.
Razem	1809 zł.

Jeżeli do tej sumy doliczymy 500 zł. na różnego rodzaju artykuły żywnościowe nieprzewidziane nawet w budżecie robotniczym przedwojennym, okaże się, że na *pełne utrzymanie* przekraczające 2400 kalorii dziennie na jednostkę, robotnik zużywa obecnie 37,8 proc. swoich zarobków plus oczywiście to, co dostaje w naturze. W rezultacie więc sytuacja podobna jest do przedwojennej.

*) W najbliższym styczniu (1949) wartość zaopatrzenia jaką robotnik otrzymywał dotychczas w naturze, przeliczona będzie wg. cen wolnorynkowych na gotówkę i wypłacana na rękę.

2. *Odzież, obuwie, bielizna.* Przed wojną 10,9 proc. budżetu robotniczego.

W 1947 roku posiadający karty zaopatrzenia dla pracowników otrzymali 3 m. tkanin wełnianych (przydział na 1 i pół roku) 8 m. tkanin bawełnianych, 1 parę obuwia oraz pewną ilość różnych artykułów dziewiarskich.

Różnica pomiędzy ceną przydziałową tych artykułów a rynkową mieści się łącznie z różnicą cen innych przydziałów jak żywnościowych i opałowych w części uposażenia, oszacowana na 4400 zł. miesięcznie.

Taką samą ilość obuwia i materiałów włókienniczych potrzebuje pracownik dla pozostałych członków rodziny, znajdujących się na jego utrzymaniu i musi ją zakupić na wolnym rynku. Robotnicza oraz koszty napraw łącznie pochłaniają w Polsce tyle samo co sumy wydatkowane na materiały i obuwie.

Wskaźnik kosztów odzieży i obuwia wg. G.U.S.-u wynosił w 1947 r. w stosunku do 1938 r. — 346.

Pracownik więc potrzebował w 1947 roku na odzież i obuwie dla siebie 346 razy więcej złotych niż przed wojną, mniej 1/4 tej sumy — stanowiącą równowartość rynkową artykułów, które otrzymał na karty zaopatrzenia. 10,9 proc. budżetu przedwojennego = 11,7 zł. $\times$ 259,5 = 3036 zł. czyli 49 proc. uposażenia gotówkowego.

3. *Komorne* — przed wojną 6,4 proc. budżetu.

Obecnie ceny w domach starych nie zmieniły się. W niektórych wypadkach lokatorzy ponoszą część kosztów obciążających przed wojną administrację domów. Łącznie, robotnik nie płaci przeciętnie więcej, jak 300 proc. komornego przedwojennego. Przy przedwojennym budżecie na komorne szło 7 zł. miesięcznie (na 2,34 osoby) — obecnie 21 zł. (na 2,13) czyli biorąc pod uwagę tylko gotówkową część uposażenia, — 0,35 proc. budżetu.

4. *Opał, światło* — przed wojną 4,5 proc. budżetu.

W 1947 roku każdy posiadacz karty I kat., a więc pracownik otrzymał 1200 kg. węgla.

Wskaźnik kosztów utrzymania rodzin pracowniczych wg. Głównego Urzędu Statystycznego dla opału i światła w porównaniu z 1938 r. wynosił 54. Dzięki przydziałowi węgla, pracownik na elektryczność, gaz i brakującą część opału zakupioną na wolnym rynku, potrzebował nie 54 razy więcej niż przed wojną, a tylko 66 proc. tej sumy. W złotych powojennych równa się to sumie 172 zł. czyli 2,8 proc. miesięcznego uposażenia gotówkowego.

5. *Kultura i oświata* — przed wojną 3,6 proc. budżetu.

Szkolnictwo wszelkich typów dla dzieci robotniczych jest bezpłatne. Pracownicy otrzymują przez Zw. Zawodowe bilety na koncerty, do kin i teatrów po cenach, które stanowią pozycję najwyżej 60 zł. miesięcznie, a więc 1 proc. powojennego budżetu miesięcznego.

6. *Ubezpieczenia i podatki* — przed wojną 3 proc. budżetu.

Po wojnie ubezpieczenie opłaca pracodawca, a uposażenia do 6000 zł. miesięcznie w 1947 r. wolne były od podatków. Obecnie wolne są od podatków uposażenia do 9.000 zł. miesięcznie."

Przyjmując do wiadomości te budżetowe obliczenia i specyfikacje, nie mogłem oprzeć się pokusie przetłumaczenia zarobków na cyfry, pozwalające na wyznaczenie ich proporcji w świecie, przez użycie jakiegoś ogólnego, obiektywnego miernika wartości bezwzględnej, jaką reprezentują.

Umowy handlowe Polski z zagranicą kalkulowane są w dolarach; system jest elastyczny i dowolnie wyznacza jego wartość w przeliczeniu na złote. Stosuje się tzw. dolar rozrachunkowy. Węgiel jednak sprzedaje się zagranicą za 7 do 16 dolarów za tonę, zależnie od asortymentu, w kraju cena za tonę waha się około sumy 3.000 zł. Wskaźnikiem siły wymiennej złotego jest jednak cena dolara na wolnym rynku; według ostatnich wiadomości, sięga dziś 1.500 złotych.

Uczyłem się kiedyś, że pieniądz, jako jeden z najważniejszych elementów polityki gospodarczej jest instrumentem czułym. Miernik dolarowy wskazywałby w Polsce ostatnio na zwiększające się niebezpieczeństwo inflacji, której koszty w ostatecznym podsumowaniu ponosi zawsze obywatel, gdyż siła nabywcza jego zarobku odpowiednio maleje. Podwyżki pensji nie nadążają nigdy za spadkiem nabywczej siły pieniądza. A jak wiadomo, najbardziej poszkodowanymi przez inflację są ludzie, posiadający dochody stałe, tj. urzędnicy i robotnicy, a więc w przypadku polskim, znakomita większość społeczeństwa.

Jeżeli przeliczyć pensję robotnika, czy choćby podwyższoną ostatnio do blisko 30.000 zł. na miesiąc pensję profesora uniwersytetu na dolary, (albo choćby na parę dobrych butów, których koszt w Polsce wynosi około 20.000 zł.) okazuje się, że zarobki nie stoją w żadnej proporcji do wartości ich pracy, a tym samym produkcji, dającej państwu np. za tonę węgla efektywne dolary.

(Wiem, odpowiedzą mi wyznawcy nowej, nie-kapitalistycznej ekonomii, że są to tylko pozory, że Polska żyje dziś systemem własnym, zamkniętym, że nie obowiązują tutaj prawa, rządzące światem, w którym podstawę życia stanowi pieniądz, że istnieją środki i sposoby uniknięcia inflacji przez reglamentację cen, i stosowane dziś wypompowywanie nadmiaru pieniędzy przymusem funduszu oszczędnościowego i podatkami, że gospodarczy rozwój Polski sam przez się stanowi podstawę do przekreślenia obaw związanych z jej objawami.

Niemniej przeto chętnie przytacza się przykłady taniości w Polsce, jaka wynika z takich właśnie przeliczeń i porównań. Cytuje mi ktoś przykład: odbudowa pewnej kamienicy przed wojną kosztowałaby 70.000 zł., czyli przeszło 12.000 dolarów; dziś ta sama odbudowa kosztuje plus minus dwa miliony złotych, co w przeliczeniu na dolary według wartości ich na wolnym ryn-

ku w czasie pobytu mego w Polsce stanowiło mniej więcej 2.500 „miękkich”. Ten przykład obrazuje nie tylko taniość pracy, ale także materiału na rynku wewnętrznym. Jest jednak zarazem i ilustracją ogólnie niskiego poziomu życia w zestawieniu z zachodem.

Rozgłaszana jest jednak wszem wobec i każdemu z osobna tendencja reżimu, który tłumaczy powolność poprawy trudnymi warunkami startu, zniszczeniem i zużyciem urządzeń przemysłowych, ale proklamuje oficjalnie swoją troskę o polepszenie sytuacji robotnika, w uznaniu, że pełnia tego polepszenia daleka jest jeszcze do osiągnięcia.

Zapominać nie wolno, że reżim opiera się przecież przede wszystkim i już jakby programowo na tej warstwie ludności. Ale prawo organizowania się robotników, jak w ogóle każde prawo organizowania się legalnego w Polsce, stanowi monopol partii. O swobodach wyrażania swoich pretensji czy niezadowolonych, jakich przykładu na Zachodzie dostarczają coraz to manifestacje strajkowe (spontaniczność ich jest rzecz prosta kierowana i organizowana przez specjalistów) — tu ani myśleć. Tutejsza praktyka socjalizmu (używam tego terminu w dzisiejszej, reżimowej jego interpretacji) uznaje etap tych form walki proletariatu o poprawę swojej doli za przekroczony. Mogą istnieć jedynie w krajach kapitalizmu.

Odeszliśmy daleko od czasów, kiedy dr Dłuski, zapytany przez zaniepokojonego pogłoskami o szerzeniu się socjalizmu namiestnika Galicji i Lodomerii, Ks. Sanguszkę, wyjaśnił mu na czym to polega: „Jest to walka pracy z kapitałem!”

Ks. Sanguszko zamyslił się i zaraz rozpogodził: „Kapitałów w tym kraju nie ma, pracować i tak nikt nie umie. *Niebezpieczeństwa nie widzę.....*”

XXI

Wobec wsi

Opowiadam w poprzednich rozdziałach o sprawach gospodarczych w Polsce, cytując nie tylko swoje refleksje z tego terenu, ale także przytaczając wyjątki z argumentacji, jaką stosuje się w Polsce dla podbudowania wiary w słusność form nowego ustroju. Nie mam uroznożeń wyczerpania tematu, ani tym bardziej wszechstronnego omówienia wszystkich osiągnięć i niedociągnięć systemu, którego tendencją jest wyzywające w stosunku do krajów kapitalistycznych wykazywanie się już na zapas lepszością swoich sposobów zarządzania życia.

Tymczasem jednak nie jest to cel sam w sobie, ale raczej jeden z odcinków rozprawy, toczącej się między wschodnią i zachodnią koncepcją przyszłości, która żadnej dziedziny polskiego życia nie pomija, a już specjalnie ostro i zasadniczo wystę-

puje we wszystkich zjawiskach natury gospodarczej, jako podstawowych dla wyznaczenia dności podejść i odmienności rozwiązań proponowanych jeszcze przez Marksa i wprowadzonych w życie praktyką jego rewolucyjnych uczniów w Rosji Sowieckiej.

Nie tu miejsce na dalsze rozwijanie tych zagadnień i wiążących się z nimi dla Polski perspektyw. Reportaż mój daje świadectwo niektórym tylko, jego zjawiskom, czyniąc tu i ówdzie konfrontację tych zjawisk z czuciem i spodziewaniem objętych nimi ludzi, oraz próbując wyznaczyć miejsce i zasięg wpływu, jakiemu życie ich, w związku z naciskiem tych przemian, podlega. Są to więc dane jedynie orientacyjne, ale także możliwie wielostronne; nie schodząc bowiem z pozycji obserwatora staram się dostarczyć czytelnikowi w całości tego sprawozdania możliwie wiele elementów sytuacji, zostawiając mu wybór i rezerwując sobie mój własny.

Podobnie pragnę postąpić w niniejszym rozdziale, poświęconym zagadnieniom wsi.

Kilka ogólnych uwag na początek: wbrew oficjalnej tezie Polska nie jest krajem robotniczo-rolnym, ponieważ chłop od czasu ucieczki Mikołajczyka odsunięci są od bezpośredniego wpływu politycznego. Upaństwowienie „Społem” jest jednym z objawów tendencji, aby nie dopuścić do stworzenia zbyt silnych organizacji chłopskich, które by przy znanym konserwatyzmie chłopów, przywiązaniu jego do tradycji katolickiej, a poza tym ważnym dla zrozumienia jego psychologii uczuciu udziałności swojej na najmniejszym skrawku ziemi, byle własnym, doprowadzić mogły do istnienia państwa w państwie. Sprzeczność interesu między wsią i miastem, choć jej marksiści zaprzeczają, jest więc nadal bardzo istotna.

Reforma rolna dotknęła w Polsce 7 tysięcy ziemian z rodzinami, którzy stracili wszystko. Przeprowadzona była tak bezwzględnie, że nawet tam gdzie 50 ha stanowiło dopuszczalne maksimum, właściciel, mający nieszczęście posiadania o pół hektara więcej, tracił wszystko, podpadając pod kategorię obszarnika.

Na trzy miliony chłopów w Polsce, 400 tysięcy otrzymało ziemię, w tym 200 tysięcy fernali, którzy jej przedtem nie posiadali; społecznie i politycznie było to niewątpliwie ważne pociągnięcie, gospodarczo jednak nie dało nic, chyba stratę.

Więć polska bez dworów i Żydów, powiada mi jeden z dzisiejszych polityków, to tak jakby z ozdobnej książki wydarto wszystkie ilustracje; książka została, ale to już nie to samo. Są to, rzecz prosta, niedopuszczalne w dzisiejszej Polsce sentymentalizmy, ale coś z tego wrażenia błąka się w umyśle człowieka, chodzącego dziś po śladach swoich wspomnień. Nie mam zamiaru twierdzić, że wszystko w tych wspomnieniach było dla jego wrażliwości na zagadnienia społeczne dobre, albo zadawalające, ale nie zmienia to faktu, że po odejściu Niemców dwory w Polsce reprezentowały samym stanem urządzeń,

zbiorów, pamiątek, bibliotek i archiwów naturalne centra kultury na wsi, że stanowiły, gdyby nawet nie uznać prywatnego prawa wydziedziczonych właścicieli do dawnych domów, jakąś część narodowego, więc wspólnego wszystkim bogactwa. Rozproszenie go, oddanie na pastwę szabru, pozostawienie bez opieki, bezcelowe zdanie na łaskę losu, pokrzywdziło najbardziej tych samych ludzi, których rękami często dokonano się te akty bezplanowych zniszczeń, jakie dziś świecą w oczy pustką albo ruiną licznych dworów po całej Polsce. W niewielu tylko wypadkach oddano je na zbiorowy i społeczny użytek wiejskich ludzi, zakładając w nich ośrodki wypoczynkowe, uniwersytety ludowe, szkoły rolnicze i tym podobne instytucje.

Nie czas jednak żałować róż...

Dzisiejszy problem bowiem w odniesieniu do wsi wydaje się następujący: na skutek zniszczeń wojennych, oraz brutalnie, bezmyślnie a nieraz barbarzyńsko przeprowadzonej reformy rolnej, w której straciły się ogromne wartości kapitału narodowego zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych, produkcja chłopów, któremu nadano ziemię bez odpowiednich środków do jej uprawy, jest w porównaniu do możliwości, niezmiernie niska. Głód ziemi zaspokoiły oczywiście nowe tereny zachodnie, obsadzone zresztą przeważnie ludnością zza Buga, ale w rdzennej Polsce zagadnienia wsi, istniejące przed wojną, nadal są jeszcze aktualne i nadal nierozwiązane.

Możemy się o tym przekonać wertując np. publikację Biblioteki Puławskiej i przypominając sobie, że 65% wszystkich gospodarstw chłopskich w Polsce stanowiło według obecnej terminologii «karłowate i nędzarskie gospodarstwa drobno-chłopskie». Innym nadal istotnym zjawiskiem, pogłębiającym nędzę, było rozwiartowanie własności na drobne działki, porzucane po całym obszarze wsi. W przedwojennej pracy inżyniera Kasińskiego, w miesięczniku «Rolnictwo» podano, że suma odległości od siedliska gospodarstwa do wszystkich parcel w jednym wypadku w powiecie przasnyskim wynosiła nieprawdopodobną odległość 211 km., czyli drogę z Katowic do Łodzi. W Smoleńcu, w powiecie przasnyskim musiał gospodarz przebyć przeciętnie 102 km. drogi, by dostać się raz jeden do wszystkich działek po kolei. Jakże więc chłop polski, którzy gospodarowali na 12 milionach hektarów ziemi, znajdujących się w szachownicy, mieli opanować swe warsztaty pracy, kiedy ich energia zaprzepaszczała się na wędrowce z jednego kawałka ziemi na drugi, oddalony nieraz o kilometry?

Wykazywano dalej, jakim marnotrawstwem zboża jest stosowanie siewu rzutowego, zamiast siewnika rządowego,*) jak źle kalkulowało się chłopu nawet posiadanie konia; wyliczano, ile

*) Autor aktualnego artykułu na te tematy przytacza, że w obozie jeńskim jeden z przemysłowców przygotował projekt konsorcjum, które by wypożyczało rolnikom siewniki w zamian za różnicę w zbożu między siewem rzadowym a ręcznym. Obliczał, że stałby się tą drogą w paru latach bardzo zamożnym człowiekiem.

na tym traci (koń je za półtorej krowy). Bawi mnie, przyznam, wycytany w jakiejś fachowej publikacji komentarz tego zjawiska: «Żyłka do konia przejęta od szlachty każe chłopu konia chować, czy potrzebny czy nie.»

Nieumiejętna uprawa roli, płytka orka, brak troski o plodowizny, zły materiał siewny i hodowlany, brak narzędzi technicznych itd. stanowiły więc już przed wojną temat niejednych alarmów i troskę zainteresowanych w poprawie losu chłopów czynników państwa. Stawiały one jednak rozwiązanie owych problemów przede wszystkim na płaszczyźnie gospodarczej. Dziś natomiast całe zagadnienie nabrało w Polsce charakteru głównie politycznego, chociaż występuje pod hasłem zniesienia marnotrawstwa sił i pracy ludzkiej i przerzucenia wysiłków z barku chłopu na maszynę.

Gdy jednak produkcja chłopów, osadzonego na nowej ziemi nie reprezentuje gospodarczego postępu, bo jest najczęściej w porównaniu nawet z wydajnością przedwojenną niższa, mniej sprawna i mniej umiejętna, Państwowe Nieruchomości Ziemskie, obejmujące tereny dawnych majątków prywatnych i administrowane niemal wyłącznie przez dawnych właścicieli ziemskich, rolników z fachu i z doświadczenia, powiększają swoją produkcję z roku na rok. I tu nie brak jaskrawych niedociągnięć. Obsadzone zostały gęsto urzędnikami państwowymi, którzy reprezentują biurokratyczny lub polityczny element kontroli i stanowią niewspółmierne z potrzebami przeciążenie administracji. Ludzie ci zdają tu egzamin ze swojej gorliwości neopartyjnej, a za obecność ich płaci rolnik.

Gospodarowanie stało się w tych warunkach funkcją przede wszystkim biurową; dokonuje się bardziej na papierze, niż w polu. Nie każdy dobry rolnik musi w dodatku być dobrym taktikiem w dostosowaniu się do nowych warunków, w podchodzeniu do ludzi, albo do papieru. Toteż niejedne kłopoty i trudności, prowadzące aż do posądzeń o sabotaż, wynikają — nie ze złej woli odpowiedzialnych za gospodarstwo ludzi, ale z traktowania ich a priori jako elementu klasowo wrogi, a tolerowany jedynie w braku własnych fachowców. Ci jednak podkształcają się już pośpiesznie i niebawem pewno będą gotowi do objęcia tych administracji.

P.N.Z.-cy, jako własność państwowa podlegają, rzecz prosta, wszelkim dyrektywom planu, są podobnie jak przemysł, wyłowną i uchwytą całością życia gospodarczego.

Inaczej chłop. Będąc przedsiębiorcą prywatnym, wymyka się bowiem skutecznie od prób chwycenia go w obcęg cyfr. Jest wartością w gospodarce dzisiejszej nieobliczalną. Dodajmy do tego rezerwę i głęboką nieufność do proponowanych mu zmian, fakt, że stanowi jako warstwa i jako psychika twierdzą konserwatyzmu, opartą o przywiązania katolickie, a będziemy mieli obraz problemu, przed jakim stanęło państwo, próbujące nie tylko rozładować te społeczne opory, jakie reprezentuje chłop-

stwo, ale także zmusić chłopów do kierowanego przez nie podniesienia produkcji.

Rozwiązanie jest jedno; zapowiedziane zostało przez mowę Minca. Jest to kolektywizacja gospodarstw chłopskich. Rzecz oczywista, że traktora, żniwiarki czy kosiarki, — nie można dać małorolnemu gospodarzowi, a tylko wsi; ale na to, aby park maszynowy pracował wydajnie na całym jej obszarze, potrzebna jest gruntowna reorganizacja dzisiejszej struktury wiejskiej.

W spokojnych rozmowach planistów «łagodzi się» złe wrażenie, wywołane zapowiedzią tego «uspółdzielczenia». Tłumaczy się potrzebami przemysłu, który rosnąc, potrzebować będzie dopływu nowych ludzi ze wsi, — przypomina cyfry ministra Poniatowskiego o 6 milionach nadmiaru jej ludności. Wieś dzisiaj nadal jeszcze jest przeludniona, co w gospodarczym znaczeniu tego słowa równa się pojęciu niedoużytkowania (mała wydajność pracy przy zbyt wielkiej ilości rąk). Mówi się dalej o konieczności przejścia na nowe metody produkcji, a co ważniejsze, stwierdza różnicę «uspółdzielczenia» w porównaniu z nieprzyjemnym oddźwiękiem, jakie wywołuje nie tylko termin «kolektyw», ale także wzór rosyjskiej metody wprowadzania go i jego skutków. Brzmi to jak następuje: chłop nie przestanie być właścicielem ziemi, a tylko środki produkcji staną się własnością gromadzką. Otrzymać ma wynagrodzenie nie w zależności od pracy, czyli według rachunku tzw. trudo-dni, ale w proporcji do ilości ziemi, jaką wniósł. Przystawienie się wsi na nowy gospodarczy ustrój ma być poza tym dobrowolne. Jeżeli będzie przeprowadzone stopniowo i rozsądnie, powinno zwiększyć nie tylko produkcję rolną, ale także dobrobyt chłopów. Jeżeli...

Taka więc jest teoria; w praktyce samo jej ogłoszenie dało powód do paniki na wsi, nie był do niej nikt psychologicznie i propagandowo przygotowany. Jeszcze przed rokiem za rozpuszczanie pogłosek o projektowanej kolektywizacji zamykano na kilka lat więzienia, uważając to za robotę dywersyjną. Byłem świadkiem na kilka dni przez mowę Minca, jak na wsi pewien partyjnik, sam chłop, ale mocno wyszczekany, pomstował przeciw sabotażowi nieodpowiedzialnych głupców, którzy rozpuszczają podobne wieści, aby nastraszyć chłopów, obniżyć jego wyśiłki i osłabić zaufanie do reżimu. «Na zebraniu w zeszłą niedzielę, mówił, powiedziałem, że co jak co, ale gdyby kto próbował odebrać nam ziemię, albo robić z niej kolektyw, zawsze się jeszcze w naszych garściach znajdą cepy, kłonicie i kosy, aby każdemu wypędzić ochotę do takich pomysłów...» — I wyrażał zdziwienie, że został wezwany do U.B. i że mu udzielono nagany za użycie podobnych słów.

Jednocześnie z ogłoszeniem zamiarów rządu względem wsi ruszyła kampania, kierująca gniew ludu wiejskiego przeciwko elementom kapitalistycznym na wsi, którego obecnie reprezentuje uznany za wroga średniego i biednego chłopów — wiejski bogacz. Zlikwidowany już obszarnik zastąpiony więc został w

roli wyzyskiwacza proletariatu przez kmiecia względnie gburą, który w swym gospodarstwie posługuje się pracą najemną. Po rosyjsku to się nazywało «kułak».

Opowiadano mi, że jeszcze niedawno na zebraniu chłopów, na którym pod adresem byłych obszarników padały ciężkie słowa obelg i pretensji, na to, by tym skuteczniej wychwalać dzisiejszą zmianę, która uwolniła chłopów od wyzysku, do głosu zapisał się stary gospodarz, a kiedy mu go udzielono, powiedział: «Panowie byli, panowie som, panowie będom. Skończyłem».

I jeszcze taki obrazek z podobnego zebrania, opowiadany jako dykteryjka w Polsce:

— Skończyły się czasy obszarników i krzywdzicieli ludu, teraz lud będzie miał to, co oni mieli, jadł to co oni jedli, będzie miał nawet pomarańcze i ananas... Czy wiecie, co to jest ananas?

— A juści.

— No to powiedzcie mi takie zdanie, w którym byłoby słowo ananas...

— Zaraz powiem. Tutaj jeden z partii dostał przydziały, to porozdawał samym swoim, a na nas to się wypiął...

To znowu opowiadają, że jeden z wsiowych partyjników przychodzi agitować chłopów i namawiać go na gospodarkę «uspółdzielczoną». — Gdybyście, gospodarzu mieli dwa konie, to oddalibyście jednego do spółdzielni, prawda?

— Oddołbym.

— A gdybyście mieli dwie krowy...?

— Oddołbym jedną.

— A gdybyście mieli dwie świnie?

— Nie oddołbym.

— A to dlaczego, gospodarzu?

— Bo ja dwie świnie mam.

To znowu puszcza się kawał, mający dziś w Polsce wzięcie:

— Na czym polega socjalizacja wsi?

Odpowiedź: Na zrównaniu chłopów z ziemią.

Wspomniałem już, że przeciętna reakcja chłopów na projektowane «uspółdzielczenie» była wroga, irracjonalna nawet, jako niechęć do proponowanej przebudowy. Partyjny aparat przekonywania i uświadamiania mas chłopskich działa widocznie słabo, skoro wieś dotąd nie zrozumiała „pożytku” tych reform, mających służyć do „polepszenia jej sytuacji”. Wojna pocucia obywatelskiego i uświadamienia politycznego. Obserwuje się więc pilnie i krytycznie partyjnych rzeczników interesu wsi, a wobec tego, że korzystając z koniunktury dobrali się do tej reprezentacji w terenie ludzie, nie mający ani dobrej opinii, ani zaufania w masie, a za to pełną gębą frazesów bez pokrycia, hasła przez nich rzucane, zapowiedzi przemian, a zwłaszcza rozbuźdzone nienawiści, obracają się raczej przeciw ich siewcom, niż żeby miały zapuszczać w duszy istotne korzenie.

Notowane od pewnego czasu trudności aprowizacji, których

nie odczuwano w ostatnich latach,*) da się częściowo wytłumaczyć także tą właśnie nieprzychylnością chłopu wobec proponowanej mu polityki rządu; — posiada on umiejętność bojkotowania interesów miasta, aby wyrazić swoje niezadowolenie, choć wizja utraty ziemi prowadzi czasem nawet do gestów desperackich, jak wyrzynanie bydła, jak zaniedbanie siewów, albo wręcz do czynnego oporu.

Pod tym względem chłop jest zawsze ten sam; wystarczy w „problemach leninizmu” przeczytać statystyki spadku pogłowia w czasie przeprowadzania kolektywizacji na Ukrainie.

Wiś przczytała się, czeka. Nie wierzy słowom. Są tacy, którzy przewidują katastrofalne dla produkcji rolnej wyniki «uspółdzielczania» nie tylko ze względu na wadliwość projektu, ale przez nieumiejętność zaszczepienia wiary weń zainteresowanym ludziom. Surowość przeprowadzenia go będzie w dużej mierze zależę od postawy, jaką w fazie realizacji przybierze poddany jej wymogom człowiek. Nie należy przypuszczać, że dla takich czy innych powodów reżim skłonny byłby zrezygnować, albo choćby złagodzić swoje względem wsi zamierzenia.

Ale kampania, raz podjęta, nie dozna odwołania, wytyczne jej nie ulegną zmianie. Są przecież częścią wielkiego planu, który za cel postawił sobie przebudowę ustroju w Polsce od podstaw. A czymże jest ziemia-żywicielka, jak nie podstawą właśnie?

XXII

Niedyskrecje trochę literackie

Byłem w «Czytelniku» na uroczystości dania nagrody «Odrodzenia» Jerzemu Andrzejewskiemu. Profesor Kleiner, wręczając w imieniu jury czek na ówierz miliona złotych powieściopisarzowi młodego pokolenia, wygłosił przy tej okazji przemówienie pełne swady, barwy i erudycji, którego tezą było, że Andrzejewskiemu dostaje się ta nagroda nie tylko za talent, ale także za odwagę. Temat *Popiołu i Diamentu* jest rzeczywiście trudny, zbyt bliski i zbyt aktualny, skoro dotyczy konfliktów między dwiema koncepcjami ludzi i polityki, byłych i obecnych, aby nie mieć bolesnego wydzwisku w większości bardzo wrażliwych na te sprawy serc.

Profesor Kleiner, porównując go potem z Mauriac'iem i Bernanos'em doszedł w swym krasomównie do wniosku, że ten okres w życiu Andrzejewskiego już jest przewyciężony i że

*) Przytaczam aktualną dykteryjkę opowiadaną dziś w Polsce w związku z odczuwanymi trudnościami aprowizacji, (jednym z narzuconych serwitutów jest także zaopatrywanie Berlina). Mówi się więc, że mają znieść w Polsce literę M. A to dlaczego? No, bo jeżeli Masła nie ma, Margaryny nie ma, Maki nie ma, Mięsa nie ma, Mleka nie ma — to czy warto używać M dla Jednego tylko Minca, który jest?

należy go dzisiaj uważać raczej za polskiego — André Malraux.

Trzeba było widzieć zabawione miny pozostałych członków jury i obecnych na sali gości, kiedy czcigodny profesor zagałował się w swojej tabeli porównawczej, nie przy tym nie wiedząc zapewne o politycznej ewolucji autora *Les Conquérants*, która jaskrawo odbiegła od orientacji, obowiązującej dziś w Polsce.

Ale trzeba było widzieć poza tym fotografów, mikrofony, radia i nastrój wielkiego ewenementu, stworzony dokoła ceremonii wręczenia nagrody, mającej być dziś w Polsce odpowiednikiem francuskiego Prix Goncourt. Nie dla małego kółka wybrańców, lecz z przeznaczeniem na wynos, na całą Polskę dokonywał się ten akt państwowy — można było z pomocą tej manifestacji zrozumieć znaczenie, przypisywane literaturze i jej sprawom przez reżim.

Jakkolwiekby dziś interpretować zjawisko państwowych zainteresowań i świadczonej szczodrze opieki nad ludźmi świata kultury — społeczeństwo także reaguje na te sprawy czulej i **powszechniej, niż przed wojną**. Czytelnictwo wzmożło się ogromnie; świadczą o tym nie tylko nakłady książek, ale także ilość i cyfry nakładów pism literackich: *Odrodzenie* — 40.000, *Kuźnica* — 20.000, *Dziennik Literacki* — 135.000, *Nowiny Literackie* — 20.000, *Tygodnik Powszechny* — 25.000; nakład tego ostatniego byłby większy na pewno, gdyby nie reżim, dysponujący papierem i posiadający organizację kolportażu, nakłady książek zmalały wprawdzie w porównaniu z pierwszymi latami **po wojnie**, gdy sięgały 35 i więcej tysięcy, a to wskutek nasycenia rynku, ale przy jakim takim powodzeniu książki dochodzą jeszcze łatwo do 10.000.

Trudno w tej sprawie mówić o jakimkolwiek przymusie, chociaż można w niej dostrzec efekty umiejętnie prowadzonej propagandy czytelnictwa. Jednym ze sposobów zainteresowania mas literaturą było np. zorganizowanie wieczorów autorskich szeregowi współczesnych pisarzy, którzy dotarli z nimi na daleką prowincję, a nawet na wsie, gdzie przedtem rzadka była albo wręcz nieznana sposobność zobaczenia «autora» i możliwość dyskusowania z nim na temat jego książek. Wzrost zainteresowań czytelnich łączy się z objawami obserwowanego w Polsce pędu do nauki, który ogarnął młodzież. Jest więc, jak to się mówi obecnie, zjawiskiem przede wszystkim *oddolnym* — czynnik *odgórny* może, rzecz prosta, regulować wpływ, typ i dopływ tej albo innej produkcji literackiej, więc jedynie podaż; szlucznego popytu jednak nie wytworzy. Popyt natomiast jest wyrazem nie ucieczki od codzienności, ale wyczuwanego dziś w Polsce niepokoju intelektualnego i napięcia zainteresowań kulturalnych, które się zdają rosnać.

Plany państwowych albo spółdzielczych domów wydawniczych poszły jednak nie tylko w kierunku wydawania pisarzy współczesnych; zniszczenie bibliotek i księgozbioru narodowego wymagało gruntownych uzupełnień wydawniczych, obejmują-

cych klasyków naszej literatury; «Czytelnik» wziął na siebie pełne wydanie Mickiewicza, T. T. Jeża i Żeromskiego; «Książka» — Prusa; «Wiedza» (która połączyć się ma z «Książką») — Dygasińskiego i Orzeszkowej; «Państwowy Instytut Wydawniczy» — Sienkiewicza i Wyspiańskiego, «Ossolineum» — Słowackiego itd. Obserwuje się więc na tym odcinku dbałość o monumentalność literackiego dorobku kultury polskiej, lecz w interpretacji krytycznej i z podejściem do zjawisk literatury w myśl nowych zasad i założeń.

Akcji «rozpętywania żywiołu czytelnictwa» służy Komitet Upowszechnienia Książki, który opracowuje ogólnopństwowy plan wydawniczy dla dostarczenia masom taniej i dobrej książki swojego wyboru. Tom, liczący 250 stron, ma kosztować 100 zł. z przesyłką poleconą. Książki bite będą w 50.000 egz. każda. Komplet pierwszych tanich wydawnictw K.U.K. ma być zapoczątkowaniem 20 tysięcy nowych punktów bibliotecznych, rozsianych po całym kraju.

Wśród nowych książek, wydawanych dziś w Polsce, dominującym tematem jest jeszcze ciągle wojna i okupacja. Spora część wydanych ostatnio dzieł napisana była jeszcze w czasie wojny i uratowana z niej cudem. W tym ratowaniu i w ogóle w trosce o powojenny zapas dzieł literackich, która połączona była pod okupacją z działalnością pomocy dla literatów, znaczną rolę odegrała prywatna inicjatywa niektórych wydawców, skupiających na zapas rękopisy z wiarą, że mimo wszystko, po wojnie będą mogli je wydać. Grał tu rolę, rzecz prosta, dobrze rozumiany własny interes tych 'przedsiębiorczych i odważnych ludzi, ale znaczenia kulturalnego ich działalności nie wolno dziś nie docenić. Nie wszystko co zakupili, uratowano. Znane są wypadki, kiedy ci wydawcy próbowali z palących się domów ratować ten zapisany dla przyszłości papier, z narażeniem życia wracali do Warszawy po zostawione w niej dokumenty czy ichś przeżyć i przemyśleń, notowanych często niemal pod okiem Niemców, z wiarą, że doczekają się wreszcie światła druku. Mimo to straty były znaczne. Parandowskiemu na przykład spaliły się w powstaniu rękopisy trzech pracowicie napisanych pod okupacją książek — cios nie tylko dla niego, ale i dla kultury polskiej nie do powetowania. To samo z dorobkiem wojennym Nowaczyńskiego. I tylu innych.

Cechuje dziś czytelnika wymaganie wobec pisarzy surowe i krytyczniejsze, być może, niż dawniej. Rzeczywistość okazała się zbyt twarda, złudzenia prysły zbyt boleśnie, aby nie miało to wywrzeć wpływu na nowy sposób widzenia świata. Bez sentymentów, bez romantyki, bez liryzmu. Nie byle czym można ich dzisiaj wstrząsnąć, nie byle czym zaimponować. Są podejrzliwi i nieufni; słowom, podobnie jak pieniądзом, grozi niebezpieczeństwo inflacji. Kurs na poezję jest niższy, niż był przed wojną. Z tych, którzy mają zapewniony zbyt i oddźwięk wśród

czytelniczej masy, na pierwszym miejscu postawiłbym Miłosza i Gałczyńskiego.

W prozie, z młodszego pokolenia wielką i nie tylko nagrodową poczytnością cieszy się Andrzejewski, choć były liczne głosy i bodaj nawet opinia między członkami jury, przeważona na korzyść *Popiołu i Diamentu* dopiero «wyższymi względami». Wśród innych pisarzy nowych, albo dopiero po wojnie występujących w szrankach literatury, wymienić muszę książki Wojciecha Żukrowskiego, którego twórczość zdradza doskonałe rzemiosło na usługach wielkiego talentu. Zabłyśnięty wśród prozaików także nazwiska Golubiewa oraz Tadeusza Borowskiego. Mówię tylko o nowych.

Niezmienną popularnością, choć to już inna dziedzina i inny gatunek pisarstwa, cieszy się nadal Wiech, jako zjawisko już niemal nieodłącznie związane z warszawską prasą bez względu na kolor, koniunkturę i czasy o jakich pisze. Wziął się ostatnio do tłumaczenia polskiej historii na swój nieporównany język. Cała Polska ma z tego zabawę i wyczytuje sobie między wierszami niejednokrotnie aktualne mądrości, którymi sypie jak z rękawa wieszcz Wiech. Nikt przed nim nie wywarł tak mocnego wpływu na potoczny język, którym mówią; nikt tak jak on nie potrafił rozweselić ich codzienności.

Z pamiętników, jakie ukazały się w Polsce, markę ważności zdobyło *Stare i Nowe* Lucjana Rudnickiego (nie mylić z autorem *Żołnierzy* oraz *Szekspira*). Z dziennikarzy natomiast wysoko wybił się Edmund Osmańczyk; książka jego *Sprawy Polaków* uzyskała ogromną poczytność. Wśród publicystów katolicy dysponują dwoma tegimi piórami w osobach Stefana Kisielewskiego i Jasienicy. Ogólna opinia za najlepsze dwa tygodniki uważa z jednej strony *Odrodzenie*, z drugiej *Tygodnik Powszechny*. Ale nikt nie zaprzeczy, że *Kuźnica*, organ intelektualnych marksistów, posiada ciekawe talenty i zdolne pióra, chociaż pełni ona rolę obserwatora artyleryjskiego, który wyznacza cele dla armat cenzury, piętnując niebłagonadiożne odchylenia w życiu kultury polskiej według klucza własnej teorii. Na osobnym miejscu należy wymienić krakowski miesięcznik *Twórczość* pod redakcją Kazimierza Wyki, który wybija się poziomem i dbałością o język. Wśród czasopism literackich ta dbałość, chociaż nierówna, jeżeli idzie o wyniki, wydaje się być jednak linią przewodnią ich redaktorów.

Trzeba by osobnego studium na to, by w pełni oddać wszystkie personalne albo partyjne stosunki, intrygi, powiązania i przeciwności gry i rozgrywki, jakie cechują żywą dziś i obfitą w zdarzenia sytuację na odcinku kultury. Trzeba by znać wpływy, wycenić wagę osób i nazwisk, wycieniać zasięg ich działania, przedstawić kulisy tych czy innych posunięć, przesunięć, odsunąć i, krótko mówiąc, sunieć, jakie tam mają miejsce, aby uzyskać pełny obraz tego ciekawego i bardzo ruchliwego świata. Osobno też wypadałoby powiedzieć słów kilka o tendencjach wysuwania pisarzy na stanowiska dyplomatyczne. Sądzę, że eks-

peryment ten oceniany jest na ogół pozytywnie, ale nie mogą powstrzymać się w tym miejscu od zrobienia pewnej złośliwości, która będzie polegać na wyręczeniu się w tej materii słowami konferansjera z cytowanego już nieraz przeze mnie «Wglądu w Rząd». Oto one:

«Niejednokrotnie zadawano nam, jako ludziom, którym tajniki życia zakulisowego nie są obce, pytanie: dlaczego wymiana kulturalna z Zachodem jest u nas stosunkowo mało rozwinięta...? Niemożliwe przecież, żeby wystanie kilku wybitnych literatów za granicę na placówki i czujki dyplomatyczne, aż tak pogorszyło sytuację, która w kraju po ich wyjeździe uległa natychmiastowej poprawie. Niemniej jesteśmy zdania, że nasza wymiana kulturalna z Zachodem powinna ulec intensyfikacji. Proponowałibysmy wysłanie całego Filmu Polskiego do Ameryki w zamian za chociaż jeden dobry film amerykański... Kisiel natomiast zauważył jedno: że literaci otrzymują w dyplomacji stanowiska odwrotnie proporcjonalne do sytuacji ich w literaturze. Im większa sytuacja, tym mniejsza ranga.

Kawiarnia gra w życiu kulturalnym Polski nadal dość znaczącą rolę. Spotykają się ludzie w takiej Warszawie u Marca, na Placu Trzech Krzyży (mówi się «u Marca i Engelsa»), albo w Kopciuszku na Jerozolimskich, albo u Fuchsa na Mokotowskiej i tam dopiero można zanurzyć się znowu w otoczenie, przypominające nie tylko rodzajem plotki, stylem rozmów i ciętości dowcipu atmosferę przedwojennej Ziemiańskiej czy Ipsu, ale nawet odnaleźć twarze wielu kawiarnianych bywalców ówczesnej Warszawy. Tutaj też dawano mi lekcje nowych sposobów patrzenia i konieczności rewizji dawnych poglądów wobec tego, co się stało w Polsce. Dyskusje są swobodne, wymiana zdań nie przymuszona. Mówi się na przykład, że nie ma rady, że literatura będzie miała okres dydaktyczny, że trzeba zerwać z realizmem krytycznym końca XIX-go wieku, że trzeba nysleć o skutkach niewątpliwego awansu społecznego masy, że to i tak będzie się zmieniać razem ze strukturą klasową, bo tylko czekać, dojdzie do głosu inteligencja pochodzenia proletariackiego, a procesy kierowane obecnie dadzą jej w rękę ster także w sprawach kultury. Ze trzeba patrzeć na to przez filtry historycznego myślenia, porównując np. z czasami po rewolucji francuskiej...

«Bo widzisz, albo to jest okres przejściowy, to co w tej chwili przeżywamy, a wtedy dla nikogo kto wierzy w wieczne wartości ducha i niezniszczalne pozycje europejskiej kultury, nie może on stanowić poważnych niebezpieczeństw, albo też nie jest to okres przejściowy, ale jeden z pierwszych objawów zasadniczej przemiany świata — a w takim razie o czym my w ogóle mówimy?» Tak jakby chciano powiedzieć, że *tertium non datur*. A poza tym, jeśli mowa o swobodzie, to człowiek w Polsce

tyle jej użyje, ile jej ma w sobie. Stąd właśnie płyną różnice w interpretowaniu dzisiejszej polskiej rzeczywistości, które nieraz zaskakują przybysza z zewnątrz skrajnością tych sformułowań, jakie w jednym wypadku prowadzą do stwierdzenia, że atmosfera jest nie do wytrzymania, w drugim zaś, nie pomijając trudności, czy nawet niebezpieczeństw, widzą w niej jednak możliwość życia, pracy, a nawet rozwoju. Ileż to razy spotkałem ludzi, których pochodzenie, względnie obecna pozycja predysponować się zdaje do skrajnie negatywnych ocen rzeczy, dziejących się w kraju, a którzy jednak nie ulegają pokusom wyjazdu. Chcą, jeśli już tak trzeba, przeżyć to wszystko w Polsce, widzą sens swego życia tylko w związku z byciem tam na miejscu, zbyt żywo i zbyt już blisko związani losem, przeżyciami i doświadczeniami z krajem tej wielkiej próby i przygody, aby móc sobie wyobrazić egzystencję poza jej treścią.

Teatr zajmuje dziś w życiu kraju miejsce jak gdyby ważniejsze jeszcze, niż przed wojną. W Warszawie działa i gra w tej chwili jedenaście zespołów na różnych scenach. Repertuar ich sięga często do rezerw żelaznego kapitału polskiej literatury; najmniej tu chyba znać wpływu, który dąży do uczynienia z teatru także tylko środka propagandy. W teatrze Tuwima na przykład idą komedie muzyczne, w których trudno doprawdy dopatrzeć się jakiegokolwiek tendencji, poza tą chyba, aby publiczności dać, jak to się mówi dawnym językiem «godziwą rozrywkę». Widziałem w «Porwaniu Sabine» nawet Węgrzyna, który, jak z tego wynika, święci swój powrót na scenę w przybytku muzy dość lekkiej.

W Teatrze Polskim natomiast idzie dziś aktualna sztuka Kruczkowskiego «Odwety», dotycząca podobnych jak w *Poście i Diamencie* zagadnień konfliktu dwóch światów, uosobionych w dramacie między ojcem i synem.

Reprezentacyjny natomiast spektakl sezonu w Teatrze Polskim, to Słowackiego «Fantazy». Występuje tam, pamiętamy, „po ludzku piękny typ rosyjskiego majora.

Ten major mówi o sobie:

*Ja czerkieski plennik
Porwany kiedyś dzieciątkiem z ładu,
Taj smoskalony Grek, totr i moszennik,
(Odpusti meni Boh...) byłby jenerał
Już tak jak drudzy, by nie Murawjowy,
Z którymi ja był człowiek i liberał,
Dopóki żył...*

Idee umiłowania ludzkości, idee dekabrystów, Murawio-wa-Apostoła (nie mylić z Wieszatielem), Pestela, Riumina, których wymienia Słowacki, przemieniły tego dość tchórzliwego «lotra i moszennika» w szlachetną postać, oddającą swe życie dla szczęścia ukochanych ludzi.

Toteż osoba majora przeważa wielokrotnie szalę Fantazego i jego pięknej, ale bezużytecznej artystyczności..."

(Cytuję z wkładki w programie, pióra kierownika literackiego Teatru Polskiego w Warszawie, Jarosława Iwaszkiewicza).

Piękne to przedstawienie (dawno nie słyszałem tak mówionego wiersza), którego premiera uczciła jubileusz Szyfmana, cieszy się wielkim i zasłużonym powodzeniem. W związku jednak z dość licznie granymi sztukami pisarzy rosyjskich w Polsce, zastanawia, dlaczego na przykład «Fantazy» właśnie nie został jednocześnie wystawiony w Moskwie? Istnieje więc jednostronność wymiany kulturalnej między Rosją i Polską, tak że aż można do niej w odwrotnym tylko kierunku, zastosować kursujące dziś powiedzonko na temat handlu z wschodnim sąsiadem: my im dajemy węgiel, a oni wzamian biorą od nas cukier.

Dyrektywa wice-ministra Kultury i Sztuki, Włodzimierza Sokorskiego, omawiając obecny repertuar, potępia wszelkie «szmiry, francuskie farsy i wulgarne sztuczki», domagając się zastąpienia ich «klasycznym repertuarem polskim i zagranicznym, oraz dobrą komedią». Dla przykładu zacytuje z jego artykułu skrytykowany, jako nie posiadający «linii przewodniej» projekt repertuaru jednego z poważnych państwowych teatrów, który zapowiedział na najbliższy sezon «Bolesława Śmiałego», Wyspiańskiego, «Wilki w Nocy», «Sen Srebrny Salomei», «Fryderyka Wielkiego» Nowaczyńskiego, «Pani wdzięczny strumyk» (Hsiunga), «Sen Nocy Letniej», «Pastorałkę» Schillera, «Kowal, Pieniądze i Gwiazdy» Szaniawskiego, «Lato w Nohant» Iwaszkiewicza itp.

Przeciwstawiony tej „bezprogramowości” został repertuar inny [Teatrów Państwowych we Wrocławiu] który wystawi sztuki następujące: «Sulkowski», «Szalone Pieniądze» (Ostrowski), «Volpone» (Ben Johnson), «Świętoszka», «Mazepę» lub «Złotą Czaszkę» (Słowackiego, «Mirandolinę» Goldoni), «Lwa na Placu» (Erenbunga), «Igraszki z Diabłem» (Drdy), «Jadzię Wdowę» (Tuwim), «Kariere Nikodema Dyzmy», «Lato w Nohant», «Wyspę Pokoju» (Pietrow), «Lisie Gniazdo» (Helman), «Strzały na Długiej» (Świrszczyńska).

Idzie o to, że w pierwszym przykładzie nie uwzględniono żadnej «problemowej» sztuki współczesnej polskiego autora i żadnej sowieckiej.

Podkreślone też zostało jako poważny brak niedostatecznie uwzględnienie sztuk z okresu pozytywizmu prócz pomijania sztuk współczesnych autorów polskich. Zapowiada się jednak następujące premiery: «Faryzeusz i Grzesznik» Pomianowskiego i Wolicza, «Bankiet Korcellego», «Noce Narodowe» Brandstaetera «Kowal, Pieniądz i Gwiazdy» Szaniawskiego, oraz nowe sztuki Iwaszkiewicza i Kruczkowskiego, uważając co prawda, że to bardzo mało w stosunku do możliwości i skarżąc się na trudność w uzyskaniu nawet współczesnych wodewilów, skeczów i tekstów satyryczno-literackich.

Z pisarzy angielskich dobrą pozycję wśród repertuaru granych w Polsce sztuk posiada nadal Shaw i Priestley. Widziałem nawet w Warszawie komedię Noel Cowarda. Miał też miejsce festiwal szekspirowski o charakterze współzawodnictwa między teatrami stolicy i prowincji.

Opieka i starania reżimu w stosunku do literatów, jako potencjalnych dostawców «pożywki kulturalnej» dla społeczeństwa, wyrażają się między innymi dbałością o materialny poziom ich życia. W Polsce dzisiaj pisarze stali się arystokracją. Nie ma co do tego dwóch zdań. W ramach tej to pozycji i związanych z nią uprzywilejowań mieszczą się inni także działacze w dziedzinie kultury; jubileusz Szyfmana na przykład dostarczył pod tym kątem wystarczającej chyba ilustracji. Praca i zarobki piętym kłosem opodatkowane są łagodniej niż wszystkie inne, z wyjątkiem chyba pracy naukowej. Pierwsi płać podatki od 50% tego, co zarabiają, dla naukowców 80% zarobku wolnych jest od podatku. Stworzenie domów literackich w Sopocie, w Krakowie, Łodzi (3 wielkie nowoczesne budynki oddane są pisarzom na mieszkania) są jednym z wielu objawów dbałości o zapewnienie im warunków pracy i odjęcie troski o byt, tak pospolitej wśród reszty społeczeństwa. W Szklarskiej Porębie dom Gerharta Hauptmanna zamieniono dzisiaj na ośrodek wypoczynkowy dla pisarzy (odziedziczyliśmy nawet folklor i legendy tego obszaru bogatego w podania ludowe — Rübezah! nazywa się po polsku Liczyrzepa). Innym takim ośrodkiem są Obory pod Warszawą; w Nieborowie pod Łowiczem w dawnym pałacu księcia Janusza Radziwiłła zawsze się znajduje miejsce dla pisarza albo naukowca, potrzebującego komfortu i spokoju dla swojej pracy. Pałac ten ocalał szczęśliwie w czasie wojny razem ze zbiorami i biblioteką; odebrany właścicielowi, znajduje się pod opieką Muzeum Narodowego i służy dzisiaj jako reprezentacyjna rezydencja dla różnych kulturalnych, ale także urzędowych manifestacji. Zaczyna się już wytwarzać tradycja koncertów i przedstawień teatralnych dawanych w jego ramach. Bierze w nich udział, prócz oficjalnych gości, także okoliczna ludność.

Wymiana świadczeń między pisarzami a reżimem nie jest jednak zupełnie «zadawalająca», skoro nawet Jerzy Borejsza, w dużej mierze odpowiedzialny za organizację tej wzajemności usług, nie uniknął oficjalnej cenzury, a pretensje jej, wymieniające z nazwiska dom wydawniczy «Wiedza» i «Nowiny Literackie», zawadziły lewym skrzydłem także o jego osobę. Jest to na terenie literatury oddźwięk wydarzeń, jakie miały miejsce w łonie PPS'u, aby przekształcić jego dawne tradycje według zaleceń, potrzebnych dla połączenia jej z PPR'em na platformie «postępowej», to znaczy wykluczającej odchylenia «nacionalistyczne i prawicowe». W sprawach kultury te same zarzuty wyrażone zostały słowami «eklektizm i oportunizm», zapowiedź reform zmierzających w kierunku wykluczenia podobnych od-

stępsztw od linii generalnej, wyraziła się między innymi w przesunięciach na stanowisku prezesa «Czytelnika». Kiedy ostatnio zastąpił go na tym stanowisku Jerzy Pański, redaktor *Odrodzenia*, natomiast przeszedł do propagandy PPR'u, otrzymując jednocześnie order Odrodzenia Polski, *Sapilki* skwitowały to wydarzenie następującą fraszką:

*Mało w Borejszy życiu się zmieniła
Przęd losu dziwne zrządzenia:
To komandorski Krzyż Odrodzenia,
To pański krzyż z „Odrodzeniem”.*

Skoro już mowa o fraszkach, przeczytałem w notiesie jednego z pisarzy w Polsce fraszkę także o redaktorze *Kuźnicy*, napisaną, jak mnie zapewniano, przez Lechonia.

*Żółkiewskich nie jednako historia osądzi:
Stanisław rządził Kremlem, Stefanem Kreml rządzi.*

Lecąc z Łodzi do Wrocławia, czytałem kupiony w antykwariacie na Piotrkowskiej zbiór kronik tygodniowych Słonimskiego pod tytułem *Heretyk w ambonie*. Przeczytanie tej książki jest odświeżające jak natrysk po upalnym dniu. Przyjmuje się w sobie z uczuciem ulgi tę kąpiel zdrowego sensu, jakim ówczesny autor kronik w *Wiadomościach Literackich* walczył kiedyś z rodzimym i cudzoziemskim kołtuństwem, lub z absurdami świata, w którym żyjemy. Aż żal bierze, że się dzisiaj nie czytuje po polsku podobnej publicystyki. Jest w dodatku nadal pełna wstrząsającej aktualności. Wtedy np. kiedy czytamy, że gdyby rozkwit sztuki zależny był od zmiany ustroju, Kamil Witkowski z Rafałem Malczewskim powinni by walczyć o powrót Medycusów.

Albo: «Zostają w literaturze dzieła walczące, ale hymny pochwalne na cześć książąt czy fabryk prędko spływają z kart historii».

I dalej: «Jeżeli nasz rząd chce stworzyć warunki sprzyjające wielkiej poezji, niech doprowadzi do nowych rozbiórów, albo co rozsądniejsze, niech pozostawi sztukę jej własnemu życiu. Literatura francuska nie służy do współpracy z rządem, literatura W. Brytanii nie służy królowi. Daje to od setek lat niezłe wyniki».

Aż wreszcie na zakończenie: «Ofensywa rządu na terenie sztuki przypomina u nas tę babę, co nie miała kłopotu i kupiła prosię. A prosię szybko rośnie. Za rok będzie świnią».

Odszukuję rok wydania *Heretyka*: Warszawa 1934.

Kiedy jednak literatura w Polsce ma coraz bardziej knebłowane usta, ludzie tej literatury oglądają się na emigrację i ze

zdziwieniem pytają, przyjąwszy, że nie posiada żadnych ograniczeń i nie doświadcza żadnych utrudnień — co stworzyła?

Czy może się popisać takimi osiągnięciami, które stanowiłyby zapewne wymowniejszy dowód wyższości ich sytuacji i wkładu w przyszłość, niż podpisy, odcinające się apodyktycznie od drukowania czegokolwiek w kraju, aby nie robić wrażenia, że się tą drogą popiera reżim? Do tej roboty popierania go, wrzgnięto jednak w Polsce wszystkich wieszczów, wszystkich wielkich pisarzy epoki przed niepodległością, wszystkie wielkie nazwiska, świecące na firmamencie polskich dziejów i polskiej kultury — co tylko dobitniej jeszcze podkreśla brak proporcji w tym politycznym geście emigracyjnych pisarzy, który wcale nie ułatwił robotę odcięcia ich wpływu, ich znaczenia, ich nazwisk nawet, od życia w kraju. Pod tym względem ocena ze strony ludzi wszystkich odcieni, bo przecież nie tylko pisarzy «konkurencyjnych», z którymi rozmawiałem, była w Polsce dziwnie jednomyślna.

Zarzuca się emigracji literackiej zaściankowość i prowincjonalizm, dziwi, że w zetknięciu z oddechem wielkich literatur świata, nie podniosła się do znalezienia wspólnego z nimi języka i pyta, jakim dziełem, jakim nazwiskiem, jakim wpływem zaznaczy się w ich historii? Gdzie jest w światowej skali i na szali światowych wydarzeń głos jej i jego ciężar?

Negacją nikt świata nie zbawi. Protestem nic nie wywalczy. Obroną nic nie zdobędzie.

«Nie rozumiem, mówił mi jeden z wybitnych, żyjących i pracujących w Polsce pisarzy, co się to stało? Przy takiej szansie, jaką było przeniesienie się na zachód wielu wielkich talentów, gdzie jest ich miejsce i jaka ich rola? I jakie było wyrachowanie ich odcinania się od udziału w życiu i w kulturze kraju? Mogli przecież próbować. Tylu z nas próbuje. Był okres, który odznaczał się, w zestawieniu z obecnym liberalizmem i tolerancją o wiele dalej posuniętą, niż się to mogło zdawać na zachodzie...»

Bronimy się tu jak tylko można przeciw podciąganiu zjawisk kulturalnych pod mianowniki polityczne. Nie da się jednak ła la longue osiągnąć oddzielenia tych dwóch spraw od siebie. A niemniej przeto jedyna dziś możliwa linia obrony przebiega u nas na tym właśnie froncie. Z fizycznych granic, z politycznej akcji, przesunęła się na linię ducha. Tu mamy jeszcze sposobność pokazania pazurów lwich. Nie jest rzeczą emigracji pomagać w ich przytępieniu. A przecież to co uczynili, było wodą na młyn rzeczników poglądu, uważających zjawiska kultury za manifestację jedynie polityczną. Optyka patrzenia na te sprawy ze strony naszych kolegów skrzywiona jest odległością, tęsknotą, różnymi aż nadto zrozumiałymi odczuciami, które wynikają ze znajdowania się poza nawiasem toczących nas tutaj zagadnień i wpływów. Ale prowadzi ona do wielu niesprawiedliwych ocen w sytuacji tych właśnie ludzi, którym by chciało się pomóc.»

W podsumowaniu stwierdzam, że rozdzźwięk między myślą-

niem emigracyjnym, a reakcjami kraju, jest większy, niż przypuszczałem. Czyni niestety postępu. Łatwo pisać artykuły w Londynie, trudniej jest mądrze żyć i działać w Polsce — powiadają. A to jest przecież o tyle ważniejsze.

XXIII

Muzyka i Picasso

Punkt widzenia wysokiego poziomu, powiedzą wyznawcy nowych poglądów, nie odpowiada rzeczywistości kulturalnej w Polsce. Kultura jest dotąd przywilejem tylko bardzo cienkiej warstwy ludności. Chodzi obecnie o wyrównanie dółw kulturalnych, o likwidację analfabetyzmu w tej dziedzinie. Ekscentryczność i ekstrawagancja, eksperyment i ekskluzywność musi ustąpić na rzecz takich zadań. Państwo płaci, ale państwo ma prawo wymagać. Stosowanie w tych sprawach ciasnego dogmatyzmu jest oczywiście niebezpieczne. Totalizm w zastosowaniu do sztuki nie popłaca. Na to, by sztuka stała się «środkiem gawędy z ludem», trzeba jej pozostawić swobodę gawędzenia. Każda twórczość zawie a w sobie pierwiastki irracjonalne; zamówienia na sztukę utylitarną, na sztukę nie tyle stosowaną, co dostosowaną do potrzeb politycznych chwili sprawia, że największą sztuką dla artysty staje się utrzymywanie możliwości bytu; wypowiada się więc tylko cząstkowo, zabezpieczając sobie osobiste życie i ucząc się stosowania taktyk, pozwalających mu na przetrwanie.

Zapytałem jednego z objętych tymi koniecznościami, ale sumiennych ludzi, jak to wygląda w praktyce. «Nie napisałem nigdy tego czego nie myślę — odpowiedział. Ale nie zawsze piszę *wszystko*, to co myślę».

Działają jednak na pełnych obrotach rozwijana od podstaw organizacja artystycznych szkół zawodowych, do których pęd dołu jest ogromny. Troska o podniesienie estetyczne poziomu w masach jest istotna. Taka np. entuzjastycznie oddana tej idei instytucja, jak BNEP (Biuro Nadzoru Estetyki Produkcji) szczyci się już rezultatami swojego wpływu w terenie. Faktem niezaprzeczalnym jest okoliczność, że istnieje na tego rodzaju pracę w całej Polsce miejsce i zapotrzebowanie, że zaprzęga się do niej talenty, że walka z tandetą na tym polu czyni stałe postępy, że nie jest propagandowym tylko frazesem, ale przybiera rzeczywiste formy.*)

Toteż dopływ nowych sił stanie się już za kilka lat zjawiskiem wielce istotnym.

Obniży się w związku z tym poziom, już dzisiaj bynajmniej

*) Żle tylko świadczy o potrzebach estetyki dla mas produkcja ministerstwa Poczty i Telegrafów, produkujących (z małymi wyjątkami) najbrzydsze chyba znaczki na listy w porównaniu z resztą Europy.

nie wysoki w porównaniu z Zachodem, ale nastąpi wzajemian wciągnięcie szerszych niż przedtem mas społeczeństwa do udziału w życiu kultury. Można zaobserwować te zjawiska na terenie fabryk albo nawet wsi. Kultura stanie się instrumentem wpływu państwa na rozwój człowieka; taki też jest polityczny cel prowadzonej dziś akcji na odcinku sztuki.

Bo i tę także objęto już planem.

Czytamy o jego zamierzeniach w licznych na łamach prasy wypowiedziach i nawet w dyskusji, jaka toczyła się w ramach plenum CK PPR. Że więc «rewolucja kulturalna jest organicznie związana z przemianami gospodarczymi i społecznymi» Że «państwo ludowe zwalcza to wszystko, co stanowi zaporę na drodze do realizacji socjalizmu, i tępić musi te elementy, które mogą w przyszłości zachwiać nasz parnas literacki i uczynić z niego warownię rycerzy okopów św. Trójcy. Wprawdzie literaturą komenderować nie można, ale będzie się walczyć o jej nowe oblicze, o nadążanie za życiem».

«Już nikt nie podejmie się chyba opierać programu kulturalnego partii (PPS) na pseudo-humanistycznym liberalizmie, ponieważ sztuka jest... propagandą nawet wtedy, kiedy się tego najbardziej wypiera, doprowadzoną do perfekcji propagandą określonej idei. Co innego, rzecz prosta, sztuka zdrowych klas społecznych, a co innego sztuka chora, sztuka klas gnijących!» Towarzysz Żółkiewski uważa np. za błąd «mętność ideologiczną» w wyniku wprowadzania na łamy piśm elementów, które mogłyby schlebować i były łatwiej strawne dla drobnomieszczańskiego odbiorcy. «Chcieliśmy go zjednywać, a nie chcieliśmy zwyciężać».

Mówi też, że «reakcja próbowała szermować kryterium poziomu — wywołując w masach ludowych poczucie ich mniejszej wartości w sprawach kultury».

Muszę przyznać, że takiego stosunku ludzi kultury do społeczeństwa nie udało mi się w Polsce zauważyć.

A dalej, że «nowoczesna sztuka ma tendencje do zważania swojej bazy społecznej, do wyrażania zainteresowań i dążeń drobnej grupy fachowców, stwarzających pozory jakichś wysokich formalnych wartości po swojej stronie...»

Przytaczam te cytaty, które można by mnożyć dowolnie, dla ilustracji argumentów, jakie w dzisiejszej walce o przebudowę kultury w Polsce wysuwają marksiści.

Musisz tę rzeczywistość przyjąć «jako taką» w myśl słów poety, który twierdzi, że

*«płyniesz w tym społecznym fackie
jak orzech w Nilu katarakcie»,*

choćby wspominał, że «zbyt wieleśmy widzieli zbrodni, byśmy się dobra wyrzec mogli... albo konieczność widząc bredni, uznawać ją za chleb powszedni...».

Środkiem przebudowania poglądów i podejść do zagadnień sztuki jest tocząca się dzisiaj na płaszczyźnie jeszcze teoretycznej rozprawa między dwiema szkołami — formalizmu i socrealizmu. Wyniki zestawienia artystom swobody w wypowiedzianiu tego co im się zdaje ważne, potrzebne, albo na co mają ochotę, podciąga się ryczałtem i bez zbytej troski o subtelności różnic pod miano formalizmu, z góry już zakładając, że jest to wyraz dekadentkich przeżytków, praktykowanych na Zachodzie, a nie mających miejsca i zastosowania w dzisiejszym życiu.

Przeciwstawia się tym sztucznym rzekomo i przesadnie subiektywnym formom sztuki krzepę i pożytki socrealizmu, jako kierunku wiążącego artystę ze środowiskiem, dla którego pracuje, uwzględniając potrzeby zarówno czasu jak i odbiorcy. Byłoby zrozumiał wychowawczą rolę sztuki, która «stanie się czynnikiem w rozwiązywaniu wielkich zadań historycznych, jakie stoją obecnie przed całą ludzkością».

U źródeł tych definicji stoją wypowiedzi Zdanowa, odkąd na pierwszym sowietkim zjeździe literatów w sierpniu 1934 r. wystąpił jako polityczny inspirator reform w sztuce i apostoł jej tendencyjności.

Na odcinku muzycznym na przykład sprowadzono dzisiaj całą sprawę do sporu między zrozumiałstwem i niezrozumiałością jej form. Jest to przygrywka do dalszych pociągnięć i posunięć na innych terenach sztuki, prowadzących do wyłączenia tak zwanej produkcji elitarniej. Powinno się ją zamienić na użyteczną, to jest odpowiadającą «zamówieniom i potrzebom społecznym».

Poświęćmy jej tutaj nieco miejsca, opierając się na materiałach Drugiego Międzynarodowego Zjazdu Kompozytorów i Krytyków Muzycznych w Pradze, w maju 1948 r. Język rezolucji i obrad, które ją poprzedzały, jest bowiem znamieny dla określenia poziomu, na jakim dokonywuje się robota przekonywania artystów o konieczności proponowanych reform. Cytuję z oryginalnych tłumaczeń; oddają treść i sens sporu lepiej, niżby to można zrobić własnymi słowami.

Wprowadzanie terminologii politycznej do sztuki najbardziej z wszystkich abstrakcyjnej, jest także osobliwością bez precedensu. Wtedy, gdy mówi się na przykład, że przezwyciężenie kryzysu muzyki i kultury muzycznej doby obecnej nastąpi dopiero «jeżeli kompozytorzy wyrzekną się w swojej twórczości wszelkich tendencji skrajnego subiektywizmu i jeżeli muzyka ich będzie wyrażać wielkie, nowe i naczelne idee i uczucia mas ludowych, postępowe obrazy współczesności», albo wzywa kompozytorów całego świata do «stworzenia muzyki, w której zostałyby zespolone wysokie wartości artystyczne i twórczy subiektywizm przy jednoczesnym głębokim i prawdziwym zespoleniu muzyki z ludem». Recepta, przyznać trzeba, dosyć skomplikowana. Uzupełnienie tych programowych wskazówek znajdujemy w przemówieniu sekretarza Generalnego Związku Kom-

pozytorów Sowieckich, Tichona Chrennikowa. Daje on nam definicję owych dwóch wrogich «światopoglądów muzycznych», w których socrealizm reprezentuje postęp, a formalizm jego negację.

«Hołdowanie realizmowi oznacza zasadniczą wrogość w stosunku do formalizmu we wszystkich jego przejawach, jako do formy sztuki, negującej istotę muzyki, jej kierunek ideowy, jej misję społeczną. Nie ulega wątpliwości, że w sztuce współczesnej trwa nieubłagana walka dwóch światopoglądów artystycznych. Jeden z nich, światopogląd realistyczny jest emanacją harmonijnego, opartego o prawdę odczuwania świata, jest to światopogląd postępowy, który wzbogaca ludzkość w wielkie wartości duchowe. Światopogląd formalistyczny jest zrodzony przez skrajny indywidualizm, który charakteryzuje nienaturalne, bardzo często patologiczne odczuwanie świata, brak wiary w siły postępu, w ideały człowieka. Artysta twórca uważa się z góry za znawcę i ostatecznego sędziego własnej twórczości. Nic go nie obchodzi otaczające społeczeństwo. Kaprys osobisty, przypadkowa zachcianka i skrajna dowolność, subiektywizm autora-indywidualisty — ostro przeciwstawiają się wówczas potrzebom i zainteresowaniom otaczającego środowiska».

O nowej muzyce czytamy co następuje: «Nowa muzyka — to hasło brzmi dzisiaj jak zaprzeczenie wszystkich zasad sztuki muzycznej, jak potwierdzenie wszelkiego rodzaju systemów i kierunków twórczości, których stopień «współczesności» określa się przede wszystkim ilością i jaskrawością dysonansów. Podstawy ideowe tej twórczości — to ucieczka od życia, od wymagań narodu, mistycyzm, bojaźń o swą egzystencję, wątplenie w prawdę».

I wreszcie w konkluzji: «Muzyka powinna służyć interesom narodu, powinna ona przynosić milionom słuchaczy, właśnie milionom, a nie grupom wybranych, kasłowo zamkniętych muzykantów, wysokie ideały humanistyczne w tym rozumieniu, jak pojmujemy je my, ludzie radzieccy, i jak je rozumieją wszyscy demokratyczni działacze społeczni, broniący rzeczywistych interesów demokracji. Ale aby wykonać to wielkie zadanie społeczne, muzyka powinna posiadać takie właściwości, by mogła być rozumiana przez miliony ludzi, i dostarczała wartościowych przeżyć estetycznych. Muzyka powinna być prawdziwa, realistyczna, piękna, podnosząca ludzi do wielkich czynów, «dolna — mówiąc słowami Beethoven'a — «krzesać ogień z piersi męża», powiedzmy dokładniej — człowiek».

Dixit Tichon Chrennikow.

Apodyktyczność i urzędowość tych wypowiedzi wyklucza dyskusję. Są to bowiem wskazania najwyższych w Rosji czynni-

ków polityki kulturalnej, tłumaczone na użytek świata sztuki przez referatów, mówiących tonem nieomyślności. Stanowią tedy dogmat; ktoś być może opatrzył te wytyczne uwagą «ne varietur». A w takim razie nie ma możliwości porównywania istniejącego sporu z tymi, jakie w różnych czasach przeciwstawiały sobie różne szkoły i kierunki artystyczne, sporów jakie dzisiaj istnieją także w Polsce między wyznawcami sztuki dla sztuki, względnie sztuki dla mas. Tych pierwszych zresztą nie jest wcale wielu, życie samo postarało się przecież o związanie artysty ze społeczeństwem, narzuciło mu konieczność liczenia się z nim i zrozumienia swojego w nim miejsca. Ale nie odebrało mu ambicji ciągnięcia w górę raczej, niż schodzenia w dół i parcia naprzód, miast patrzenia w tył.

Wprowadzenie do tych spraw przymusu nie daje spodziewanych wyników. Opowiada się na przykład, że konkurs na «pieśń masową» spalił na panewce; ani jeden z nagrodzonych kawałków nie zdobył urzędowo mu zapewnionej popularności. Chodziło o coś w rodzaju hymnu pochwalnego na cześć pracy i odbudowy; przyjmują się wzajem samorodne piosenki, których rodowód można wyprowadzić łatwiej ze stylu Lily Marlene, niż ze stawianych za wzór motywów ludowych.

W Polsce nowych talentów muzycznych nie brak. Powodzenie koncertów symfonicznych i oper jest poza tym świadectwem wysokiego poziomu odbiorców w miastach. Kierownictwo muzyczne w Radiu Polskim spoczywa w rękach Romana Jasińskiego. Zdobyć jedyne złote medalu na Olimpiadzie w Londynie przez Turskiego za «Olimpijską symfonię» pokazało, że jednym z niewielu elementów kulturalnego eksportu Polski zagranicę jest produkcja jej kompozytorów.

Przyszły rok stoi w dodatku pod znakiem muzyki w Polsce. A to ze względu na planowane wielkie manifestacje muzyczne w związku z obchodem stućlecia śmierci Szopena. Jedną z naczelných imprez tego roku ma być wznowiony w Warszawie międzynarodowy konkurs Szopenowski.

Z głową, pełną rozmów i dyskusji na temat «kryzysu w muzyce» byłem na kilku cieszących się, jak zawsze, ogromnym powodzeniem koncertach katowickiej Filharmonii, która dawała gościnne występy w Warszawie. Dyrygował na przemian Fitelberg i Rowiński, młody, świetny dyrygent, organizator orkiestry w Katowicach, która dzisiaj posiada reputację pierwszej w Polsce. Gmach Filharmonii warszawskiej jest w gruzach, toteż gościną dla imprez muzycznych służy dziś sala Romy, przy Nowogrodzkiej.

(Tego dnia była w programie III-cia symfonia Szymanowskiego. Słyszałem tu także wykonanie dzieł najzdolniejszych dziś w Polsce kompozytorów nowego pokolenia, Lutosławskiego i Panufnika.

Ale wracam do III-ciej symfonii. Doświadczyłem bowiem w

związku z usłyszeniem jej znowu względności, jaka mieści się w pojęciu «rozumiałości czy niezrozumiałości». I o tym właśnie chciałbym opowiedzieć.

Pierwsze wykonanie tego dzieła miało miejsce w Poznaniu, w roku chyba 1931. Karol sam grał partię fortepianową. Dobrze pamiętam to pierwsze zetknięcie się z muzyką Szymanowskiego, którego nie ułatwiła bynajmniej osobista z nim znajomość. Brzmiało to dla mnie obco, powiem nawet dziwacznie; wychowany na Bachu, Beethovenie, Szopenie i Brahmsie, Moniuszce i Karłowiczu, nie byłem przygotowany na tę nowość brzmień, na tę skłębioną ich architekturę, utrudniającą chwycenie melodii i wyznaczenie się w jej zawiłych przebiegach. Dopiero wytrawne i wykształcone ucho potrafi dosłuchać się w nich sensu.

Wiem, że podobnie reagowała przeciętna publiczność polska, trochę na kredyt i na wiarę ekspertów i krytyków, uznająca w Szymanowskim mistrza.

Minęło od tego czasu przeszło 15 lat.

Wsluchiwałem się w brzmienie tej samej symfonii dzisiaj, jak w coś co nie tylko znam już, ale co w tradycyjnym ujęciu tego słowa podoba mi się, odpowiada mojej wrażliwości, co już rozumiem, co mi się zdaje proste, o tyle łatwiejsze niż przedtem i dzięki temu zupełnie przekonujące.

Publiczność Warszawy reagowała podobnie. Szymanowski wszedł do repertuaru klasyków, nie budzi zdziwień, nie stanowi już żadnego zaskoczenia. Podoba się.

Umyślnie formułuję te doznania naiwnym językiem laika — takie bo jest podejście i taki właśnie sposób odczuwania ludzi, poddanych działaniu nowoczesnej sztuki, gdy ich z jej stylem i niezwykłością oswoić, czy, jak się to mówi popularnie, otrzaskać; albo, co jeszcze lepsze, wytłumaczyć im na czym polega nowatorstwo, z jakich źródeł się bierze, czego szuka i co osiąga.

Można tą drogą wiele nauczyć, ale trudniej zmienić sposób odczuwania i okoliczność, że masy zawsze będą wołały Soupégo albo pot-pourri z oper Puccini'ego od tego rodzaju trudnej, bo wysokogatunkowej produkcji, jaką uprawia Bartók, Strawiński czy nawet Szymanowski.

Niepokojąco nowi zdają się jego uczniowie, ale rozumienie czy znanie Szymanowskiego jest do nich drogą, jest kluczem, ułatwiającym dostęp do ich twórczości. Jest to normalna ewolucja, na którą stać być może tak zwanego kulturalnego człowieka, jeśli tym sprawom poświęca uwagę i zainteresowanie, ale trudno jej wymagać od prestych ludzi, od przeciętnego odbiorcy, postawionego nagle i niespodziewanie wobec osiągnięć, na które składają się skomplikowane wpływy wielu wieków rozwoju w poszczególnych gałęziach sztuki.

Przewyższa ona jego oczekiwania i potrzeby, zdolność reagowania i umiejętność dążenia za jej lotem, już nieledwie stratosferycznym.

Żyjemy w epoce techniki, szybkości, niepokoju; człowiek ponoszący ich skutki rozwija się o tyle wolniej. Poderwaliśmy go

do wysiłków uwspółcześnienia się, jeżeli idzie o udział w postępach technicznych, przekraczających jego możliwości, a choć ręka i oko człowieka, czasem za nimi nadąża, głowa nie daje rady. Wynika z tego jaskrawa, ale nieunikniona sprzeczność; podciąganie zaniedbań całych wieków, którego przyspieszyć niepodobna, jeżeli idzie o wyrobienie kulturalne, pełnie równoległe do gwałtownego przeskakiwania etapów w innych dziedzinach życia społecznego i gospodarczego. Niewspółmierność tych dwu czasów i tych dwóch kierunków prowadzi do sytuacji, którą charakteryzuje konflikt między dostawcami nowej sztuki i poziomem odbiorców jej, niewspółmiernie dziś niskim. Rola państwa, biorącego bardzo na serio programowe wypowiedzi i obietnice przeprowadzenia na odcinku kultury zabiegów dostosowawczych, polega na podcinaniu skrzydeł tym, którzy latają za wysoko; szara publiczność ma prawo przyglądać się ich akrobacjom, kształcić się na nich, lecz przede wszystkim rozumieć, o co im chodzi.

Prekursorstwo jest dla tego nie mile widziane, bo nie wiadomo nigdy jakie nowe fermenty przyniesie, co przepowie, czym zaniepokoi, bo wymyka się możliwości planowania.

Niekonsekwencje tego stanowiska i sztuczność sprzeczki najjaskrawiej wystąpiły w czasie Zjazdu Intelektualistów we Wrocławiu, w ramach którego spotkali się dwaj reprezentanci skrajności w plastyce — Picasso i Gierasimow, sowiecki autorytet w sprawach malarstwa. Największym w sztuce polskiej malarzem jest dla niego bezapelacyjnie Matejko. A przecież Picasso, chodzący po Warszawie, był już tylko ostatecznym podsumowaniem słów, napisanych przez Marka Żuławskiego, który widzi ruiny jej jako przykład, że sprawy, które mają oblec się w kształt realny, znajdują najpierw zapowiedź w sztuce. Powiedział kiedyś Wilde, że życie naśladuje sztukę; uważano to tylko za jeden jeszcze zabawny paradoks.

Ale surrealiści ostatnich 25-ciu lat (Salvador Dali!) wyśnili to, co się stało naprawdę. Picasso wróży rzeczy straszniejsze; zniszczył formę, budowaną przez malarzy wielu wieków, unicestwił obraz w dotychczasowej koncepcji, zaprzeczył pięknu w podstawowych jego założeniach, dokonał brutalnej sekcji widzialnego świata, zapowiada zniszczenie naszej cywilizacji.

To wszystko uszło uwadze, zostało nawet w pełni pominięte przy komentarzach z okazji pobytu Picassa w Polsce. Oto bowiem typowy człowiek-dynamit, a dzisiaj dla polskiej sztuki zgłasza się oficjalne zapotrzebowanie na cement soc-realizmu. Picasso to było jednak przede wszystkim nazwisko, za które «milionerzy amerykańscy płacą grube sumy», nazwisko pochlebające miejscowym snobizmom, nazwisko, którym można popisać się wobec swoich i wobec zagranicy, bo w dodatku odpowiada politycznym tendencjom reżimu, reprezentując przeciwnika obecnych rządów w Hiszpanii. Picasso przywiozł 20

przez siebie zrobionych talerzy i «ofiarował je Polsce». To, że na ścianie w domu Kolonii Robotniczej na Kole wyrysował w dodatku węglem syrenę z młotem, było jeszcze jednym aktem, zaskarbiających mu oficjalne sympatie.

Został też razem z Paul Eluard'em odznaczony krzyżem Polonia Restituta. Nie za sztukę, mówiono, ale za przyjazd.

Oficjalny kult Picassa przy negatywnym stosunku do domorostych modernistów podobnego typu, jest wiele mówiącym symptomem dzisiejszych nastawień. Zresztą rej w Polsce wodzili dotąd moderniści, bardziej umiarkowani ale silnie podlegający wpływowi francuskiego malarstwa współczesnego, z Cybisem i Wolfem na czele. Zorganizowani byli dobrze i umiejętnie broniący swojej pozycji wolnych od oficjalnej interwencji twórców. Zarzucano im nawet nieco «kapliczkowe» nastawienie i jednostronność poglądów na to co dobre, a tym samym dopuszczalne dla zamówień państwowych, które zastąpiły niemal bez reszty prywatnych amatorów kolekcjonowania płócien i prywatną w tym względzie inicjatywę.

Przeczytaliśmy jednak w *Kuźnicy* sprawozdanie z muzeów paryskich, którego autor doszedł do przekonania, że malarstwo francuskie skończyło się na Delacroix. Kurs jest, jak z tego wynika, tylko na plastykę, mającą podszewkę literacką. Można by z tego wywróżyć nawrót do tradycji polskich z końca XIX-go wieku. Nastawienie podobne obowiązuje dziś w Rosji. Zadanie malarza, według oficjalnej recepty, powinno polegać na *ilustrowaniu* współczesności. Toteż ideałem właściwie byłby nie malarz wcale, ale ilustrator. Nie trzeba jednak sądzić, że artyści łatwo się poddają nowym dyrektywom. Przeciwnie, można dzisiaj na każdym polu sztuki obserwować troskę o poziom, o własny wyraz i korzystanie z wpływu tej ewolucji, jaka cechuje ją w świecie. Najwięcej dotąd talentów przystosowawczych wykazują graficy, zdolni do wszystkich manifestacji zarówno formalnych jak i tematycznych; dali nam zresztą pokaz swoich umiejętności na Wystawie Wrocławskiej, wychodząc obronną ręką z niebezpieczeństw, jakie zawierały postawione przed nimi zadania.

Byłem w Hotelu Monopol we Wrocławiu któregoś wieczoru, w czasie Zjazdu Intelektualistów; w restauracji siadłem obok stołu, gdzie królował Picasso w otoczeniu różnych osobistości. Było bardzo gorąco, Picasso zdjął marynarkę, potem koszulę i siedział przy stole dla patrzących na niego z sali właściwie nago, ale bardzo opalony powyżej pasa. Zachował się tak, jak się tego po nim spodziewano, kpiąc z konwenansu, który w Polsce gra jeszcze ważną rolę; zgorszył też niejednych «formalistów», ale wywołał dość nieoczekiwaną reakcję u przypadkowego gościa, który powiedział do znajomego w barze: «Widziałeś? Tam się

jeden zupełnie wygłupił, siedzi nago przy stole w restauracji, założylibym się z tobą, że to Czech».

W Żelazowej Woli natomiast, gdzie dom, w którym urodził się Szopen, stoi odnowiony i otoczony przesadnie nowoczesnym ogrodem, podsłuchiwał jeden z znajomych uwagę któregoś z intelektualistów bałkańskich: «No, teraz się już nie dziwię, dlaczego Szopen *mógł* komponować. Jak się miało taki dom i taki ogród...».

XXIV

Spojrzenie na zagranicę

Granicami naszej niezależności są dobre stosunki z sąsiadami. Cierpimy po dzień dzisiejszy, ponosząc konsekwencje tej prawdy; potwierdziła jej bolesną słuszość historia. Na swoje wytłumaczenie, które nie jest żadną pociechą, możemy w Polsce powiedzieć jedno tylko: nie my wybieraliśmy sąsiadów.

Ale nawet w zmienionych warunkach dnia dzisiejszego to zasada, przykrawana coraz to do nowych potrzeb, zdaje się jeszcze grać.

Nadrzędny i kierujący stosunkiem do zagranicy czynnik, jaki reprezentuje Rosja Sowiecka, zlikwidował niezależność; próbowaliśmy niektóre aspekty tych spraw omówić w trzech rozdziałach, poświęconych działaniu jej wpływu na dzisiejszą polską rzeczywistość. Jednak temat sąsiadów nie został wyczerpany; poza tym zaś oficjalna strona stosunków z nimi nie zawsze pokrywa się z czuciem społeczeństwa.

I o tym także warto nam pamiętać.

Revolucja ustrojowa i gospodarcza na tle wielkich zmian terytorialnych (300 km wybrzeża, Odra, Śląsk) i ludnościowych, (państwo narodowe, gruntowne przemieszanie Polski A z Polską B), stała się między innymi podstawą swoistego przewrotu jaki nastąpił w stosunkach między Polską i Czechosłowacją. Przebieg granicy między dwoma państwami jest ten sam, jaki był przed Monachium — to znaczy że Zaolzie leży dziś znowu w Czechosłowacji. Przy szczęśliwym rozwoju polityki światowej dzisiejsze zacieśnienie współpracy uważać by można za poważny krok w kierunku przyszłych form federacyjnych tej części Europy. Podstawą tego zjawiska są plany ścisłej współpracy gospodarczej tych dwóch krajów, mających nie od dzisiaj wspólny mianownik podobnych i uzupełniających się interesów. Taki zresztą jest oficjalny kierunek polityki, którego ukoronowaniem stało się powołanie Rady Gospodarczej Polsko-Czechosłowackiej w tym roku, po uprzednim podpisaniu jedenastu traktatów, układów i umów o współpracy, więcej niż z

którymkolwiek innym kontrahentem.*) Efekty pociągnięć oficjalnych nie pozostały bez wpływu na życie, przeniknęły do spraw kulturalnych, ogarnęły całe społeczeństwo. Kompleksy antyczne w Polsce przestały istnieć, wyzwolono się w dużym stopniu z zastarzałych zadrażeń. Tak samo dzieje się w Czechach w stosunku do Polaków. Że też do zrozumienia tak prostej sprawy jak wspólny interes i jak wspólnota losu nie potrafiło dojść w Polsce ani w Czechosłowacji przed wojną, mówią zdziwieni ludzie i zdaje im się niewytłumaczona nieumiejętność doprowadzania do tej logicznej, zdawałoby się, i tak naturalnej konkluzji. Wyglądalibyśmy pewno dziś nieco inaczej, niż wyglądamy. Mądry Polak i Czech — lecz po szkodzie.

Ale lepiej późno, niż nigdy, pociesza się jeden z drugim.

Nastąpiło więc wyraźne ocieplenie stosunków, które uważane jest przez wszystkich za objaw bez zastrzeżeń dodatni. Czesi tłumnie odwiedzają Polskę. Zeszłego lata nad polskim morzem słyszało się wszędzie język czeski. Czesi mówiący o nim, że to «nasze morze», są ważniejszym na pewno atutem w jego obrocie, niż wszystkie wywody historyków. Część portu Szczecińskiego pracować będzie i nawet już pracuje dla Czechosłowacji. Tylko patrzeć, doczekamy się jeszcze czeskiej floty.

Jednak Polska jest dla nich atrakcją nie tylko ze względu na morze, ale także na jedzenie. Odjadali się też w niej za wszystkie czasy; w Czechosłowacji pod tym względem sytuacja jest raczej trudna, wszystko na kartki, czyli na «listki». Otóż w Polsce można jeszcze bez listków.

Przekracza już ramy tego reportażu porównawcza analiza stosunków i życia w obu krajach; swoją «chorobę» komunizmu Czechosłowacja przechodzić się zdaje wiele gorzej, ostrzej i nieprzyjemniej niż Polska, która zaczęła wcześniej i dlatego może wykazywała się dotąd łagodniejszym przebiegiem jej kryzysów, miała bo czas i sposobność wykształcić sobie pewne przystosowawcze talenty.

Jeżeli bowiem wierzyć ludziom przyjeżdżającym do Polski z Czechosłowacji, ta ostatnio robi wrażenie kraju w pełnym kryzysie społecznym i gospodarczym, chociaż oszczędzony on został przez wojnę, chociaż mniej ludzi siedzi tam w więzieniach, niż w Polsce.

Charakteryzuje ją deficyt i depresja; ktoś, przyjeżdżając z Pragi do Warszawy i próbując porównać wrażenie tych dwóch

*) 1) Konwencja o zapewnieniu współpracy gospodarczej (4.7.1947).

2) Traktat handlowy.

3) Układ o wymianie towarowej.

4) Układ o Czechosłowackich dostawach inwestycyjnych do Polski.

5) Układ płatniczy.

6) Układ komunikacyjny.

7) Układ o współpracy w sprawach finansowych.

8) Układ o współpracy w przemyśle.

9) Układ o współpracy w rolnictwie i leśnictwie.

10) Układ o współpracy naukowo-technicznej.

11) Układ w zakresie planowania gospodarczej statystyki.

stolic, jednej bez śladu minionej wojny (dziura od kul w lustrze jakiejś restauracji czczona jest jako pamiątka powstania), drugiej zwalonej, spalonej i budowanej od nowa, powiedział — to tak jakby z pogrzebu na karnawał.

Źródło tych różnic nie zdaje się być tylko ideowo-ustrojowe, jest raczej chyba biologiczne. «Quand on part de zéro on a un autre élan» próbował wytłumaczyć polską dynamikę pewien Francuz. Niestety, sformułowanie to w Polsce aż za często bywa aktu lne; zaczynamy coraz to od nowa i zwykle od zera właśnie.

Francja, gdyby chciał krótko określić wycurwany do niej w dzisiejszej Polsce stosunek, zawsze jeszcze wywołuje w duszach oddźwięk sympatii. Zawsze jeszcze Paryż jest dla Polaka stolicą europejskiej kultury. W związku z rozmową o zamieszkach robotniczych i powności gospodarczego jej stawania na nogach po wojnie, pewien pasażer w pociągu wyraził się jak następuje: «Kiedy czytam o strąkach we Francji śmiech mnie bierze. Pomysleć, co byśmy tutaj mieli, gdyby nie system». Ale zaraz uśmiechnął się porozumiewawczo i mrugnął na mnie, żebym nie myślał przypadkiem, że sobie ten «system» chwali.

Politycznie zaś Francja, jedyny w Europie Zachodniej naturalny sprzymierzeniec, jeżeli idzie o lęki, związane z odbudową Niemiec i oddanie im Rurhy, wydaje się Polakom krajem, który jeden byłby w stanie bronić ich interesu, związanego z posiadaniem granicy na Odrze — gdyby przyszło co do czego, powładają.

Nastroje anty-niemieckie i obawy, związane z odzyskiwaniem przez Niemców miejsca w Europie są bowiem nadal żywe. Anty-niemiecka propaganda pracuje dotąd na pełnych obrotach. Ale nie trzeba propagandy, bo pożywka nienawici do Niemców łatwo znajduje źródło w sercach, pamiętających krwawe i dotkliwe postępowanie Niemców w Polsce. Wyżywa się też przeciw nim, jak gdyby jeszcze nie nastąpiła pora na wprowadzenie rewizji w tym stanowisku. Zbyt bliskie ludzi jest wspomnienie ich okrucieństwa. Zbyt wiele żałoby w domach, mogił na cmentarzach, ruin w miastach, pomników egzekucji i wspomnień kaźni na obszarze całego kraju.

Delegacja niemiecka na Kongres Intelktualistów*), złożona z

*) Skład delegacji niemieckiej był następujący:

Alexander Abusch, kierownik Kulturbundu w sowieckim sektorze Berlina (to taki berliński „Czytelnik”),
Willi Bredel, pisarz lewicowy,
Prof. Jürgen Kuczynski, ekonomista, profesor Uniw. Berlińskiego.
Ernst Legal, dyrektor państwowej Opery w Berlinie,
Hans Marchwita, pisarz-samouk, górnik ze Śląska,
Hans Mayer, profesor Uniwersytetu w Frankfurtcie,
Max Pechstein, słynny malarz, na hitlerowskim indeksie.
Hans Scharoun, architekt-urbanista, twórca planu nowego Berlina,
Anna Seghers, pisarka,
Friedrich Wolf, pisarz, autor „Cyankali”,
oraz dziennikarze: Wilhelm Girus (radio), Carl Helfrich (z Towarzystwa dla Porozumienia z Polską), Gerhard Kegel, Max Nierich, Gerhart Pohl, Otto Winzer.

ludzi zamieszkujących (z jednym tylko wyjątkiem) w strefie sowieckiej, wystąpiła jednak ze znamieną deklaracją, uznając nowe granice na zachodzie, jako kompensatę za krzywdy, uczy-nione Polsce przez Niemców.

Przyjąwszy nawet, że była to tylko koniunkturalna manifestacja polityczna, nie można pominąć faktu, że miała miejsce.

Łączy się to zjawisko z innym jeszcze, datującym z czasów konferencji warszawskiej w sprawie Niemiec; znana jest w Polsce rzeczą negatywne stanowisko ministrów spraw zagranicznych państw satelickich względem projektu utworzenia rządu niemieckiego w strefie sowieckiej. Wiadomo też, że rzecznikiem tego stanowiska wobec Mołotowa był Modzelewski, i że postawił, póki co, na swoim.

Z kolei wspomnijmy Anglię. W Polsce dziś na jej punkcie wy-czuwa się wyraźny uraz. Wspominałem już o reakcji na osobę Churchill'a jako rzecznika zachodniej moralności — dodatkowym i uzupełniającym czynnikiem rozgoryczenia w odniesieniu do sojusznika wielko-brytyjskiego jest okoliczność, że niemal wszyscy przybywający w związku z repatriacją byli żołnierze armii polskiej na Zachodzie dają wyraz głębokim pretensjom do stanowiska, zajętego przez Anglię w polskiej sprawie, a także do traktowania, jakiemu podlegali.

Trzeba w tej sprawie odróżnić osobiste, nierozsądne pretensje różnych nadwrażliwych ambicji albo karierowiczowskich wyrachowań, ludzi, którym powinęła się noga w Anglii i którzy wracali, repatriowani karnie (bo i ten absurd miał miejsce) a spaliwszy za sobą mosty, albo czując, że im się ziemia pali pod nogami, względnie że czapka gore (wiadomo na kim), wybrali się wreszcie z powrotem, trochę jak ta «szujka» za morze. Ale raz powziąwszy tę decyzję, próbowali wkupić się w łaski nowego reżimu, obrzucając błotem zarówno polski jak i angielski Londyn. Trzeba odróżnić te dosyć masowe manifestacje powracających od dramatu osobistego i narodowego, jaki jest nadal udziałem każdego uczciwie myślącego Polaka.

Jeżeli więc idzie o przewrót w polskim ogólnym podejściu do innych krajów, występuje on w odniesieniu do Anglii przy porównaniu z innymi sojusznikami czasu wojny — najjaskrawiej. Gdzieś na dnie dusz istnieje bowiem niezawsze uzasadniona, a niemniej przecież istotna świadomość doznanej od Anglików krzywdy.

Osobne miejsce w uczuciu i w myślach Polaków poświęcić trzeba Stanom Zjednoczonym. Są one nadal dla nich synonimem ogromnej potęgi; przeciętny obywatel zafascynowany jest poza tym wizją opulencji, bogactwa, wysokiego poziomu życia Ameryki. Jest to dla niego kraj UNNRY, paczek, pomocy. Efekty tego szerokiego gestu darów, jakimi via UNNRA sypnęła Ameryka w pierwszym, najgorszym okresie po wojnie, jeszcze nie przeminiły w pamięci ludzi.

Wielu z nich zawdzięcza tej pomocy możliwość startu. Pomoc

zresztą dotąd jeszcze działa; biura i samochody UNNRY funkcjonują, ale to są już resztki.

Zastąpił ją dzisiaj „Głos Ameryki” przez radio, który podaje „złe czy dobre, ale zawsze prawdziwe wiadomości”, słuchane w Polsce z napięciem i ciekawością.

Jak na tutejsze temperamenty, głos ten zdaje się wróżyć i obiecywać dużo. Jest dla nich uosobieniem ogromnej na świecie siły. Utrzymuje społeczeństwo w gorączce jakichś oczekiwań, jakichś spodziewań, robi wrażenie, jakby Ameryka interesowała się ogromnie polską sprawą, podaje nieraz rewelacje o sytuacji w kraju i o kulisach wydarzeń w partii, interpretowany jest zawsze optymistycznie, niżby na to pozwalała sytuacja, albo nawet intencja speaker'a. Daje poczucie kontaktu, niebezpieczną iluzję bliskości amerykańskiej pomocy; co drugi człowiek skłonny jest przypuszczać, że to także znaczy — interwencję.

Nastroj ten i nastawienie, które podpada nadzieje i podburza krew spodziewaniem przejściowości obecnego stanu rzeczy, stoi w jaskrawym kontraście do doświadczanych na codzień przyciągań śrub i do pewności siebie Rosjan, którzy na osiągniętych pozycjach trzymają się mocno i nie zdradzają bynajmniej zamiaru ustępstw.

Ten kontrast z kolei jest znowu źródłem dyskusji i wątpliwości; zauważenie go działa nieraz jak kubeł zimnej wody wylany na łeb optymistom, a co więcej umniejsza wydatnie podziw dla zręczności polityki amerykańskiej wobec swojego w Europie i w świecie rywala numer pierwszy.

Trzeźwi przypominają, że przecież amerykańscy politycy podpisali razem z Rosją umowy, stojące u podstaw dzisiejszego położenia Polski; chociaż zmienił się od tego czasu wydatnie nastrój przyjaźni między partnerami Wielkiej Trójki, w efektach jakie dała nie udało się jeszcze dotąd nic zmienić; wiadomo tylko, że napięcie trwa.

Kto dziś potrafi powiedzieć na czyją korzyść gra czas?

Póki co jednak — uktępuje się oficjalnie pamięć Roosevelt'a; spotykamy w wielu polskich miastach ulice jego nazwiska.

Jednak dla czytelnika reżimowej prasy codziennej, Wallace i jego ludzie są stałymi dostawcami skrajnie krytycznych poglądów na temat amerykańskiej polityki i współczesności.

Oficjalna rzeczowa propaganda amerykańska zadawała się wystawianiem w witrynach swojego centrum informacji przy ulicy Piusa w Warszawie zdjęć nowych modeli samolotów lotniskowców i innych dowodów siły wojskowej, potencjału przemysłowego i wynalazczości swoich techników. Urzeka tymi obrazkami przechodniów, wśród których widzi się często młodzież.

Jako gest przepłaszania zbyt dużych zainteresowań czytelników przy ulicy Piusa XI, zdarzały się wypadki legitymowania, a nawet przetrzymywania ludzi interesujących się tym przybytkiem amerykańskiej informacji.

Przyjąć można jako założenie, że ogół społeczeństwa żywi

wobec Ameryki i Amerykanów na kredyt jakby, bo bez żadnych innych podstaw, jak tylko z wyczucia, z instynktu, dużą dozę sympatii. Gra w tym rolę, zwłaszcza na wsiach, posiadanie w Ameryce wielu krewnych, którym udało się dorobić i którzy pamiętają o swoich, posyłając im szczodre dowody swojej współczucia.

Zatarło się już wspomnienie szerokiej charytatywnej działalności Ameryki w Polsce po pierwszej wojnie; ale nadal istnieją indywidualne jej objawy; działa poza tym obecność takich ludzi, jak na przykład Amerykanin stojący na czele polskiego oddziału United Nations International Children's Emergency Fund.

Jeżeli więc idzie o ogół, sympatie są liczne i wierne; jeżeli idzie o techników — podziw dla osiągnięć amerykańskich i ciekawość ich rozwoju także działa, jeżeli idzie o rząd — jedyny dowód życzliwego stosunku do Ameryki, jaki zauważyłem, polega na jeżdżeniu amerykańskimi samochodami, które, choć Chevrolet'y, w Polsce ochrzczono aktualniejszą nieco nazwą „demokratek”. Sprowadzono ich od razu 1500 i nie ma wątpliwości dzisiaj, kiedy je spotkać, że jeżdżą w nich jedynie urzędowo wysokie figury.

Pozostają sfery intelektualne, ludzie myśli i ludzie zagadnień.

Tu problem nie jest tak prosty ani łatwy, bynajmniej. Zainteresowanie Ameryką wśród ludzi wywodzi się z ciekawości, jaką alternatywę i jakie rozwiązanie przynosi ona dla świata, który przeżarty jest do głębi sumieniem zasadniczym, bo także ideologicznym kryzysem. To nie tylko sprawa zwycięstwa jednej potęgi nad drugą, będącą dziś przedmiotem pracy polityków albo przygotowań wojska, to także szukanie odpowiedzi na szereg pytań, drażniących tę sprawę głębiej, do samego szpiku jej kości. Przykład z Niemcami nie zadawała nikogo. Przewrócenie jakiegos porządku bez siły albo zdolności zastąpienia go innym, lepszym, budzi troskę o kierunek drogi, o treść wolności, o sens postępu w świecie, w którym ściera się właśnie tysiąc sprzeczności po to przecież, by jutro nie było gorsze jeszcze od tego dzisiaj, przez które brnie się po drodze z grudy i ciernia.

XXV

„Jądro ciemności”

W społeczeństwie, w którym przez 5 lat i dłużej toczyła się walka podziemna, wywracająca porządek wszystkich ustalonych wartości, przekształcająca normalne czasy egzystencji w tę niebezpieczną cyganerię życia, która dla młodych miała, mimo wszystko, urok wielkiej przygody, o szybkim powrocie do normalnych warunków i przyzwyczajęń nie można nawet myśleć. Autorytety upadły, wszystkie słowa podszyte są pustką. Istotne

jest to co jest. I to co człowiek ma w sobie a nie na sobie.

Jedną z cech tej przemiany jest więc mniejsza niż przedtem dbałość o materialną stronę życia w społeczeństwie. Wymagania zostały skrócone. Docenianie tego, co się posiada jest głębsze; ale nie chodzi już o to, aby tego było wiele. Byłe mieć jakiegoś mniej więcej ludzkie minimum i byle mieć poczucie, że to naprawdę własne. Nauczyl się ludzie odróżniać to, co ważne, od tego, co nie. Warunki na to wpływają, że się nikt do posiadania swoich nie przywiązuje z nadto, za wiele widział co to wszystko warte, kiedy przychodzi do prób zasadniczych. Także dzisiejsze naciski nie wpływają zachęcająco na przykładanie zbyt wysokiej wagi do materialnej strony życia. Pod ich wpływem zdobywa człowiek pewien szczególny gatunek wolności — nazywałbym ją wolnością w głąb. Jest to trudny i niewygodny przymiot, ale czasy są w ogóle takie, że uczą ludzi różnych trudnych rzeczy. Na przykład milczenia. (To tak jak gdyby zmuszony był cofać się w siebie. Traci na tym być może powierzchnia życia, jego barwa i jego uroki, ale zostaje coś z tego w człowieku, bo każdy przymus wywołuje ferment, każde ciśnienie przetwarza, pogłębia i wzmaga siłę przeżyć albo zastanowień.

Różne są jednak objawy tych wpływów i różne ich odczuwanie. Jeden z moich znajomych, przed wojną aktywny politycznik, dziś posiadający dwie posady, kiedy robię aluzję do przedwojennej jego działalności i pytam, co z tego zostało, mówi: „Kiedy się pracuje od 8-mej rano do 9-tej wieczorem i mieszka w dodatku poza miastem, to człowiek doprawdy nie ma już sił, ani czasu na żadne myślenie ofensywne...”

Inaczej młodzież. Jej dalszy rozwój i jej przyszłość stanowi ze strony reżimu przedmiot najpilniejszych zabiegów. Jest to jednak młodzież trudna i bez złudzeń. Jest to młodzież sceptyczna i twarda; w okresie dojrzewania przeszła już bezlitosną próbę życia; wie, że cena za nie w dzisiejszych czasach jest straszliwie wysoka. Ale odbita od dna upadku i pogńębienia rwie się do życia w nim, chce żyć i działać. Uratowana cudem chce w coś wierzyć nareszcie, znaleźć sens. Myśląc jej odłamy cechuje przeto ciekawość zagadnień. Jest z natury swego temperamentu światoburca. Łatwiej odrzuca, niż przyjmuje. I tę jej cechę wykorzystuje reżim. Otwiera jej perspektywy życia, nasycę pustkę treścią nowej wiary, próbuje przemienić pokolenie kłęski w pokolenie zwycięstwa, pod warunkiem przyjęcia idei, która ma w nie prowadzić. Nie wszyscy poddają się urokowi i czarom tych obietnic; robią co trzeba, aby się dostać do studiów, do stanowisk, do udziału w życiu, ale nie rezygnując z niczego, rezerwują sobie w głębi duszy sąd o tym, co ich otacza i sąd o tym co wart jest świat, budowany na nowych podstawach w porównaniu z tym, który się stracił, chociaż o wszystkim co się działo przed nimi i dzieje już poza nimi, wiedzą mało, albo wiedzą jednostronnie. Interesuje ich jednak nie przeszłość żadna, ale dziś i jutro. Przymierzają teorię do praktyki i notują różnice; z czasem być może zatrze się ta wrażliwość, z czasem

być może uwierzą tym nowym bogom, którzy występują w tożgach niezachwianej pewności swojej racji i swojej przyszłości.

Z czasem? Ile czasu na to potrzeba? Ile czasu na przeoranie młodzieży nowym wpływem do gruntu? Tyle ile trzeba na dośnięcie jednego pokolenia od 5-u do 7-u lat, myślę. Walka o przyszłość, która już zapuściła korzenie w duszach młodzieży jest więc także walką o czas, który potrzebny jest na to, aby robota wychowania jej i kierowania jej na nowy tor, dała skutki. Tylko młodzież jest naprawdę ważna. Starych nikt nie uleczy z nawyków, z tradycji, z pamiątek, albo przywiązań, machnięto na nich ręką, niech żyją jak mogą i jak umieją, namawiać ich na nowe przekonania nie warto, muszą i tak im ulec, prędzej czy później. Albo raczej prędzej.

Niejedno serce rodziców przesiąknięte jest wątpliwościami. Zwierza mi się któryś ojciec, mówiąc, że zastanawiał się często, czy wychowanie dzieci w tym samym co dawniej duchu, sobie na podobieństwo, jest dopuszczalne? Czy to nie przypadkiem egoizm, który dyktuje upór kurczowego trzymania się swoich tradycji i przeszczepianie ich, bez tej korekty i bez rewizji żadnej, jakiej wymaga dziś życie, na własne dzieci? Ale życie nie ogląda się na wrażliwość ojców, toruje sobie swoją nową drogę, jak wypadkową dwóch przeciwnych światów.

Jednym ze środków zapewnienia dopływu nowej siły, jest ze strony reżimu regulowanie dostępu i dojścia do głosu młodych do wyższych studiów. Wprowadzono „numerus clausus” pod kątem klasowym, pod kątem rodowodu społeczno-politycznego i tego, co wiadomo o partyjnych, względnie politycznych poglądach kandydata na uniwersytet. Sito przez jakie przechodzi, stanowi czynnik społeczny, tj. trzech przedstawicieli społeczeństwa, swoiste jury, dobrane nie z tytułu wykształcenia, ale partyjnej wzorowości i stanowiące ostatnią, decydującą instancję — egzamin z wiedzy o Polsce, albo współczesności, jest tą rafą na jakiej najzdolniejszy nawet student może się potknąć. Jeżeli mu się każe na przykład wyliczyć „zrywy wolnościowe na Malajach”, albo „czołowych działaczy socjalistycznych w Szwecji, oraz w Szwajcarii”. Reforma szkolnictwa średniego i powszechnego idzie w podobnym kierunku. Zarysowuje się też coraz wyraźniej tendencja zastąpienia metod praktykowanych dotąd w naukach humanistycznych dialektyką marksistowską, uczenia historii natomiast w duchu materializmu dziejowego. Wrocławski Zjazd Historyków pokazał ku temu już drogę. Czekają nas jeszcze opracowanie historii Polski pod kątem nowych, marksistowskich założeń.

Isolacja Polski od zachodnich sposobów myślenia i od związku z własnymi jej podstawami cywilizacji postępuje więc od samych podstaw. System, w którym dokonuje się ta operacja nie zostawia miejsca na żadne bunt, ma sposoby wypalenia ich i wytępienia. Toteż nie objawami buntu bronić się mogą ludzie przeciw jej skutkom, choćby nienawiść zaszczerpiana w dusze nie potrafiła jeszcze zapuścić w niej korzeni i objąć płomieniem

niszczącej pasji tych uosobień cywilizacji Zachodu, które przedstawiane są tutaj jako starcze i dekadentckie albo przeżyte już i już nie twórcze, a będące zawadą tylko na drodze postępu.

A w takim razie jaki jest dziś stosunek człowieka w Polsce, jaka pretensja, jaka treść w podejściu do tego świata, który dla wielu był dotąd i nadal wydaje się jeszcze synonimem prawdziwej cywilizacji, wolności, może zbawienia?

Pokusiłem się o sformułowanie tego stanowiska, skąpawszy się do syta w atmosferze nowej, myślącej, niespokojnej i niepokojącej Polski. Szukałem odpowiedzi na dręczącą mnie troskę o przyszłość jej i o los wśród ludzi młodych, ale świadomych świata, w którym żyją, wiedzących jego sprzeczności bez perspektywy rozwiązań, znających własne bunt, jakie nie znajdują ujścia, doświadczonych gorzkim smakiem życia w tych trudnych nad miarę czasach, w których próbują pomieścić się jakoś — i żyć.

Opuścił ich przecież ten Zachód, wydał na pastwę przeciwnych jemu wpływów, zostawił oszukanych, zawiedzionych do gruntu, okłamanych i nie pogodzonych z niczym.

Wychodzą czasem naprzeciw z dna swoich przeżyć jako pokolenie barykad i obozów, cywilizacji pieców, mordów i gwałtu, żyjące w tragicznym poczuciu osamotnienia.

Co mówi i myśli, jak patrzy i czego czeka?

Nie uciszysz ich nadziejami, nie nakarmisz żadną pociechą. Nie nauczysz nawet cierpliwości. Niosą w sercach gorzkie sceptycyzmu. Niosą w ustach cierpki smak oszustwa. Cywilizacja, jeżeli istnieje, musi być solidarna. Ale gest ani słowo nie wystarcza. „Homo campinus”, człowiek obozowy, człowiek-numer 1 człowiek-anonim tolerowany był przez ludzi Zachodu (biorąc te określenia z prasy polskiej w Niemczech) — ustępstwa na rzecz obcej kulturalnie zasady zacierały w sumieniu objętych nimi ludzi granice między jednym i drugim światem. Niesiesz na sobie, Zachodzie, piętno współwiny za wszystko. Nasz twórczy udział na rzecz twojej przyszłości, jeżeli zdołamy go ocalić przed napórmi wpływu i wiary w inną sprawiedliwość, w inny porządek, w inny sens i cel ludzkiego istnienia, niż ten, na którym budujesz swoją moralną wyższość, nie przestrzegając jej praktyk, to będzie chłostający cię bicz naszego niepokoju i naszych rozczarowań, nieczym zwierciadło sumienia, w jakim się możesz przejrzeć. Pielęgnowujemy w sobie tę czujność, jak cnotę, niezaspokojenie jest naszą jedyną godnością, troską o wspólną przyszłość — racją życia. To wszystko, co zdołaliśmy uratować. O prócz chyba instynktu jeszcze, który wie co złe, a co dobre.

Przed nami jest

«Jądro ciemności».

Ostatni wiersz w *Traktacie Moralnym* Miłosza podsumowuje drugą stronę tego uczucia, które nie jest spodziewaniem, ale mimo najwyższych zagrożeń, nie oznacza jeszcze rezygnacji. Bo wiem sens przeżywanego dramatu głęboko przenika nasze dusze. Od udziału w nim nie może być ucieczki. To jedno jest nie-

odwołalne. Wszystko inne dotąd nie okrzepło, nie ustaliło się jeszcze w nas, ani w sobie. Ale czas idzie naprzód i dlatego nie ma już powrotu. Trzeba próbie, przed jaką nas stawia, spojrzeć w oczy, choćby były jak otwory luf, choćby miały w sobie «mętny błysk owadzi».

Bo jeżeli dzisiejszy kryzys potrwa nierozwiązany, jeżeli sens istniejącej walki zatrze się i zredukuje do samej próby fizycznych sił między dwoma światami — co zostanie?

Mają poczucie rzeczywistości, ostrzejsze już dziś, niż gdzie indziej. I mogą o sobie powiedzieć to, co ktoś z nich wyczytał niedawno w wydany przez Oficynę Warszawską na Obczyżnie zbiorowym pamiętniku trzech autorów, którzy byli w Oświęcimiu, transponując tę już przeszłą prawdę jednego człowieka na inny, współczesniejszy, bardziej dziś aktualny, obejmujący całość sytuacji obraz:

„Zakładamy podwaliny jakiejś nowej potwornej cywilizacji. Powstaną olbrzymie budowle, autostrady, fabryki, niebotyczne pomniki. Pod każdą cegłą będą podłożone nasze ręce, na naszych barkach będą noszone podkłady kolejowe i płyty betonu.

Teraz dopiero poznałem cenę starożytności. Jaką potworną zbrodnią są piramidy egipskie, świątynie i greckie posągi. Ile krwi musiało spłynąć na rzymskie drogi, wały graniczne i budowle miast. Ta starożytność, która była olbrzymim obozem koncentracyjnym, gdzie niewolnikowi wypalano znak własności na czole i krzyżowano za ucieczkę. Ta starożytność, która była wielką złączy ludzkiej wolności przeciw niewolnikom.

Pamiętasz, jak lubiłem Platona? Dziś wiem, że kłamał. Bo w rzeczach ziemskich nie odbija się ideał, ale leży ciężka, krwawa praca człowieka. To myśmy budowali piramidy, rwali marmur na świątynie i kamienie na drogi imperialne, to myśmy wiosłowali na galerach i ciągnęli sochy, a oni pisali dialogi i dramaty, usprawiedliwiali ojczyznami swoje intrygi, walczyli o granice i demokrację. Myśmy byli brudni i umierali naprawdę. Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby.

Nie ma piękna, jeśli w nim leży krzywda człowieka. Nie ma prawdy, która tę krzywdę pomija. Nie ma dobra, które na nią pozwala...”

Coś z tego oburzenia, coś z tej niesprawiedliwej być może ale jakże szczerej i przejmującej pasji, coś z tego odczucia kołtującego się dziś w Polakach, kiedy patrzą na Zachód. Tam się w ich rozumieniu dyskutuje i walczy na niby.

Tu żyje się i umiera na prawdę.

Paryż - Bruksela,

październik i listopad 1948.

50
40,40

84,40

SPIS ROZDZIAŁÓW

<i>Zamiast wstępu</i>	5
I. Cmentarze Powstańców	8
II. Obraz Warszawy	11
III. Warszawska codzienność	18
IV. Podróż koleją	27
V. Analiza podejść politycznych	31
VI. Wrocław i Ossolineum	37
VII. Wystawa i zagadnienie Ziem Odzyskanych	41
VIII. Pielgrzymka do Oświęcimia	46
IX. Ciała śpią, duchy czuwają	50
X. Pracownia Wita Stwosza	55
XI. «Wgląd w Rząd»	60
XII. W Poznaniu	64
XIII. Sytuacja Kościoła	71
XIV. U Kardynała Hlonda	77
XV. Pokrzywno	81
XVI. Stosunek do Rosjan	83
XVII. Paradoks sił i słabości	92
XVIII. Człowiek i system	96
XIX. Gospodarstwo i Plany	101
XX. Dwie inicjatywy i robotnik	109
XXI. Wobec wsi	118
XXII. Niedyskrecje nieco literackie	124
XXIII. Muzyka i Picasso	134
XXIV. Spojrzenie na zagranicę	142
XXV. «Jądro Ciemności»	147